

Hartwig Hausdorf

BIAŁA PIRAMIDA

NA TROPIE GOŚCI Z KOSMOSU W AZJI WSCHODNIEJ

Tytuł oryginału:
Die weisse Pyramide
Ausserirdische Spuren in Ostasien

Tłumaczenie z j. niemieckiego: Wojciech Kunicki

Agencja Wydawnicza URAEUS

Opracowanie graficzne: MBS studio
Maciej Boguszewski
Martin Makarewicz
Skład komputerowy: Dorota Chańko



Hartwig Hausdorf, urodzony w 1995 roku, studiował turystykę w monachijskiej Fachhochschule. Karierę rozpoczął jako organizator wycieczek do Chin i państw Dalekiego Wschodu. Ten krąg kulturowy fascynował go od dawna. Od końca 1988 roku zajmuje kierownicze stanowisko w jednym z biur podróży.

Niniejsza książka przerywa most pomiędzy tajemniczymi mrokami zamierzonej przeszłości Chin i krajów Dalekiego Wschodu a naszą współczesnością. Dowiedzie się z niej Państwo o prastarych gigantycznych piramidach w Chinach, ujrzycie je na nie publikowanych dotychczas fotografiach. Dowiedzie się także o zagadce tysiącleci, awaryjnym lądowaniu pozaziemskich istot przed 12000 lat. Relikty, które uznawano za zaginione, pojawiły się niedawno w pewnym muzeum! Przeczytajcie również o okrutnych rytuałach, praktykowanych aż do naszych dni w mongolskich

klasztarach, rytuałach, które wyjaśnić można fałszywym odczytaniem technologii dawnych „bogów”. Książka opisuje konfrontacje ludzi Dalekiego Wschodu z obcymi istotami inteligentnymi w ciągu ostatniego tysiąclecia — i ujawnia zdumiewające paralele między tamtymi spotkaniami a niesamowitymi wypadkami uprowadzeń zachodzącymi w naszych dniach.

Tu odnajdziecie Państwo przekonujący dowody, iż mieszkańcy Azji we wszystkich epokach stykali się z pozaziemskimi istotami inteligentnymi. Co więcej: że dzisiejsi protagoniści tych niesamowitych „abdukcji” nie są nikim innym jak tylko potomkami dawnych „bogów”. Istot, które zapoczątkowały dynastie panujące, kulturę, a prawdopodobnie nawet egzystencję ludów Azji Wschodniej.

Hartwig Hausdorf zamieszcza w tej książce sensacyjne, do tej pory nie publikowane materiały fotograficzne, które potwierdzają jego tezę. Spektakularne budowle istniały w Państwie Środka już wtedy, gdy w Europie horyzont prawie nie wybiegał poza wierzchołki drzew. Wielki Mur jest najdłuższą, a biała piramida najwyższą budowlą wzniesioną rękoma człowieka.

Spis treści

Wstęp	3
Wprowadzenie	5
I. Synowie żółtych bogów	7
II. Bajan Chara-Uła	13
III. W dolinie białej piramidy	21
IV. Ogromna różnica	31
V. Tybet, Dach Świata	37
VI. Tajemnice Mongolii	43
VII. Państwo wyspiarskie boskiego pochodzenia	51
VIII. UFO w Chinach	62
IX. Niezwykłe spotkania czwartego stopnia	69
X. Światelko w tunelu	80
Słowniczek terminów	84
Podziękowanie	86
Bibliografia	87

Źródła ilustracji

Peter Brookesmith: 13; Chen Jianli: 11, 12; Erich von Däniken: 4, 15, 18, 20, 21a, 21b, 22a, 22b, 23, 24, 25, 26, 27; EROS-US: 9; Hartwig Hausdorf: 1, 2, 7, 14, 30; Peter Krassa; 5, 6, 8; Peter Krassa/Walter Hain: 10; H. Ragaz: 19; Karl Spießberger/esotera: 16, 17; Ed Walters: 28, 29; Westermann-Verlag: 3.

Wstęp

Drogi, szanowny Czytelniku!

Czy rzeczywiście każdy z ludzi opętanych jakąś ideą musi poświęcać jej książkę? Czyż nie toniemy od dawna w powodzi zadrukowanego papieru? Czyż jedynie na obszarze języka niemieckiego nie oferuje się do publikacji około miliona manuskryptów rocznie? Kto ma to wszystko drukować, rozpowszechniać, czytać? A w ogóle: do czego służyć mogą jeszcze książki, skoro o wiele łatwiej jest korzystać z mediów elektronicznych?

Preastronautyka — albo, mówiąc językiem bardziej naukowym, hipoteza paleo-seti — jest młodą dziedziną badawczą. Młodą w porównaniu ze starymi, usankcjonowanymi naukami, jak matematyka, geometria, medycyna albo nawet religioznawstwo. Zresztą, gdy chodzi o religioznawstwo, głośno zachwalane metody naukowe badań, analizy, porównywania nie posunęły nas ani o krok do przodu. Trwająca od stuleci refleksja światłych umysłów, z pewnością zasługujących na szacunek, ani nie udzieliła odpowiedzi, ani nie przyniosła dowodów w kwestii istnienia Boga lub bogów. TONIEMY WPRAWDZIE W OBFIĘJ LITERATURZE „EGZEGETYCZNEJ”, interpretującej, lecz jej wnioski w najlepszym wypadku odzwierciedlają prywatne sądy poszczególnych uczonych. Od wielu pokoleń mądre głowy toczą spór o znaczenie jakiegoś słowa, o rdzeń jakiejś sylaby, o znaczenie jakiejś końcówki, nie przez to nie wyjaśniając. Z teologicznych mgieł tworzą się wciąż nowe chmury — nigdy jednak przekonywające odpowiedzi dotyczące Boga i bogów.

Czyż zatem nie powinna przebudzić się prasa, dokonując rewolty głosami młodych, inteligentnych dziennikarzy? Ostatecznie sprawy te obchodzą nas wszystkich. Albo może nie interesuje Państwa to, jaki Bóg — jeśli już — nas stworzył? Jacyż to osobliwi „bogowie” bawili się w kotka i myszkę z naszymi przodkami? Po co właściwie żyjemy i dlaczego mózg nasz jest tak zaprogramowany, jak był zaprogramowany już w najdawniejszych czasach? A może jest Wam to obojętne, czy od zamierzchłych czasów do nam współczesnych istniało „niepokalane poczucie”? Czy będzie to Wam także obojętne wówczas, gdy okaże się, jak produkty tych zagadkowych narodzin wpłynęły na życie Wasze i Waszych praprapraprzodków?

Co, proszę? — Ale, szanowny Czytelniku, żyjemy przecież wszyscy w świecie, który już od zarania podlegał wpływom religii oraz nauki. Nakazy, jakimi się kierujemy, powstały w przeszłości. Wiele z nich jest dobrych, nawet znakomych, i należy je utrzymać, abyśmy się wzajemnie nie mordowali, okradali i okłamywali. Inne z tych nakazów są jak stary cuchnący ser, którego woń czujemy jeszcze dziś. Mącą one zmysły i zakłócają jasność spojrzenia.

Ani teologia, ani nauki przyrodnicze nie udziela logicznych i powszechnie akceptowanych odpowiedzi na pytanie o istnienie Boga i bogów. Religie osłaniają się podwójną gardą. Nie chcą żadnych nowości. Kij do rozgarniania mgły został przekazany w inne ręce. A dziennikarze nie zauważyli, gdzie kryje się źródło prawdziwych sensacji. Ale czyż nauki przyrodnicze nie powinny zainteresować się nowymi zdobyczami wiedzy?

To, co dziś określamy mianem nauk przyrodniczych, liczy sobie dokładnie trzysta siedemdziesiąt cztery lata. Wówczas, w roku 1620, brytyjski polityk Sir Francis Bacon (1561-1626) opublikował dzieło zatytułowane *Novum Organum*. Ustalił w nim dokładnie zasady funkcjonowania badań naukowych. Sir Francis Bacon gniewały przesady i brak naukowości we współczesnym mu świecie. Chcąc zerwać z tym stanem rzeczy, domagał się przeprowadzania możliwych do wielokrotnego sprawdzania i powtarzania eksperymentów. Punktem wyjścia każdego poznania jest doświadczenie, pisał Bacon, a między doświadczeniem i rozumem musi powstać swoisty „związek małżeński”. Dla Sir Francis Bacon nauka była środkiem wiodącym do celu („Wiedza jest władzą”). Na drodze prowadzącej bezpośrednio do poznania świata muszą zniknąć wszystkie złudzenia poznawcze (tak zwane idole).

Te reguły gry obowiązują w naukach przyrodniczych aż do naszych dni. Naukowcy nimi się kierujący nie chcą jednak przyjąć do wiadomości, że zniekształcają one obraz świata. „Intuicja” albo „fantazja” uchodzą za takie same złudzenia jak odkrywanie UFO. Dialog człowieka z „niebiańskim nauczycielem” musi już a priori być złudzeniem, gdyż „niebiańscy nauczyciele” nigdy nie istnieli. Jeśli nie ma naukowych przyrządów, które mogłyby rejestrować telepatię, to nie ma także i telepatii. Jeśli ani człowiek, ani materiał nie byłby w stanie wytrzymać tak wymyślnych manewrów lotniczych, jakie opisuje się w wypadku UFO, to w takim razie nie ma UFO. Jeśli prastare, liczące tysiąclecia rysunki skalne pokazują nam człowieczka w skafandrze astronauty, to nie chodzi nigdy o to, co rzeczywiście widnieje na skalnej ścianie, ale o fantazje

artysty malującego przed tysiącami lat obrazy skalne albo o odtworzenie jakiegoś zjawiska przyrodniczego. Jeśli w prastarych przekazach — pisanych w pierwszej osobie — ich autorzy utrzymują, iż jakieś postacie boskie domagały się od nich tego lub owego, że coś głośiły, coś nakazywały — to twierdzi się, iż autor był fantastą, marzycielem, nauczycielem, który przemawiał stosując przypowieści, albo też robi się z niego osła. Przypisuje mu się wszystko, byle tylko nie przyznać, że jest realistą opisującym fakty i rekonstruuującym rzeczywistą rozmowę. W takiej logice właściwie zdumiewa tylko jedno: dlaczego teologowie na podwalinie (rzekomo zmyślonego) faktu budują cały system religijny w otocze nadętych fraz naukowych. Nauki przyrodnicze odrzucają owe „złudzenia poznawcze”, a teologia właśnie na ich podstawie stara się ugruntować własną naukowość.

Tak więc zaproponowana przez Sir Francisca Bacona droga poznania naukowego okazała się pod niektórymi względami ślepy m zaułkiem. Sprzyja ona wyciąganiu zbyt pochopnych wniosków, które trudno potem weryfikować i modyfikować.

Wynika z tego, iż nauki przyrodnicze nie są zainteresowane jakimiś bogami z zamierzchłej przeszłości — a jeszcze mniej interesuje się nimi teologia, gdyż właśnie ona próbuje od stuleci propagować swe stare przesady. Obydwie postawy muszą oddziaływać na społeczeństwo, w którym żyjemy. Stąd żadna gazeta codzienna, żaden magazyn nie odważy się zaprezentować bez uprzedzeń tego tematu. Kosmici w starożytności? Wpływ wywierany przez istoty pozaziemskie na człowieka? UFO? Nie istnieje. Wszystko to „złudzenia”.

A jeśli już mimo wszystko ktoś się ośmieli opublikować te nieprawdopodobne wnioski, to szybko zostanie ośmieszony przez samozwańczych strażników prawdziwej nauki, którzy będą dowodzić swej intelektualnej wyższości. Są to (między innymi) panie i panowie z Committee for Scientific Investigation of Claims of the Paranormal, w skrócie CSICOP. Członkowie tej nowej inkwizycji nie noszą już wprawdzie habitów, lecz bombardują wszystkie możliwe instytucje „naukowymi” listami i argumentami, nie chcąc dopuścić do rozmycia dotychczas istniejącej „prawdziwej nauki”.

Jak widać, konieczne jest, by ktoś zarażony bakcylem swych odkryć, mający szczęście znalezienia wydawcy, pisał jednak książki. Bez książek nic się nie dokona. Zbyt silna jest blokada nauki i teologii. Nigdy za wiele dobrych książek o nowych ideach i nowych teoriach. A to, co Hartwig Hausdorf opisał w swej książce, nigdy jeszcze nie było publikowane. Życzę Państwu ciekawej i pasjonującej podróży na Daleki Wschód.

Erich von Däniken

Wprowadzenie

Wylom w murze

Pracuję w turystyce. Mój zawód polega na doradzaniu klientom, jak powinni spędzić urlop, tych kilka najbardziej wartościowych tygodni w roku. Może to być źródłem bardzo wielkiej radości, zwłaszcza gdy podróż przysporzy głębokich przeżyć. Ale już samo podróżowanie do obcych krajów dostarcza wielu wrażeń i w niezwykle sposób rozszerza nasze horyzonty.

Od blisko dwudziestu pięciu lat interesuje mnie problem, czy nasza planeta nie była w przeszłości odwiedzana przez niezwykle inteligentne istoty z kosmosu, przez kosmicznych pilotów reprezentujących obcą cywilizację, nieporównanie wyższą od naszej. Mój początkowo bezkrytyczny zachwył ustąpił jednak głębszej refleksji. Powiedziałem sobie: to zbyt fantastyczne, to przesada. Ale w efekcie długiego zajmowania się tą materią doszedłem do następującego wniosku: niekonwencjonalny sposób patrzenia na pewne sprawy może być drogą do bardziej prawdopodobnych odkryć niż ta inna optyka, dopuszczająca jedynie „naturalne” oraz konwencjonalne interpretacje i nie tolerująca żadnych wypadków w sferę fantastyki. Być może niedługo już nadejdzie pora, gdy dotychczasowe interpretacje okażą się przestarzałe i nieistotne. Przykład grobowej płyty z Palenque dowodzi, do jakich wykrętów logicznych uciekają się interpretatorzy, by trwać przy konwencjonalnych wyjaśnieniach kosztem treści w najwyższym stopniu fantastycznych.

Jeśli w tej książce zajmuję się głównie Chinami i państwami z nimi sąsiadującymi, to powody, które mną kierowały, są szczególnego rodzaju.

Już od dawna fascynował mnie ten krąg kulturowy, gdyż Państwo Środka było dostarczycielem idei dla kultury Zachodu. Wielka liczba zdobyczy technicznych pochodzi stamtąd, liczne dziś oczywiste wynalazki zawdzięczamy Chińczykom. Doszła do tego jeszcze ta sprzyjająca okoliczność, że w ostatnich latach mogłem kilkakrotnie odbyć podróże po Chińskiej Republice Ludowej. Nigdy nie pomijałem okazji, by, jeśli to tylko możliwe, zdobyć wiadomości na temat wspomnianych zagadek i nieporozumień. Drugi powód jest jednak o wiele bardziej istotny.

Jeśli gdziekolwiek jeszcze na świecie można ustalić potwierdzone fakty, które uznalibyśmy za dowód obecności pozaziemskich astronautów na naszej planecie, to Państwo Środka i owiana od dawna zagadkową tajemniczością Azja Środkowa znalazłyby się na pierwszym miejscu listy wchodzących tu w grę obszarów. Chińczycy potrafili odizolować się od reszty świata, mimo uprawiania handlu z sąsiadami już od najdawniejszych czasów. Żaden inny naród na ziemi nie wpadł na pomysł, by dla ochrony swego terytorium przed najeźdźcami wybudować mur, budowlę tak długą, że jako jedyne dzieło rąk ludzkich postrzegana jest gołym okiem z Księżyca. Jednak o wiele bardziej spektakularny monument czeka w prowincji Shaanxi na swego interpretatora. Gigantyczna piramida, wysoka na dobrych trzysta metrów, opisana przez podróżników z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego stulecia i sfotografowana przez jednego z pilotów US-Air Force. Istnieją doniesienia o większej liczbie takich piramid w górskich regionach Shaanxi. Po raz pierwszy udało się zdobyć i opublikować w tej książce fotografię „wielkiej białej piramidy” i zdjęcia dwu innych piramid z okolic miasta Xi'an.

Prawie żaden mieszkaniec Zachodu nie wie o ich istnieniu, gdyż relacje z Chin już od wieków docierają do nas z wielkimi trudnościami. Czy to w ciągu stuleci władania następujących po sobie dynastii, które swe początki zawsze wywodziły od „boskich nauczycieli” i „synów niebiańskich”, czy też w naszym stuleciu, gdy krwawe przewroty i rewolucje ruszały z posad ten dalekowschodni kraj — świat zawsze domyślał się tylko, co się zdarzyło w Chinach. Nawet otwarcie na Zachód, dokonujące się po śmierci Mao Zedonga (Mao Tse-tunga) i upadku „bandy czworga”, odbywa się z najwyższą ostrożnością i powściągliwością.

Tak samo dzieje się w Tybecie — tajemniczym kraju w Himalajach, i w Mongolii. Wokół każdego klasztoru powstają tam dziś jeszcze niezliczone i najdziwniejsze legendy. To samo działo się w Japonii, póki przy końcu drugiej wojny światowej Ameryka — jej przeciwnik — dwoma ognistymi znakami w dwu najważniejszych centrach przemysłowych cesarstwa nie położyła gwałtownie kresu *splendid isolation*, izolacji wynikającej z własnego wyboru.

Chciałbym w tej książce zająć się nie tylko oznakami wskazującymi, że w zamierzchłej przeszłości odwiedzały naszą ziemię istoty rozumne. Pragnę raczej podjąć próbę ukazania faktu, że owe kontakty sięgały głęboko w czasy objęte przekazami historycznymi. Możliwe, iż tego rodzaju wizyty wciąż mają miejsce. W ubiegłych latach związki między preastronautyką a problemami UFO stały się jeszcze wyraźniejsze.

W tej sferze zaczyna dziać się coś nowego, widnieją oznaki jakiegoś fermentu. Coraz większa liczba

świadków twierdzi, że uprowadziły je „małe, zielonoskóre i obrzydliwe istoty” do latających obiektów. Wygląda na to, że nie można już dłużej tych relacji po prostu wkładać „między bajki”. Niektórzy do tej pory sceptyczni naukowcy sygnalizują zmianę swych dotychczasowych poglądów.

Z tych powodów uznałem za stosowne, by włączyć do tej książki rozdział o *abductions*, jak w żargonie fachowców określa się te uprowadzenia. W czasie pracy bowiem coraz wyraźniej uzmysławiałem sobie, że podobieństwa z tematami poruszonymi w innych rozdziałach są więcej niż wyraźne. Miałem też szczęście natknąć się na dotychczas nie znane zdarzenie tego rodzaju w Niemczech.

Ale wróćmy do Chin. W sferze obserwacji obiektów latających prowadzi się tam do tego stopnia liberalną politykę informacyjną, że mogłaby ona stanowić powód do dumy w niejednym państwie demokratycznego Zachodu. Nie trzeba tu powodować na drodze sądowej udostępniania przez tajne służby materiałów dotyczących UFO, co często dzieje się w USA. Jeśli jednak chodzi o przeszłość, to dane, które do nas docierają, mają charakter szczątkowy. Informują one o nadzwyczaj zagadkowych znaleziskach za „chińskim murem milczenia”. Wciąż jednak, podobnie jak w przeszłości, wiele faktów się dementuje, wiele się przemilcza, wiele się odrzuca — zwłaszcza u nas na Zachodzie — jako zwyczajną mrzonkę.

Jeśli chodzi o piramidy w prowincji Shaanxi i w okolicach jej stolicy, Xi'an, nie będzie ich można zbyć milczeniem, a to dzięki opublikowanym w tej książce fotografiom. I w imię licznych nie odgadniętych jeszcze zagadek i tajemnic domagam się: Uczyńmy wyłom w tym murze!

I

Synowie żółtych bogów — Osobliwy spadek po ojcach z kosmosu?

Ludzie rasy żółtej, a więc Chińczycy, Mongołowie, Tybetańczycy i Japończycy, by wymienić podgrupy najbardziej liczne, odróżniają się wyraźnie pod względem fizycznym od innych ras ludzkich zamieszkujących naszą planetę. Encyklopedie mówią o grupie ras mongoloidalnych i dzielą ją na tunginidów, eskimidów, sibiridów oraz sinidów, do których należą cztery wspomniane wyżej podgrupy.

Obszary centralnej i wschodniej Azji zamieszkuje niezmiernie duża ilość ludów, z tego powodu niesłuszne jest określanie „Chińczyków” mianem jednolitego narodu. Z przeszło miliarda ludzi zamieszkujących Chinę, 93% należy do grupy Han, pozostałe 7% ludności — a więc około osiemdziesięciu milionów — dzieli się na pięćdziesiąt pięć oficjalnie uznawanych mniejszości etnicznych. Mają własną kulturę, własne języki, w wielu wypadkach własne pismo. Najliczniejszą mniejszością jest trzynastomilionowa grupa Zhuang, najmniej liczną — grupa Hezhe obejmująca tysiąc czterystu ludzi, żyjących w najbardziej na północ wysuniętej prowincji Heilongjiangsheng. Aktualnie mieszka w Chinach około miliona ludzi, których nie można przyporządkować do żadnej ze znanych grup. Są członkami około dwudziestu pięciu plemion, starających się o uzyskanie od rządu w Beijing (Pekinie) statusu mniejszości narodowych.¹

Wszystkie te należące do grupy mongoloidalnej narody zdają się posiadać jedną cechę wspólną: są — pomijając wyjątki — niższego wzrostu i delikatniejszej budowy ciała niż reprezentanci pozostałych ras zamieszkujących naszą planetę. Dlaczego tak jest? Skąd się bierze tak widoczna różnica? Czy rasa żółta nie pochodzi przypadkiem od istot pozaziemskich? I czy nie zachowała w znaczącym stopniu wyglądu oraz właściwości „bogów”, którzy przybyli na Ziemię z gwiazd?

Liczne przekazy ludowe tego obszaru nie tylko mówią o odwiedzinach istot pozaziemskich, ale wyraźnie sugerują pochodzenie poszczególnych narodów od tych istot, które przyniosły im kulturę oraz cywilizację.

W tak zwanym rękopisie Chi mowa jest o tym, że w zamierzchłej przeszłości Chinami rządziła przez osiemnaście tysięcy lat dynastia niebiańskich władców, której członkowie zstępowali z nieba. Inne przekazy mówią o boskich początkach rasy żółtej. Protoplaści mieli przybyć z kosmicznych przestrzeni na ognistych smokach, zasiedlając z Chin całą planetę.²

Ale nie tylko mity lub przekazy są źródłem intrygujących zagadek. Wiele osobliwości tkwi znacznie głębiej. Nawet w praformach pisma chińskiego odnaleźć można aluzje i wskazówki odnoszące się do wpływu istot pozaziemskich.

Litera oznaczająca „niebo”

Praformą chińskiego pisma były hieroglificzne znaki obrazkowe, które zaczęto stosować około pięciu tysięcy lat temu. Początkowo ryto je w kościach lub pancerzach żółwi w profetycznych inskrypcjach. Przykłady pierwszych znaków chińskich odnaleziono w roku 1899 w okolicach Anyang, w prowincji Henan położonej na południe od Beijing. Odnalezione w prowincji Gansu naczynia gliniane z wizerunkami ludzi i zwierząt datuje się także na trzecie tysiąclecie przed Chrystusem.¹

Znaki chińskiego pisma zawsze wyrażają konkretny symbol; można też prześledzić ich rozwój zmierzający przez szereg faz od czystego pisma obrazkowego do dziś stosowanych, abstrakcyjnych liter. Tak więc w pierwotnym piśmie obrazkowym można rozpoznać schematyczne przedstawienie konkretnych przedmiotów, jak narzędzia i broń, można też rozróżnić kształty istot żywych. Łatwo zidentyfikować jelenia, rybę lub żółwia, by ograniczyć się do kilku przykładów. Znaki wołu, owcy, psa i ropuchy można bez trudu odróżnić nawet w nowoczesnych formach pisma.

Dlaczego jednak pierwotny znak określający niebo („*tien*”) podobny jest do człowieczka narysowanego cienką kreską, z chudymi kończynami i wielką, rozdętą głową? Czy to przypadek, że pierwotne znaczenie słowa „niebo” odnosiło się „do tych, którzy zstąpili z nieba”? Wówczas musiało dziać się coś bardzo interesującego, skoro to pojęcie uosabia kogoś, kto przybywa z kosmosu. Czy i w tym przypadku dokładnie rekonstruowano rzeczywistość? Konkretną istotę, którą widziano, gdy zstępowała na ziemię z nieba (czytaj: z kosmosu)?



1. Rozwój pisma chińskiego z symboli obrazkowych na przykładzie znaków „ropuchy” (u góry) i „nieba” (u dołu). Pierwotny ideogram oznaczający „niebo” (po lewej) podobny jest do postaci z dużą głową i cienkimi kończynami; oznacza też: „ten, który przyszedł z nieba”

Mimowolnie przychodzą mi na myśl mity i legendy z terenu Bajan Chara-Uła, w których mowa o „małych, chudych ludziach, którzy zstępowali z obłoków”. Mieli nieproporcjonalnie duże głowy na chudych jak wrzeczona ciałach, a tubylcy początkowo na nich polowali i ich masakrowali. Znaleźiska szkieletów w skalnych jaskiniach tego obszaru przydają wiarygodności tym legendom.

Kojarzenie pojęcia „niebo” ze zjawiskami naturalnymi, jak błyskawica lub grzmot, co chętnie sugerują zwolennicy teorii konserwatywnych, nie jest do końca przekonujące. Zbyt wyraźna jest tu sugestia odnosząca się do konkretnych istot, nie zaś do abstrakcyjnych zjawisk.²

Park maszynowy Tajów

W południowej prowincji Yunnan mieszkają Tajowie (Dai), stanowiący jako dziewięćset tysięczna populacja jedną z najliczniejszych mniejszości etnicznych. Tajowie są niezależną podgrupą w obrębie mongoloidów i dzielą się na trzy gałęzie: Shan, Lao i Siamezów. Ci ostatni zamieszkują głównie królestwo Tajlandii, graniczące od południa z Chinami.

Pochodzenie Tajów łączy się z kosmosem. Rdzeń słowa t'ai oznacza w dosłownym tłumaczeniu tyle co „pra”, „najwyższy”, T'ai-kung można przetłumaczyć jako „wszechświat”, podczas gdy T'ai-hsi oznacza „kosmos”.

Mity tej grupy etnicznej, której galerię przodków otwiera T'ai-Ho, żyjący jakoby przed pięcioma tysiącami lat, zawierają wyobrażenia przedmiotów, które można zinterpretować jako całkowicie nowoczesne. Opowiadają one o żółwiu Nai, posiadającym trójnożną podbudowę. A więc instrument rozwiniętej techniki? Swego rodzaju wieloczynnościowy wehikuł do poruszania się w trudnym terenie? Metaliczna ryba Ao miała natomiast wyglądać jak smok i mieć zdolność pożerania ognia. A „sowy Tajów”, które jak „powozy demonów” nocą z „pustym sykiem” latały nad linią horyzontu, są raczej niedokładnym obrazem obiektów technicznych, niż aktywnych nocą ptaków polujących na myszy.³

Ku Ziemi na „jaśniejących kołyskach”

Podobne sugestie odnaleźć można w Japonii. Wedle mitologii Ajnów, żyjących w niewielkiej liczbie na wyspie Hokkaido, a uznawanych za praludność wyspiarskiego państwa, bóg Okiki-Rumi-Kammi zstąpił na ziemię w jarzającej się jaskrawym blaskiem „shintą”, tradycyjnej kołysce tego tajemniczego ludu. Ów bóg nauczył Ajnów żyć „we właściwy sposób”, a więc wedle jego praw. W czasach swej aktywności miał podobno zniszczyć złego demona. Do osobliwości należy fakt, że na dawnych kołyskach sporządzanych przez rzemieślników z plemienia Ajnów uwidoczony jest wizerunek słońca.⁴

Czy dawni Ajnowie dlatego porównywali formę latającego pojazdu, na którym przybył do nich legendarny dawca praw, do kołyski dziecięcej, bo ta kojarzyła im się najbardziej z kształtem boskiego wehikułu? A może tkwi w tym wszystkim głębsza symbolika, to znaczy pojazd kosmiczny boga, który dla Ajnów jest ich protoplastą, uznawany jest za kołyskę narodu?

Tajemniczy lud Jukagirów

W syberyjskich pustaciach, między rzekami Janą a Kołymą oraz między Morzem Łaptiewów a Górami Wierchojańskimi, żyją Jukagiry. Ów naród zasiedlający bardziej na północ wysunięte szerokości geograficzne niż Islandia stanowi ułamek dawnej populacji. Przesiedlenia oraz inne represje stosowane przez

komunistyczną dyktaturę przyczyniły się do zdziesiątkowania ludności.

Ci właśnie Jukagirzy twierdzą, iż protoplastami ich były nieforemne istoty z nieba, które dzięki własnym siłom czarodziejskim przemieniły się w ludzi. Stosując nowoczesną interpretację powiemy, że cały ten czar polegał na zrzuconiu przez istoty okryć wierzchnich: spod nieforemnych kształtów wylaniały się postacie ludzkie.

Osobliwe są obrzędy pogrzebowe Jukagirów, praktykowane także przez inną grupę etniczną zamieszkującą Syberię — Jakutów. Ludy te ustawiają trumny z umarłymi na gałęziach wysokich drzew albo na sporządzonych specjalnie w tym celu rusztowaniach. Następnie śpiewają pieśń żałobną: „Spijcie, śpijcie, aż przybędą duchy z gwiazd na swych jaśniejących wozach.”^{4,5}

Wskazówki co do wizyt niebiańskich lub pochodzenia od „bogów” z kosmosu nie ograniczają się naturalnie do obszarów centralnej Azji; jako składowa część mitów o stworzeniu świata występują w każdym miejscu kuli ziemskiej. I tak przekazy kanadyjskich Indian Pajuta mówią o „Gitchi Manitu”, Wielkim Duchu, który posłał potężnego i gromowładnego ptaka, by ten znalazł miejsce, gdzie mogliby żyć jego synowie. Ptak ów odnalazł w końcu naszą Ziemię i sprowadził na nią Indian.

Wyrażone na początku przypuszczenie, że protoplastami rasy żółtej może być jakaś osobna grupa przybyszów z kosmosu, zyskałoby na wadze, gdyby uwzględnić specjalne zdolności przedstawicieli tej rasy. I rzeczywiście, wielu z tych ludzi zdaje się dysponować zdolnościami wykraczającymi daleko poza granicę tego, czego przeciętny współczesny człowiek może dokonać, pominawszy ludzi tzw. kultur prymitywnych, dysponujących (jeszcze) zdolnościami, które my, pełni niechęci do już od dawna koniecznego, choć jeszcze nie zrealizowanego rozszerzenia naszego naukowego światopoglądu, definiujemy jako paranormalne. Czyż Azja nie uchodziła z dawien dawna za kontynent świętych i szarlatanów, cudów i cudowności?

Przewycięzenie siły ciężenia

W listopadzie 1992 roku spędziłem kilka dni w Shanghai (Szanghaju), największym mieście Chin. Metropolia licząca dwadzieścia milionów mieszkańców leży nad rzeką Huang-Pu, trzydzieści kilometrów od jej ujścia i jest trzecim co do wielkości miastem portowym świata. Miałem okazję obejrzeć tam popisy akrobatów z Shanghai, grupy, której sława rozciąga się daleko poza granicami Chin.

Niektórzy akrobaci zdają się z zapierającą dech zřęcznością przeczyć prawidłom grawitacji. Przyłapałem się na myśli, że ludzie ci mają zupełnie inny stosunek do sił przyciągania i do praw fizyki niż my, zwykli zjadacze chleba. Są to skojarzenia przychodzące do głowy wszystkim widzom tych niewiarygodnych ewolucji. Z pewnością ci artyści, podobnie jak ich koledzy z innych krajów, w pocie czoła i trudem rąk przygotowywali swe wspaniałe występy. Ale czy nie wyróżnia ich coś, co z braku innego określenia nazwać możemy „dziedzictwem bogów”? Dawne chińskie przekazy zawierają sporo aluzji do przewycięzania grawitacji. Na przykład alchemik Liu An miał w drugim wieku przed naszą erą przygotować wywar umożliwiający jakoby zniesienie skutków naturalnej siły ciężenia. Ludzie, którzy wypili nieco tego napoju, mogli bez trudu unosić się w powietrze. Sam Liu An odważnie wypróbował jego oddziaływanie na samym sobie.³

Czy mamy tu do czynienia z narkotykiem zmieniającym stany świadomości? Czy Liu An jest jednym z pierwszych w starożytności producentem syntetycznego narkotyku? Albo może rzeczywiście był w stanie za pomocą swej receptury dokonać czegoś w rodzaju aktu lewitacji? Zdolność tę pożytkowali często mongolscy i tybetańscy lamowie. Wielkie rzesze buddyjskich pielgrzymów miały okazję aż do czternastego wieku oglądać w klasztorze Chaldan unoszące się dwadzieścia centymetrów nad ziemią zwłoki reformatora Tsong Kaba.⁴

W tym miejscu przypomina się zdanie autora science fiction Arthura C. Clarke'a: „Kaźda dość wysoko rozwinięta technologia jawi się obserwatorowi stojącemu na niższym szczeblu rozwoju jako coś magicznego.”⁶

Wciąż o krok do przodu

Do zastanowienia zmusza fakt, że Chińczycy znacznie wcześniej od nas dysponowali wieloma zdobyczami cywilizacyjnymi, z których nasza zachodnia kultura jest tak dumna. Wszystko jedno, jakie wynalazki byśmy tu uwzględnili, dawni Chińczycy zawsze znacznie nas wyprzedzali. Nie chcąc w żaden sposób pomniejszać innowacyjnych zdolności tego narodu, zadaję sobie pytanie, czy owi genialni wynalazcy nie skorzystali przypadkiem z pomocy jakichś nauczycieli, by dzięki temu udowodnić swą wyższość nad

mieszkańcami pozostałych części globu ziemskiego. Chciałbym to zilustrować garścią przykładów:

— kompas: wynaleziony został w Chinach przed dwoma tysiącami lat, podczas gdy w Europie wykorzystano go do podróży morskich dopiero w trzynastym stuleciu;

— papier: Chińczycy stosowali papier już w 100 roku przed Chrystusem, w epoce dynastii Han. Najpierw wytwarzano go w procesie wymywania surowego jedwabiu, później stosowano włókna konopi. W Europie produkcję papieru rozpoczęto dopiero w dwunastym stuleciu;

— system dziesiętny: Chiny były pierwszym krajem, w którym zastosowano system dziesiętny, tysiąc lat wcześniej niż w Indiach, gdzie został wprowadzony w czwartym stuleciu przed Chrystusem;

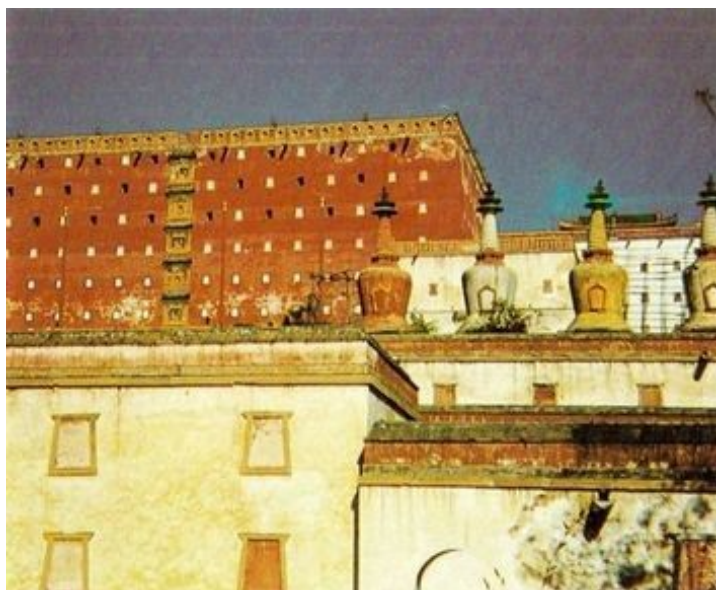
— proch strzelniczy: około roku 220 po Chrystusie zaczęto stosować w Chinach proch strzelniczy składający się z saletry, siarki oraz sproszkowanego węgla drzewnego. W epoce dynastii Sung cesarz Zhen-Zong (998-1022) kazał wybudować w ówczesnej stolicy Kaifeng pierwszą fabrykę prochu. Na Zachodzie udało się to dopiero pod koniec dwunastego stulecia. Osobliwością jest, że Chińczycy nie stosowali początkowo prochu do celów wojskowych, ale do ogni sztucznych. W określone dni wystrzeliwano w niebo rakiety na cześć bóstw!

— sejsmograf: pierwszy przyrząd do zapisu trzęsień ziemi został skonstruowany w roku 132 po Chrystusie przez Chang Henga. Ów sejsmograf był ośmiokątnym naczyniem z ośmioma smoczymi pyskami, z których każdy miał w zębach kulkę z brązu. Pod nimi stało osiem żab z brązu; gdy ziemia drżała, kuleczki wpadały do żabich pyszczków. W zależności od tego, do pyska której żaby wpadała kuleczka, można było ustalić dokładny kierunek epicentrum. W Europie pierwszy sejsmograf skonstruowano dopiero w dziewiętnastym stuleciu.

Elektryczne izolatory?

Dawni Chińczycy potrafili też zapewne wykorzystywać elektryczność. W północnej części prowincji Hebei leży miasto Chengde (Czengte). Niegdyś było letnią rezydencją cesarzy chińskich. Do osobliwości Jehol, jak nazywano dawniej to miasto, należy szereg kompleksów świątynnych rozciągających się pośród malowniczych ogrodów.

Na północ od Chengde leży świątynia Putuozongsheng Miao, dokładna kopia pałacu Potala w Lhasie. Budowę jej ukończono w roku 1767. Wokół niej, na wysokich murach obronnych stoją osobliwe, nadludzkie rozmiarów konstrukcje. Uderza w nich podobieństwo do współczesnych izolatorów stosowanych w stacjach transformatorowych lub w elektrowniach. Szczególnie zaskakujące są górne części, zwieńczone ostrymi czubkami. Mają taki sam kształt, jak nasze izolatory z porcelany. Nie uzyskałem w Chengde zadowalającej odpowiedzi na pytanie, co wyobrażają te osobliwe konstrukcje. Usłyszałem, że miały to być przybory stosowane przy ceremoniach — co w zasadzie niczego nie tłumaczyło.



2. Osobliwe elementy architektoniczne na murach świątyni Putuozongsheng niedaleko Chengde przypominają kształtem nowoczesne izolatory

Osobliwe zdolności, jakimi zdaje się dysponować wielu Chińczyków, nasza nauka klasyfikuje jako paranormalne. W dzisiejszych Chinach prowadzi się intensywne badania nad zjawiskami parapsychologicznymi, choć w czasach Mao Zedonga w najlepszym wypadku je ignorowano — wszelkie

manifestacje sfery metafizycznej były dla ówczesnych władców w Beijing podejrzane. Badania te są nie tylko tolerowane, ale odbywają się nawet z wyraźnym poparciem i przy dużym zainteresowaniu ze strony władz. Zwłaszcza wojsko objawia — podobnie jak na całym świecie — szczególne zainteresowanie postęпами w tej dziedzinie.

Znika i znów się pojawia

Chciałbym ukazać to na bardzo spektakularnym przykładzie, choćby tylko dlatego, że w czasie mojej podróży obejrzałem widowisko, które, jak się wydaje, można wyjaśnić jedynie odwołując się do technik paranormalnych. Chodzi o eksperymenty w zakresie teleportacji. A więc nie tylko o zdolności jakiejś osoby do poruszania materialnych przedmiotów przy zastosowaniu czysto psychicznych sił (telekineza), ale o ukrywanie przedmiotów w jednym miejscu i ujawnianie ich w innym.

Bardzo duże sukcesy w pracy z młodymi mediami psychokinezy odnosił między innymi jeden z dotowanych przez armię zespołów badawczych uniwersytetu w Beijing. Zadanie realizowane w tej części doświadczeń, przy których obecni byli także pracownicy Instytutu Wysokich Energii oraz Instytutu Normalizacji, polegało na teleportacji miniaturowego nadajnika oraz papieru fotograficznego o wysokiej światłoczułości.

Jedna z osób biorących udział w eksperymencie miała w kieszeni spodni miniaturowy nadajnik na baterie oraz światłoczuły papier w zapieczętowanym pojemniku przytwierdzonym do ubrania agrafką. Prowadzący eksperyment zażądał, by przemieszczono wysyłający sygnały nadajnik do innego miejsca w tym pomieszczeniu lub do innego pomieszczenia. Doświadczenie przeprowadzono pod ścisłą kontrolą naukowców. Zwracano zwłaszcza uwagę na to, by osoba biorąca udział w eksperymencie nie zbliżyła nawet rąk do doświadczalnych obiektów. Media psychokinetyczne potrzebowały od 24 sekund do 61 minut, aby doprowadzić do zniknięcia nadajnika ze swego miejsca. Odnalezienie przedmiotu wymagało czasu od 0 sekund do 24 minut. Uczestniczący w testach badacz dr Lin Shu Lung oraz jego koledzy Hsu Hung-Chang i Chen Shou Liang obserwowali uważnie na ekranach monitorów sygnały wysyłane przez nadajnik. W fazie, podczas której przedmiot uległ najprawdopodobniej dematerializacji, zaobserwowali na ekranach chaotyczne wahania sygnałów. Niekiedy przyrządy kontrolne przestawały odbierać sygnał. W trakcie podobnej serii testów z dwoma mediami psychokinetycznymi naukowcy zażądali, by przenieść nie naświetlony papier fotograficzny z jednego pojemnika do drugiego. Pojemniki zostały przytwierdzone agrafkami do ich kurtek. Dano więc sygnał, by papier przemieścił się z jednego pojemnika do drugiego — pustego, przytwierdzonego do ubrania innej osoby. I zdarzył się fakt niewiarygodny: papier fotograficzny zniknął z jednego pojemnika i pojawił się w drugim, do tej pory całkowicie pustym. Gdy otworzono pojemnik odbiorcy w ciemni fotograficznej, okazało się, że papier wciąż był nie naświetlony.⁷

Fantastyczny spektakl

Dwudziestego ósmego listopada 1992 roku sam byłem świadkiem przedstawienia przypominającego opisane wyżej eksperymenty. O ile wiem, nie było naukowców kontrolujących jego przebieg, ale obecność wielkiej liczby uważnych widzów przemawia przeciw interpretacji tego wydarzenia w kategoriach triku.

Podczas wspomnianego spektaklu z udziałem akrobatów z Shanghai wystąpił artysta, któremu udało się sztuka mogąca wprawić w niemałe zdumienie iluzjonistów występujących na naszych scenach. Numer odbył się na w pełni oświetlonej scenie, przed oczami setek zdumionych widzów, obserwujących spektakl z zapartym tchem.

Na arenę wyszedł mężczyzna z wielkim radiomagnetofonem produkcji japońskiej. Wyciągnął go z oryginalnego opakowania — ze sztywnego kartonu. Asystent podał mu nagrany kasetę, którą on włożył do odtwarzacza. Rozległa się muzyka o najlepszej jakości dźwięku. Ale cały ten numer nie miał być reklamą japońskich radiomagnetofonów. Zademonstrowawszy widzom magnetofon z płynącą zeń muzyką, artysta schował go do kartonu, który leżał koło niego. Przez cały czas rozlegała się muzyka. Setki oczu wpatrywało się w artystę. Ja siedziałem w odległości kilku metrów od niego, z wyteżoną uwagą oczekując jakiegoś manewru, który miałby odciągnąć uwagę widzów od kartonu. Dzięki niemu uda się artyście — byłem o tym święcie przekonany — w sposób niedostrzegalny dla widowni ukryć radiomagnetofon. To trik stosowany często przez naszych iluzjonistów.

Lecz tego, co nastąpiło, do dziś nie mogę pojąć: po niecałych dziesięciu sekundach od chwili zamknięcia kartonu radiomagnetofon w jego wnętrzu przestał grać. Od chwili ukrycia aż do momentu

zamilknięcia radiomagnetofon, podobnie jak pudło, znajdował się wyłącznie w rękach artysty. Obydwu przedmiotów nie stawiano ani na ziemi, ani na jakimkolwiek podeście. To, co rozgrywało się na arenie, można było dobrze obserwować ze wszystkich stron. Nie było żadnego drugiego dna. Gdy artysta otworzył pudło, okazało się całkowicie puste! Artysta zamknął ponownie pusty karton zademonstrowawszy go uprzednio zdumionej publiczności. Odbywało się to wszystko na oczach widzów, podobnie jak pozostałe elementy tego niezwykłego występu. I znów nie minęło dziesięć sekund, jak rozległa się muzyka dobiegająca z radiomagnetofonu. Iluzjonista wyciągnął z kartonu przedmiot, który ponownie nabral materialnych kształtów.

Fascynujący spektakl wywarł trwałe wrażenie z pewnością nie tylko na mnie, o czym świadczą frenetyczne oklaski, którymi został nagrodzony. Muszę się przyznać, że nie mogłem rozgryźć całej tej sprawy aż do momentu, gdy wpadło w moje ręce sprawozdanie z teleportacyjnych eksperymentów pekińskiego zespołu badawczego. Od tej pory z jeszcze większym szacunkiem wspominam wieczór szanghajskich akrobatów.

Po tej dygresji w obszary parapsychologii i parafizyki chciałbym zwrócić uwagę na istotny problem. Czy kosmiczni nauczyciele, pojawiający się lakże w drzewie genealogicznym rasy żółtej, nie pozostawili jej w spadku całego szeregu niezwykłych zdolności, które tu i ówdzie dochodzą do głosu? W każdym razie jeżeli założymy, że wysłańcy owych bardziej rozwiniętych kultur stosowali techniki paranormalne, musimy przyznać, że parapsychologia wiąże się z preastronautyką. Mitologie wielu ludów zamieszkujących całą kulę ziemską zdają się ten fakt potwierdzać.⁸

Jeśli „bogowie” stworzyli nas na swoje podobieństwo, to dlaczego nie mieliby wyposażyć swych twórców w środki oraz zdolności, które w niedalekim czasie mogą okazać się całkiem naturalnymi zdolnościami członków wysoko rozwiniętych społeczeństw!

Nago w odwiecznej zmarzlinie

Chciałbym te rozważania zamknąć omówieniem fenomenu prezentowanego przez tzw. świętych mężów w śnieżnych pustyniach Himalajów. Chodzi tu o zjawisko określane w literaturze jako „ciepły płaszcz bogów”.

Tumo (dokładna pisownia: Gtummo) jest tybetańskim określeniem zdolności wytwarzania w paranormalny sposób ciepłoty cielesnej. Mistrzowie tumo podobno są zdolni przeżyć nago całą zimę w Himalajach, nie marznąc i nie ponosząc uszczerbku na zdrowiu. W wypadku tych praktyk istnieje kilka stopni, które nowicjusz sztuki tumo musi osiągnąć. Ćwiczenia przygotowawcze rozpoczynają się muszą o poranku, kończyć natomiast jeszcze przed zachodem słońca. Adepci są albo nadzy, albo też odziani w cienką tkaninę bawełnianą. Początkujący mogą siadać na desce lub na macie, zaawansowani mogą odpoczywać jedynie na gołej ziemi albo nawet w śniegu. Podczas wykonywania ćwiczeń obowiązuje ścisły zakaz przyjmowania jakichkolwiek płynów lub stałych pokarmów.

Celem tej dla nas niezrozumiałej tortury jest uzupełnienie spowodowanego brakiem odzienia ubytku ciepłoty przez wytworzenie wspomnianego tumo. A ponadto adepci, osiągnąwszy już wyższy stopień wtajemniczenia, powinni wytworzyć tyle ciepła, by suszyć narzucone na ich ciała mokre ręczniki. Ten etap tumo musi być realizowany nocą, między zachodem a wschodem słońca.

Bardziej zaawansowani uczniowie siadają nago na ziemi i przez pomocników zostają owinięci ręcznikami zanurzonymi w lodowatej wodzie. Ich zadanie polega na tym, by zeszywniałe w temperaturach poniżej zera ręczniki odmrozić, a następnie za pomocą ciepła wytworzonego przez ciało osuszyć. Gdy już to się dokona, zabawa rozpoczyna się od początku. Wydaje się to niewiarygodne, ale doświadczeni mistrzowie tumo są w stanie około czterdziestu razy w ciągu nocy dokonać procesu suszenia.^{9, 10} U nas podobne relacje klasyfikuje się zbyt szybko jako fantazje, przede wszystkim dlatego, że tego rodzaju praktyki są naszej cielesności bardziej niż obce. Ale przez demonstrację bólu, jaki sprawiłoby nam leżenie na desce z wystającymi gwoździemi, nie można negować istnienia fakirów. Tak więc ów azjatycki kontynent z pewnością chowa dla nas w zanadrzu wiele niespodzianek, których źródłem mogą być jego mieszkańcy, ich kultura oraz ich przeszłość. To, co dziś przenika do nas z niezbadanych głębin pradziejów tego regionu, brzmi tak niewiarygodnie, iż naukowcy zachodni są skłonni to zignorować, ukryć, przemilczeć.

W następnych rozdziałach opowiem nieco więcej o tych spektakularnych odkryciach i zdarzeniach.

II

Bajan Chara-Uła — Bilans

Mniej więcej w połowie lat sześćdziesiątych — rozmaici autorzy^{4, 11} prezentujący w swych pracach hipotezę paleo-seti mówią albo o roku 1965, albo 1968 — na Zachód dotarła wieść o dziwnym znalezisku archeologicznym w Chińskiej Republice Ludowej. Dzięki niemu można uznać za przebrzmiałe i wyrzucić na śmietnik historii wiele utrwalonych, zdawałoby się, teorii ortodoksyjnych badaczy starożytności. Ukazujący się wówczas radziecki miesięcznik popularnonaukowy „Sputnik” opublikował sprawozdanie o odkryciu dokonanym pod koniec lat trzydziestych w niedostępnych górskich regionach Chin. Dotyczyło ono przypuszczalnie grupy istot pozaziemskich, które na skutek technicznej awarii pojazdów przymusowo lądowały na naszej planecie.

W tym miejscu chciałbym poczynić kilka uwag na temat prasoznawczego kontekstu ówczesnej publikacji. Czasopismo „Sputnik” było w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, podobnie jak „Russische Digest” i „Sowjetunion heute”, czymś w rodzaju tuby, która przekazywała informacje o tym, co dzieje się za żelazną kurtyną — informacje niekoniecznie natury ideologicznej. Nawet tak u nas znana idea astronautów-bogów została tam właśnie zaprezentowana, zanim spopularyzowali ją na Zachodzie Erich von Däniken, Robert Charroux oraz inni przedstawiciele fantastycznego realizmu. W Europie Wschodniej jej rzecznikami byli żyjący dziś w USA profesor Matest M. Agrest oraz jego rodak, pisarz i filolog, Wjaczesław Zajcew. Na przełomie lat 1960/1961 publikowali swe hipotezy na temat możliwości wpływu, jaki na egzystencję ludzi wywierali pozaziemscy astronauta. Jako główny argument i główną poszlakę przytaczali zniszczenie Sodomy i Gomory — ich zdaniem na skutek wybuchu bomb atomowych — a także gigantyczną „platformę lądowiska” w libańskim Baalbek. Argumentowali powołując się na osobliwe teksty, czarne, szkliste kamienie, mające rzekomo wydzielać radioaktywne promieniowanie, których pochodzenie jest do dziś sporne, znajduwane często w krajach Bliskiego Wschodu i w innych regionach globu ziemskiego. Wskazywali na ich zdumiewające podobieństwo ze szklistymi skałami powstającymi w wyniku prób atomowych.¹²

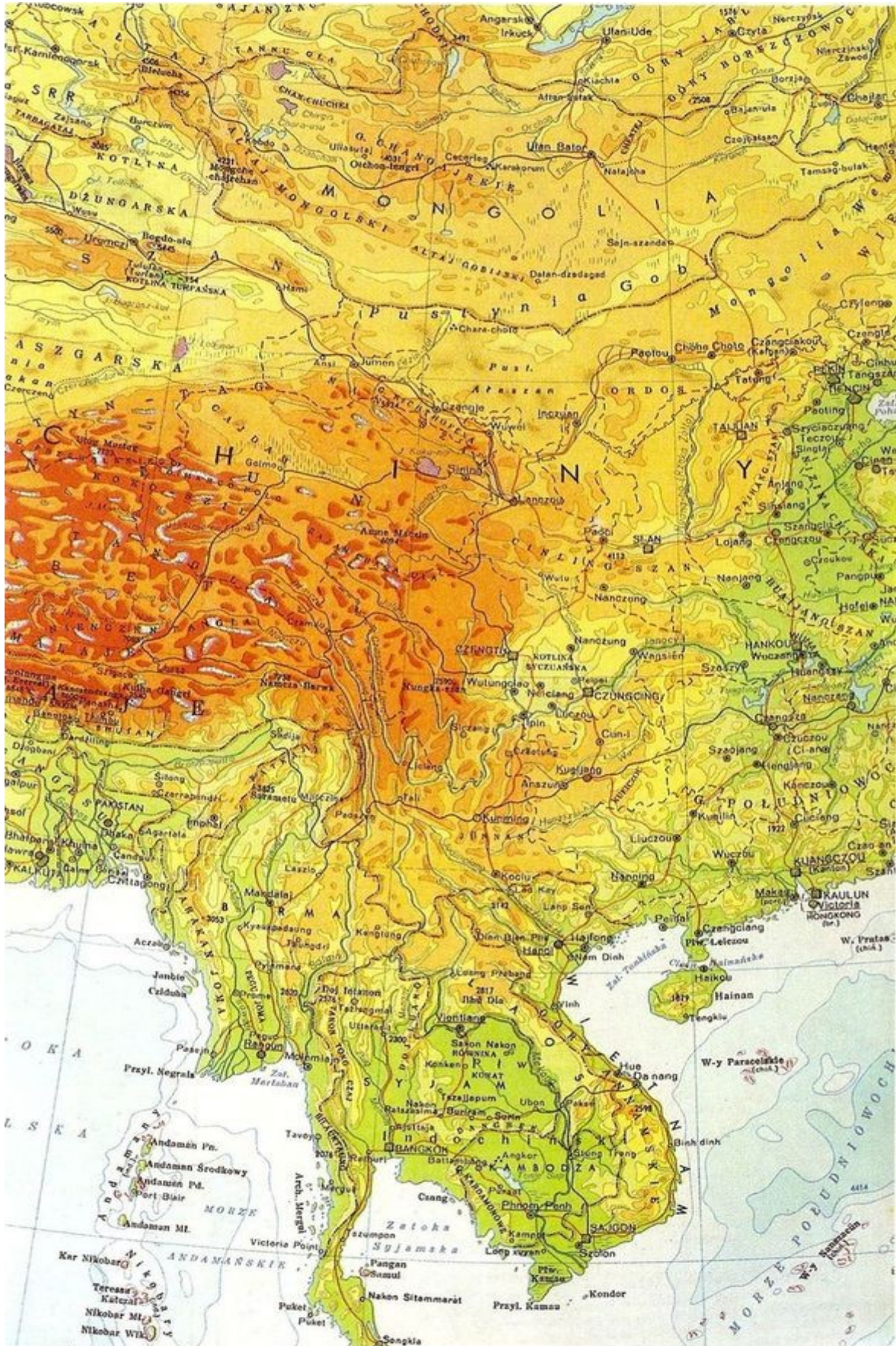
Ale wróćmy do naszej opowieści. Krótco po publikacji w „Sputniku” ta sensacyjna historia została ogłoszona również na Zachodzie. Belgijskie czasopismo „BUFOI” („Belgian UFO Investigator”, jeden z pojawiających się wówczas jak grzyby po deszczu organów prywatnych stowarzyszeń badawczych UFO), a także niemiecki organ ezoteryków „Das vegetarische Universum” („Wegetariański kosmos”) zajęły się tą sprawą powołując się na źródła radzieckie i japońskie.

Awaria UFO sprzed dwunastu tysięcy lat?

Chodzi tu o raport ówczesnego profesora Pekinńskiej Akademii Badań Prehistorycznych Tsum Um-Nui, opublikowany pod nieco barokowym tytułem: *Napisy pismem klinowym (bruzdowym), dotyczące statków kosmicznych, które, jak zapisano na krążkach, istniały przed 12000 lat*. Cała ta historia stała się w następnych latach lokomotywą badań preastronautycznych. Nic nie straciła ze swej sensacyjnej osobliwości i spektakularnego charakteru. Przeciwnie: wraz z nowymi detalami pojawiają się nowe pytania.

Cóż tak niezwykle się zdarzyło? Było to w latach 1937/1938, gdy chiński archeolog Chi Pu-Tei zorganizował z kilkoma współpracownikami ekspedycję do jednego z bardziej odległych regionów górskich Chin. Nosi on kilka nazw: Payenk-Ara-Ulaa, Bayankalashan albo Bajan Chara-Uła. Ostatnia nazwa nie jest prawidłowa, ale jako często używana zyskała prawo obywatelstwa w literaturze przedmiotu. Dlatego też będę jej używał w poniższych rozważaniach. Region ten nie jest położony na pograniczu chińsko-tybetańskim, gdzie go się często i niesłusznie lokalizuje — by się o tym przekonać, wystarczy rzut oka na mapę Chin — ale wzdłuż granic prowincji Ouinghai i Sichuan (Seczuan). Rozciąga się od 96 do 99 stopnia długości wschodniej i od 33 do 35 stopnia szerokości północnej. Pod względem wielkości odpowiada mniej więcej powierzchni byłej NRD. W tym rejonie znajdują się źródła rzek Ya-Lung oraz Jang-Tse (Jangcy) i Mekongu, który płynąc na południe stanowi główną, życiodajną nić komunikacyjną Wietnamu. Góry wznoszą się tu na wysokość ponad 5000 metrów, ale w dolinach, położonych na wysokości 2000 metrów, lata są dość ciepłe. Naukowcy sądzą, że przed dwudziestoma tysiącami lat klimat był tu znacznie cieplejszy.

W każdym razie istnieją ślady ludzkich osad pochodzących z czasów prehistorycznych.



3. Wiele wspomnianych w tej książce miast leży w rejonach, do których cudzoziemcy nie mają wstępu: są one poza tym bardzo trudno dostępne ze względów komunikacyjnych

No i jeszcze na marginesie interesujący fakt: na północ od głównego masywu górskiego Bajan Chara-Uła leży grupa jezior o znaczącej nazwie „Morze gwiazd”.

Szkielety istot pozaziemskich?

W kilku pieczarach skalnych tego regionu archeolodzy z ekspedycji profesora Chi Pu-Tei odkryli precyzyjnie wytyczone groby szeregowe. Znalezione w nich szkielety licznych stworzeń, których wzrost (poniżej 1,30 metra) był znacznie niższy od przeciętnego wzrostu mieszkańców naszej planety. Pod względem wzrostu można by z nimi porównać jedynie Pigmejów żyjących w tropikalnych puszczech centralnej Afryki. Budowę anatomiczną nieznanych istot można by najprecyzyjniej scharakteryzować w sposób następujący: jest niezwykle delikatna, z charakterystycznymi wąskimi ramionami i cienkimi kończynami. W niektórych źródłach⁴ określa się ją jako rachityczną i słabowitą. Bardziej trafne byłoby z pewnością porównanie do niezwykle lekkiego, ale jednocześnie nadzwyczaj mocnego kośćca ptaków lub latających ssaków. Istoty te, o głowach nieproporcjonalnie dużych w stosunku do tułowia, sprawiały wrażenie kalekich i dziwacznych — właśnie jakby nie z tego świata, dokładnie tak jak stworzenia, które dziś czyni się odpowiedzialnymi za niezliczone wypadki uprowadzeń (*abductions*)!

Prastare legendy z tej części Chin opowiadają o niziutkich, chudych i żółtych istotach, które zstąpiły z chmur i z powodu swej brzydoty oraz różnic w budowie ciała były ścigane, atakowane i bezlitośnie tępione przez osiadłe w tych okolicach szczepy.¹³ Po dzień dzisiejszy jaskinie tego regionu górskiego stanowią tabu dla wyjątkowo przesądnych i nieufnych mieszkańców. To jest też powód, dla którego relikty te mogły przetrwać aż do ich odkrycia w końcu lat trzydziestych, oszczędzone przez rabusiów okradających groby.

Antropolodzy przyporządkowali znalezione szkielety do grupy Dropa i Khama, dwu plemion górskich z obszaru Bajan Chara-Uła. Anatomiczna budowa ich ciał odpowiadała cechom opisanym wyżej. Jednak istniały trudności z ich etnologiczną klasyfikacją. Wiek szkieletów datowano na około dwanaście tysięcy lat.

Zagadka kamiennych krążków

Prawdziwą sensacją archeologiczną miało się jednak okazać siedemset szesnaście kamiennych krążków, które znalezione przy zmarłych w grobach jaskiniowych. Liczyły one centymetr grubości i trzydzieści centymetrów średnicy i bardzo przypominały dawne płyty gramofonowe. W środku miały wywiercony okrągły otwór, od którego do krawędzi biegło spiralne podwójne rowkowanie. Znaki wygrawerowane między podwójnymi rowkami przedstawiają najosobliwszy rodzaj pisma, jaki kiedykolwiek oglądało ludzkie oko. Te grawiury przyprawiły chińskich archeologów o ból głowy w toku przeszło dwudziestoletniej pracy. Dopiero w 1962 roku udało się zespołowi pięciu naukowców z Pekinńskiej Akademii Badań Prehistorycznych pod kierunkiem profesora Tsum Um-Nui odczytać na paru płytach kilka fragmentów inskrypcji. Hieroglify rowkowe opowiadają o przygodzie kilku kosmicznych rozbitków, która wydarzyła się w czasach, gdy z punktu widzenia naszej klasycznej historiografii nie mogło być jeszcze mowy o załogowych lotach kosmicznych. Według kronikarza, który na kamiennych płytach przekazał dla potomności tę informację, grupa jego współziomków przed dwunastoma tysiącami lat od czasów nam współczesnych przypadkiem dotarła na trzecią planetę systemu słonecznego. Niestety statki kosmiczne uległy uszkodzeniu podczas lądowania w niedostępnych górach. Remont lub budowę nowych statków uniemożliwił brak materiałów i koniecznej do tego infrastruktury. Wylądowawszy w całkiem obcym dla nich świecie, rozbitkowie zmuszeni byli osiąść w rejonie Bajan Chara-Uła. Jeśli mamy wiarę legendom tego regionu, narażeni byli na agresję ze strony wrogo odnoszących się do nich plemion, zamieszkujących tę okolicę. Świat nauki potraktował ten raport jako zwykłą prowokację, gdy wbrew silnym oporom Akademii Badań Prehistorycznych opublikowano go w roku 1965 w Japonii. W Chinach i w Związku Radzieckim również przyjęto go z wielką niechęcią. Chińscy archeologowie wzywali do daleko posuniętej ostrożności przy interpretacji raportu ze względu na istniejące w nim niekonsekwencje. Na Zachodzie albo po prostu zignorowano wyniki badań pięćosobowego zespołu (ignoruje się je także jeszcze dziś), albo uznano je za produkt chorej wyobraźni. Ponieważ raport ten nie pasował do ustalonego obrazu świata, próbowano go zdeprecjonować, uznając jego autorów za niepoczytalnych. A profesor Tsum Um-Nui, człowiek, który najlepsze lata swego życia poświęcił rozwiązaniu zagadki kamiennych krążków, zmarł wkrótce po opublikowaniu rezultatów swej pracy, w rozgoryczeniu, odrzucony przez świat nauki jako niewiarygodny fantast.

Czy to już koniec historii o zagadkowej spuściźnie z Bajan Chara-Uła? Nie, gdyż posłanie kamiennych krążków skierowane do nas — albo do kogokolwiek innego — nie ogranicza się do relacji uwiecznionej

hieroglificznym pismem pomiędzy rowkami. By zbadać gruntowniej owe krążki, przesłano kilka egzemplarzy do Moskwy. Radzieccy naukowcy, którym powierzono badania, poczynili kilka zaskakujących odkryć.

Analiza chemiczna wykazała wyraźną obecność kobaltu. Ten podobnie jak nikiel czy żelazo magnetyzujący metal stosowany jest dziś w stopach chromu, w produkcji stali itd. Występuje w rudach niklu, a wydobywa się go w Kanadzie i w centralnej Afryce. W Chinach opłacalne wydobywanie można podjąć jedynie w prowincji Ouinghai, gdzie leży rejon Bajan Chara-Uła. Przypuszczam, że grupa istot pozaziemskich, która pozostawiła po sobie siedemset szesnaście kamiennych krążków, świadomie dodała kobalt do kamiennych płyt. Podobnie jak dziś kobalt stosowany jest w przemyśle do utwardzania specjalnych narzędzi, tak i wówczas zamierzano utwardzić nośniki informacji, by nie ulegając niszczącemu działaniu czasu mogły w końcu przekazać adresatom to niewiarygodne przesłanie. Na marginesie pozwolę sobie na nieco karkołomną spekulację: chemicy wiedzą, że pierwiastek kobalt posiada promieniotwórczy izotop. Gdyby można było odnaleźć jego ślady w kamiennych krążkach, byłaby to prawdopodobnie dalsza wskazówka, że cywilizacja wyprzedzająca nas daleko w technicznym rozwoju świadomie pozostawiła ślady mające nam przekazać posłanie: „Byliśmy tutaj.”

A jeśli chodzi o stwierdzoną przez radzieckich naukowców obecność kobaltu, pojawia się problem: jakimi metodami — z pewnością przewyższającymi ówczesny stan rozwoju techniki na Ziemi — udało się wykonać stop?

Dwa systemy informacyjne na krążkach?

Stwierdzone dodatki — oprócz kobaltu, aluminium i krzem — mogły tworzyć w rowkach coś w rodzaju magnetycznej ścieżki, podobnej do naszych taśm magnetofonowych. Wyrażono zatem przypuszczenie, że te krążki mogą zawierać dwa rodzaje zapisu: pierwszy, składający się ze znaków pisma, którego zaledwie drobną część zdołano do tej pory odczytać, i drugi, umieszczony w rowkach z metalem. A więc magnetyczny zapis wciąż czekający na swego odkrywcę?¹⁴

Ów drugi, subtelniejszy sposób zapisu, stawia sobie za cel poinformowanie ludzkości o jej fantastycznej prehistorii — oczywiście, gdy ludzkość po tysiącleciach osiągnie wystarczające stadium rozwoju technicznego i intelektualnego. Możliwe też, że tajemniczy przybysze z kosmosu chcieli przekazać swym współrodakom wiadomości o losie, jaki ich spotkał.

Być może dodatkową wskazówkę stanowi tu inne odkrycie dokonane w Moskwie. Naukowcy zwrócili uwagę na osobliwy szczegół: krążki, podłączone do oscylografu, wibrowały z niezwykle wysokimi częstotliwościami, dokładnie tak, jakby zawierały bardzo silny potencjał elektryczny albo jakby niegdyś poddane były działaniu bardzo silnego pola elektrycznego. Te kolisty kamienie, których wiek szacuje się na co najmniej dwanaście tysięcy lat, są i będą wyzwaniem dla nauki. Miejsce znalezienia kamiennych krążków kryje inne jeszcze zagadki, gdyż na ścianach kilku pieczar Bajan Chara-Uła odnaleziono rysunki skalne. Widnieją na nich wyobrażenia naszego Słońca, Księżyca, kilku gwiazd i naszej Ziemi, połączone wzajemnie liniami utworzonymi z punkcików wielkości ziarenka fasoli.^{4, 13}

Czy nie jest to wyobrażenie drogi, która dla obcych astronautów miała okazać się drogą bez możliwości powrotu? Drogą, która zakończyła się lądowaniem awaryjnym w niedostępnych górach — o czym informują krążki — i tragedią wytopienia przybyszów przez pramieszkańców tych okolic?

Czy jeden z tropów prowadzi do Fergany?

Czy wiedza o tym, co niegdyś zdarzyło się w tym odległym zakątku świata, mogła dotrzeć jeszcze gdzie indziej? Jeden z co prawda kontrowersyjnych śladów prowadzi do dzisiejszego Uzbekistanu, do niedawna republiki Związku Radzieckiego. Około dwóch i pół tysiąca kilometrów w linii prostej na północny zachód od Bajan Chara-Uła, na krawędzi Kotliny Fergańskiej, ograniczonej od wschodu łańcuchem górskim Tien-szan, od południa zaś Górami Ałajskimi, leży miasto Fergana. Niedaleko stamtąd odkryto — wedle artykułu opublikowanego w „Sputniku” w 1968 roku — bardzo osobliwy rysunek skalny, którego artystyczną kopię zamieszczamy. Na tle łańcucha gór wyobrażonego symbolicznie jako kilka szczytów stoi przysadzista postać w swego rodzaju skafandrze kosmicznym. Nad nią, na tle stylizowanego słońca (mniejsze kręgi mają zapewne wyobrażać inne ciała niebieskie), unosi się w powietrzu statek kosmiczny. Ludzie końca dwudziestego wieku określiliby go bez wahania jako UFO w klasycznej formie. Mała istota pod UFO wyposażona jest również we wszelkie atrybuty kosmity. Na rysunku nie brak nawet anten wystających z

hełmu małej postaci. Ale dopiero wielka postać wyobrażona z lewej strony sprawia niesamowite wrażenie. Nosi ona także coś w rodzaju hełmu. Jeśli obraz wykonany był z natury, to jego twórca miał najwyraźniej pewne kłopoty z zastosowaniem perspektywy. Prawdopodobnie zmyliły go refleksy świetlne na hełmie, a przy braku wiedzy technicznej nie zdawał sobie sprawy z tego, co uwiecznia. Wyraźnie można rozpoznać zapięcie hełmu, a także zawory i zamknięcia przewodów powietrznych w okolicy szyi. Te ostatnie elementy były przypuszczalnie częścią mechanizmu doprowadzającego konieczną do oddychania mieszankę gazów. Równie wyraźne są wielkie, skośne, mające kształt migdałów oczy tego osobliwego stworzenia.

Czy ktoś może stwierdzić, że tylko przez przypadek opisy takich właśnie oczu powtarzają się wciąż u ofiar wprowadzanych w naszych czasach przez UFO?

Choć widoczne są błędy w ujęciu twarzy, pozostałe detale oddano nadzwyczaj wiernie. No i najbardziej spektakularny element całego obrazu: w lewej ręce, odzianej najwyraźniej w rękawicę, trzyma ta istota z kosmosu krążek z zaznaczonymi rowkami, które na kształt spirali bieżną od środka ku krawędziom: kamienny krążek z Bajan Chara-Uła!



4. Prawdopodobnie artystyczna reprodukcja rysunku skalnego, który jakoby odnaleziono w Ferganie (Uzbekistan). Zakładając jego autentyczność postawić można pytanie: co widzą na nim oczy nowoczesnego obserwatora?

Podaję te informacje z pewnym sceptycyzmem, gdyż wedle wspomnianego już autora, W. Zajcewa, obraz ten nie przedstawia fresku z okolic Fergany. Jest on dziełem pewnego radzieckiego artysty, przy czym można tu sobie zadać pytanie, czy stanowi wyłącznie produkt fantazji, czy też może ów spektakularny rysunek na skalnej ścianie jednak istnieje w rzeczywistości.¹⁵

Powróćmy jednak do Państwa Środka, gdzie zagadka siedmuset szesnastu krążków czeka na definitywne rozwiązanie. W latach siedemdziesiątych Erich von Däniken¹⁶ i Peter Krassa¹⁷ zaczęli podążać tropem słynnego już dzisiaj odkrycia; poszukiwali też śladów działalności naukowego zespołu Tsum Um-Nuia, które musiały wszak zachować się w jakichś archiwach. Ale ponieważ czerwone imperium wówczas — a jeśli chodzi o tajemnice tego rodzaju, także i dzisiaj — chętnie oszańcowywało się za wielkim murem milczenia, nie można było mieć ani cienia nadziei na jakąkolwiek oficjalną informację z Beijing.

Co się stało z raportem?

Jest całkiem możliwe, że dokumenty dotyczące ekspedycji z lat 1937/1938, a także prace profesora Tsum Um-Nui uległy zniszczeniu albo zniknęły w czasie niesławnej pamięci rewolucji kulturalnej. Materiały te mogły zostać uznane za naruszające zasadność ideologii komunistycznej. Rozpoczęta w roku 1966 i zakończona właściwie dopiero w połowie lat siedemdziesiątych fala czystek dokonana została rękami studentów i czerwonogwardystów. Zamęt przypominający stan wojny domowej i terror „wielkiej proletariackiej rewolucji kulturalnej” przyniosły Chinom śmierć i groźbę. Nie można nawet w przybliżeniu ustalić liczby ofiar śmiertelnych; zniszczono także niezliczone dzieła sztuki.

W szczytowym punkcie tego rewolucyjnego obrazoburstwa opublikowano w Japonii i w Europie szczegółowy raportu dotyczącego kamiennych krążków. Czyż byłoby dziwne, gdyby szalejący plebs zniszczył ten symbol „burżuazyjnej dekadencji”? Jakakolwiek myśl o pozaziemskich interwencjach sprzeciwiała się radykalnie materialistycznemu światopoglądowi marksistowskiej ideologii.

Ostatnie drgawki rewolucji kulturalnej nastąpiły w roku 1976 po śmierci Mao Zedonga. Wdowa po nim, Jiang Qing, zastępca szefa partii Wang Hongwen, szanghajski przywódca Zhang Chunqiao, a także redaktor Yao Wenyuan próbowali sięgnąć po najwyższe stanowiska w państwie i w partii. W rewolucyjnym zamęcie szczególną rolę odegrał Yao Wenyuan. Był inicjatorem kampanii antykonfucjańskiej, stanął w opozycji wobec umiarkowanych sił w kierownictwie państwa i organizował nagonki, posługując się kontrolowanymi przez siebie środkami społecznego przekazu.

Dopiero upadek tej tzw. bandy czworga w październiku 1976 roku zakończył to panowanie demonów. Życie czerwonego imperium wracało stopniowo do normy.

Kto dziś podróżuje po Chińskiej Republice Ludowej, kto zwiedza pagody i świątynie, ten słyszy nierzadko, iż zostały one uratowane z narażeniem życia przez odważnych i mężnych ludzi przeciwstawiających się nieokiełznanej orgii niszczenia nadciągających czerwonogwardzistów. Na szczęście wiele skarbów sztuki przetrwało te ciężkie czasy. Gdyby nie to, wówczas tak chętnie dziś odwiedzany przez turystów kraj, jakim są Chiny, pozbawiony byłby niejednej atrakcji.

Dwa krążki odnalezione w Xi'an (Si-an)

Jeśli chodzi o kamienne krążki, to przypadek, jak to często w życiu bywa, stworzył nowy, istotny ślad. Prowadzi on do położonego w centralnych Chinach miasta Xi'an. Xi'an było w czasie panowania jedenastu dynastii — w okresie 1080 lat — stolicą cesarstwa chińskiego. Dziś jako stolica prowincji Shaanxi jest źródłem precjozów pochodzących z epoki władania dynastii Qin (Cin), T'ang i Ming. Leżące na krańcu słynnego Jedwabnego Szlaku, stało się już w odległej przeszłości ważnym centrum handlowym Dalekiego Wschodu.

Dziś Xi'an zdobył sławę jako atrakcja turystyczna najwyższej klasy. W trakcie podróży po Chinach nie można go absolutnie ominąć, podobnie jak trzech odrestaurowanych i udostępnionych zwiedzającym fragmentów wielkiego muru albo nieporównywalnego krajobrazu nadrzecznego koło Guilin.

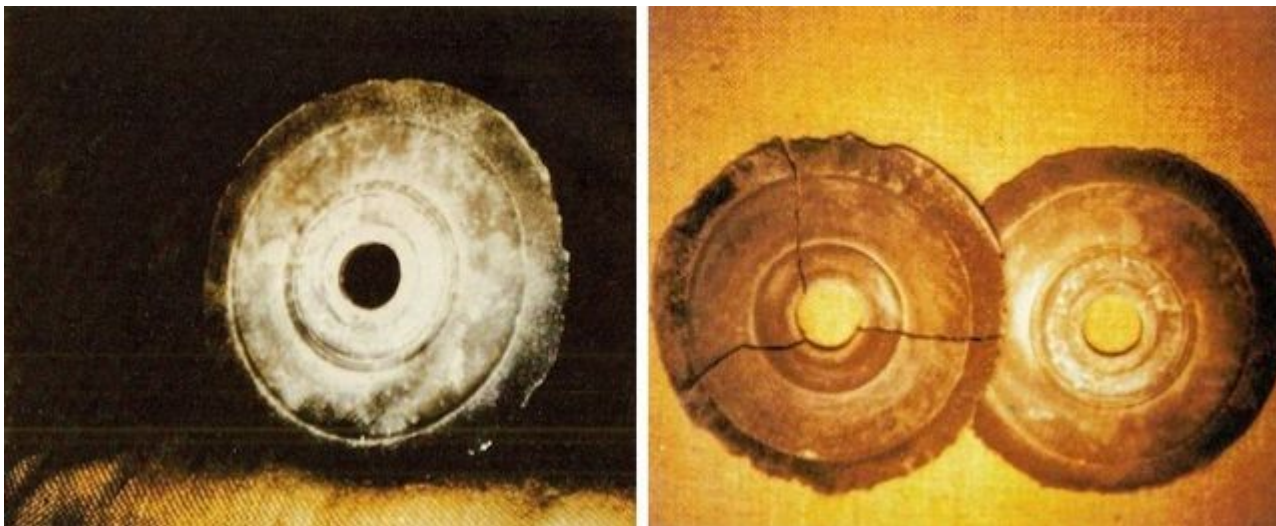
Cesarz Shi Huangdi (259-210 r. p.n.e.) z dynastii Qin zaprojektował własne mauzoleum — mimo że miał wówczas zaledwie siedemnaście lat. Najwyraźniej więcej uwagi poświęcał wieczności niż sprawom doczesnym. Chcąc chronić święty dlań spokój grobu, rozkazał wypalić z gliny olbrzymią liczbę koni, wozów i uzbrojonych wojowników, a następnie rozstawić te figurki na wielkiej przestrzeni wokół miejsca swego ostatniego spoczynku. Pod nazwą „armia z terakoty” weszło to dzieło sztuki — odkryte przypadkowo w roku 1974 podczas wiercenia studni w trakcie realizacji inwestycji nawadniającej pola — do terminologii archeologicznej i do prospektów turystycznych. Do tej pory odkopane figury — w liczbie ponad ośmiu tysięcy — stanowią, wedle archeologów prowadzących wykopaliska, jedynie małą część ogólnej liczby skarbów. O wiele więcej figur z terakoty czeka w ziemi na swego odkrywcę.

Choć gliniana armia starożytnego Qin Shi Huangdi ma niezwykle znaczenie z archeologicznego punktu widzenia i z perspektywy historii kultury, to jednak w naszych rozważaniach odgrywa ona rolę marginalną. Dla nas istotne jest to, że właśnie do Xi'an los rzucił dwa kamienne krążki ze skalnych jaskiń Bajan Chara-Uła!

Chińscy robotnicy, zatrudnieni przy pracach ziemnych w fabryce na przedmieściach Xi'an, natknęli się w 1953 roku na osadę neolityczną, której wiek archeolodzy oszacowali na około sześciu tysięcy lat. Owa osada określana jako wieś Banpo jest jednym z najlepiej zachowanych stanowisk wykopaliskowych Chin. Chcąc ochronić znaleziska przed szkodliwymi wpływami pogody i udostępnić je zwiedzającym, wybudowano na tym terenie muzeum Banpo. Zajmuje ono powierzchnię dziesięciu tysięcy metrów kwadratowych, co zdaniem badaczy starożytności jest jedynie częścią, być może tylko jedną piątą, osady neolitycznej. Do muzeum Banpo należy jeszcze kilka mniejszych, usytuowanych w pobliżu budynków, gdzie prezentuje się eksponaty pochodzące z osady istniejącej w młodszej epoce kamienia łupanego, zamieszkiwanej przez dwustu-trzystu mieszkańców.¹⁸

I właśnie w tym muzeum Banpo austriacki inżynier Ernst Wegerer odkrył dwa z odnalezionych w 1938 roku krążków. Odbywając przy końcu 1974 roku podróż po Chinach, miał nawet okazję, by je sfotografować. Dyrektorka muzeum знаła szczegółowo historię każdej glinianej skorupki, jej proveniencję i niegdysiejsze przeznaczenie, ale poproszona o informację na temat dwu kamiennych krążków, odpowiedziała, że chodzi o „krążki kultowe”, których znaczenie do tej pory nie jest znane.¹⁹ Austriackiemu

inżynierowi pozwolono wziąć te przedmioty do ręki. Płyty miały średnicę od dwudziestu dziewięciu do trzydziestu centymetrów, grubość zaś około jednego centymetra; na powierzchni widniały wyżłobienia ciągnące się spiralnie od umieszczonego pośrodku otworu po krawędzie. Już pobieżny rzut oka pozwolił stwierdzić, iż krążki były z kamienia, być może z jakiejś odmiany marmuru, w każdym razie były twarde jak granit. Każdy z nich ważył około kilograma, co wskazywało, iż zostały sporządzone z materiału o stosunkowo dużym ciężarze właściwym.



5, 6. W muzeum Banpo w Xi'an znów się pojawiły dwa krążki znad Bajan Chara-Uła. Czy w zamęcie „rewolucji kulturalnej” nie rozproszone znaleziska po całym kraju? Reprodukowane tu fotografie są unikalnymi w skali światowej zdjęciami tych krążków

Niebezpieczne pytania i niebezpieczne wnioski

Owo przypadkowe odkrycie nasuwa więcej pytań niż odpowiedzi. Czy rzeczywiście obydwie znajdujące się w muzeum Banpo krążki są częścią znaleziska z Bajan Chara-Uła? Wydaje się to niemal pewne ze względu na unikatowy charakter tego odkrycia. Dlaczego więc poszczególne sztuki powysyłano do najrozmaitszych muzeów w całym kraju? Czyżby wnioski nasuwające się z przekładów informacji zawartych na kamiennych krążkach były tak niebezpieczne, że rozproszone znalezisko po całym kraju? Albo może podczas chaosu rewolucji kulturalnej uznano za stosowne, by przynajmniej część eksponatów zabezpieczyć na prowincji, z dala od wstrząsanej najsilniejszymi niepokojami stolicy? Jaki był poza tym los egzemplarzy, które przesłano do Moskwy w celu ich zbadania? Tu otwiera się wszakże nowy trop. Być może dziś jeszcze znajdują się one w Rosji. W tamtych latach stosunki rosyjsko-chińskie pogarszały się wyraźnie i można założyć, że Moskwa nie zwróciła wypożyczonych jej obiektów. Kiedy wreszcie udostępni się pozostałe okazy, jak i raport grupy naukowców kierowanej przez Tsum Um-Nuia szerokiemu kręgowi zachodnich ludzi nauki oraz zainteresowanej publiczności? I w końcu: jeśli przymusowe lądowanie miało rzeczywiście miejsce, to gdzie leżą resztki wraku? Ponieważ z pewnością nie rozsypały się w proch i pył, a przynajmniej części składające się z twardych stopów przetrwały dwanaście tysięcy lat, musimy postawić kolejne pytanie: jakie tajemnice oczekują dziś jeszcze na swe odkrycie w wąwozach górskiego masywu Bajan Chara-Uła?

Fakty, które najchętniej by przemilczano

Próby interpretacji dokonywane przez zakłopotaną dyrektorkę muzeum przypominają mi przeżycie, które stało się moim udziałem podczas podróży po Meksyku w listopadzie 1991 roku. Nasz miejscowy przewodnik, dumny Meksykanin o imieniu Enrique, który z całą pewnością lepiej władał językiem hiszpańskim niż niemieckim, nagle przestał rozumieć swój język ojczysty. Co takiego się stało? Byliśmy w mieście piramid Teotihuacan, czterdzieści kilometrów na północny wschód od miasta Meksyk. Chciałem mojej grupie koniecznie pokazać jaskinie mikowe, znajdujące się tam za żelaznymi, zamkniętymi na kłódkę antabami.²⁰ Wzmianka o tych jaskiniach i pytanie, gdzie się znajdują, sprawiła, że przewodnik, zapomniał

języka w gębie. Nawet znaczenie słowa *mica* — hiszpańskiego określenia minerału o nazwie mika (łuszczyk) — wydało mu się tajemnicą. Ostatecznie sam odnalazłem jaskinie, lecz ze sposobu, w jaki zareagował przewodnik, wywnioskowałem, że w takich sytuacjach intensywnie „klajstruje się” prawdę. Czy dziś jeszcze pozostaje coś do ukrycia?

Jako fakt pozytywny odnotować muszę natomiast coś, co parę dni później usłyszałem w Palenque. Przewodnik grupy Francuzów — z pochodzenia Indianin Maja — opowiadał im, co z łatwością mogłem zrozumieć, bez skrępowania o *extraterrestres*, a więc o kosmitach. Jego umysł nie był najwyraźniej spaczony jakąś teorią podniesioną do rangi jedynej prawdy. Albo być może przekazywał wiadomości o faktach, które dla niego i jego przodków były oczywiste?

III

W dolinie białej piramidy — Miejsca, które dla zwiedzających są tabu

Kontynent azjatycki, zwłaszcza jego część zamieszkiwana przez ludzi rasy żółtej, jego historia, a nawet jego teraźniejszość, zawierają mnóstwo informacji na temat obecności podróżujących w kosmosie „bogów”. Mozaika wiadomości zestawiona w poprzednim rozdziale na temat Bajana Chara-Uła, stanowi jedynie ułamek wszystkich posiadanych przez nas informacji, choć ułamek najbardziej znany.

Istnieją informacje o znalezisku dokonanym na pustyni Gobi, które konkurować może z kamiennymi krążkami. Ta opowieść brzmi jeszcze bardziej fantastycznie od raportu z Bajana Chara-Uła, dlatego też przekazuję ją z wyraźnymi zastrzeżeniami. Jeśli chodzi o jej prawdziwość, pragnę ją zweryfikować za pomocą pośrednich oraz bezpośrednich kontaktów z Chinami, które nawiązywałem przez lata pracy w branży turystycznej.

Pustynia Gobi (w języku chińskim: Sha-mo, Szamo) jest ogromnym obszarem, rozciągającym się między 95 a 115 stopniem długości wschodniej i 39 a 47 stopniem szerokości północnej. Tylko część tego obszaru znajduje się w Chinach, głównie w autonomicznym regionie Wewnętrzna Mongolia, ze stolicą w mieście o nazwie Chöch Choto, a także w prowincji Xinjiang (Sinkiang). Pozostała część leży na terytorium Mongolskiej Republiki Ludowej. Mimo istniejących w Chinach tendencji do otwarcia na Zachód, pustynia Gobi jest nadal obszarem ściśle zamkniętym, turyści oraz tubylcy bez specjalnej przepustki mają tam absolutny zakaz wstępu. W tej liczącej dwa miliony kilometrów kwadratowych krainie, położonej przeciętnie na wysokości 1000 metrów nad poziomem morza, o krajobrazie nieckowatym, żyje kilka plemion mongolskich nomadów, jak w czasach Czyngis-chana.

Na pustyni Gobi odbywały się w latach sześćdziesiątych próby jądrowe chińskiej armii. Tym samym czerwone imperium, które 16 października 1964 roku detonowało swą pierwszą bombę atomową, a 17 czerwca 1967 pierwszą bombę wodorową, stało się piątą potęgą atomową świata po USA, byłym Związku Radzieckim, Wielkiej Brytanii i Francji. Rzeczywiście, jest to obszar szczególnie predestynowany do takich prób. W wielu miejscach pustyni Gobi odnaleziono bowiem osobliwe zeszklenia piasku pochodzące z zamierzchłej przeszłości. Są one niezwykle podobne do zeszkleń skał zawierających krzem, powstałych w efekcie prób nuklearnych przeprowadzonych w ciągu ostatnich czterdziestu pięciu lat. Podobne są też do wspomnianych przeze mnie bliskowschodnich tektytów. W tej surowej i nie zagospodarowanej okolicy, około 300 kilometrów na północ od owianego legendą Jedwabnego Szlaku i 1000 kilometrów na zachód od stolicy Mongolii Wewnętrznej Chöch Choto, odnaleziono ruiny miasta Chara-Choto. Radziecki archeolog Piotr Kuźmich Kozłow natknął się wśród tych ruin na grób zawierający sarkofag z dwoma dobrze zachowanymi ciałami, prawdopodobnie pary królewskiej. Na sarkofagu umieszczony był symboliczny znak: krąg przecięty pionową linią. Profesor Kozłow ustalił wiek znaleziska na około dwanaście tysięcy lat.²¹

Tak samo szacuje się wiek sztolni o głębokości około 1800 metrów, którą także odkryto w Chara-Choto. Ściany tej przepastnej jamy mają wyglądać jak szkło o niebieskawym odcieniu. Jakieś nieznane nam wydarzenie musiało doprowadzić do stopienia się skał i do ich zeszklenia. Lokalne przekazy mówią o błyskawicy, która zstąpiła z nieba i stopiła sztolnię. Jaka błyskawica byłaby w stanie wytworzyć sztolnię o głębokości niemal dwu kilometrów? Nawet zwykłe zeszklenie już istniejącej sztolni wymagałoby niezwyklego instrumentarium technicznego. Jedynym czynnikiem zdolnym do tego byłaby — wedle naszej wiedzy — eksplozja atomowa. Trzynastego września 1957 roku Amerykanie przeprowadzili podziemną próbę atomową. Specjalnie dla tego przedsięwzięcia wykuto w skałach kolistą grootę o przekroju 40 metrów. Gdy cztery lata później zespół naukowców wyposażony w sprzęt ochronny wszedł do skażonej promieniowaniem groty, uczyniono zdumiewające odkrycie. Pod ciśnieniem potężnej eksplozji jądrowej i w efekcie ogromnych temperatur skała uległa stopieniu. Ściany pokryły się kryształami, które zostały rozkruszone przez oderwane wybuchem kawałki skał.⁹

Szklane przedmioty z pustyni Gobi

Ze wspomnianej sztolni na pustyni Gobi pochodzą jakoby osobliwe szklane przedmioty o kształcie sierpa, których dziesięć tysięcy znajduje się dziś w posiadaniu rodzin zamieszkujących południowe krańce

pustyni; bez porównania więcej ma się znajdować w samej sztolni.

Jak do tej pory istnienie tych przedmiotów pomijano milczeniem; trudno było bowiem dać zadowalającą odpowiedź na pytanie o ich pochodzenie oraz o techniki, za pomocą których zostały sporządzone. Cóż jest osobliwego w tych przedmiotach, które mogą konkurować ze względu na swą tajemniczość nawet z fantastycznymi znaleziskami w Bajan Chara-Uła?

Wedle pogłosek, które pojawiły się w połowie lat osiemdziesiątych, sierpy kryją w sobie informacje obrazowe. Gdy tylko rzucimy taki sierp do góry jak bumerang, wówczas ukazują się na nim niewiarygodne sceny. Można przykładowo rozpoznać coś w rodzaju rakiety na spadochronie, a także postać z głową w kształcie gruszki. Nikt nie zna jeszcze odpowiedzi, w jaki sposób powstają obrazy na poruszającym się sierpnie. Nie wiadomo też, za pomocą jakiej techniki obrazy te zakodowano, utrwalono i zapisano na tych przedmiotach.²² Czy chodzi tu o zapis dokonany przy użyciu nieznanego materiału i nie znanej nam jeszcze techniki laserowej?

Lepiej zapomnieć o czymś, czego nie można wyjaśnić bez zbyteńnego wysiłku wyobraźni. Taka postawa gwarantuje spokój oraz integralność mozolnie skleconych i pieczołowicie chronionych wyobrażeń o naszej przeszłości, jakie nadal powstają. Ale być może trwające dwadzieścia pięć lat wysiłki, aby stworzyć pozbawioną przesądów wizję prehistorii, powoli zaczną przynosić owoce, gdyż już dziś dostrzec można pierwsze oznaki ostrożnej zmiany stanowiska w obrębie establishmentu ludzi nauki. I tak dyrektor muzeum prehistorycznego w Beijing obiecał — gdy w roku 1986 wiadomości na ten temat po raz pierwszy obiegły świat — że zajmie się zbadaniem tajemniczych znalezisk. Podejmie się tego zadania, choć dzisiejszy stan naszej wiedzy nie pozwala na sformułowanie logicznie umotywowanych hipotez.

Istnieje dążenie do posłużenia się całą naszą wiedzą, by zgłębić przyczynę, dla której wizualny zapis przypominający nasze slajdy zakodowano w prastarych sierpach ze szkła; zapis ujawniający się pod wpływem działania promieni słonecznych podczas określonych faz ruchu tych przedmiotów. Gdyby powstał właściwy system odtwarzania, wówczas być może odkrylibyśmy serię przekazów wizualnych, które odsłoniłyby tajemnicę wydarzeń mających miejsce dziesięć tysięcy lat przed Chrystusem.

Międzygwiezdna akcja ratunkowa sprzed dwunastu tysięcy lat?

Czyżby owa zagadka pustyni Gobi była jeszcze jedną z poszlak, iż przed dwunastoma tysiącami lat wylądowała na Ziemi kosmiczna ekspedycja? Odważnie spekulując stawiam dalsze pytanie: może dotarła w to miejsce ekspedycja ratunkowa poszukująca rozbitków, którzy przymusowo wylądowali w rejonie Bajan Chara-Uła? Czyżby na nieszczęście pomylili się o tysiąc kilometrów? Przy odrobinie wyobraźni scenariusz, który za chwilę przedstawię, nie wyda się całkowicie wydumany: nieobecność ekipy pozaziemskich astronautów — być może na skutek technicznej usterki pojazdu zmuszonych do lądowania w niedostępnych wąwozach gór Bajan Chara-Uła — wkrótce została dostrzeżona w bazie. Wiadomy był kierunek lotu oraz prawdopodobny cel, dlatego też ruszyła ekspedycja poszukiwawcza na trzecią planetę naszego systemu słonecznego. A jako że zdawano sobie sprawę, iż możliwości życia na tej planecie są dość podobne jak na planecie ojczystej, wyliczono, iż rozbitkowie mają duże szanse przetrwania. Być może istniało coś w rodzaju promienia kierunkowego lub sygnałów radiowych, wskazujących ekipie ratunkowej kierunek lotu.

Ale z nie wyjaśnionych przyczyn albo przerwano nadawanie sygnałów, albo też grupa ratunkowa sama popadła w jeszcze większe tarapaty: poszukujący zbłądzili. Nie dotarli do towarzyszy zagubionych w dzikim, górskim regionie planety, którego szczyty sięgają ośmiu tysięcy metrów, a na obrzeżach rozciągają się wielkie pustynie. Wylądowali w końcu na pustyni, między dwoma łańcuchami górskimi, w miejscu, które dziś nazywamy Chara-Choto. Czy odlecieli nie zrealizowawszy zadania, czy też skierowali się ku innym celom? Ale pozostawili jako świadectwo swej obecności wielką liczbę dziwnych szkieł zawierających wizualne posłanie. Do swych zagubionych kolegów albo do mieszkańców planety, którzy w odległej przyszłości na nie się natkną i dzięki nim zrozumieją swą przeszłość...

Zaprezentowany tu pomysł nie jest pozbawiony podstaw: w obydwu miejscach odnaleziono obiekty, których wiek szacuje się na blisko dwanaście tysięcy lat i których znaczenia nie można ocenić stosując dzisiejsze środki techniczne. W obydwu wypadkach istnieją wyraźne wskazówki odnoszące się do podróży kosmicznych, których plemiona zamieszkujące owe tereny z pewnością nie mogły jeszcze realizować. No i, *last but not least*, w obydwu wypadkach mamy do czynienia z bardzo osobliwymi systemami kodowania informacji. Pierwszy z nich to pismo (i być może jako dodatkowy element wiadomość zapisana na ścieżce elektromagnetycznej), drugi zaś to obrazy, które stają się widoczne podczas ruchu spowodowanego w sposób najprostszy z możliwych.

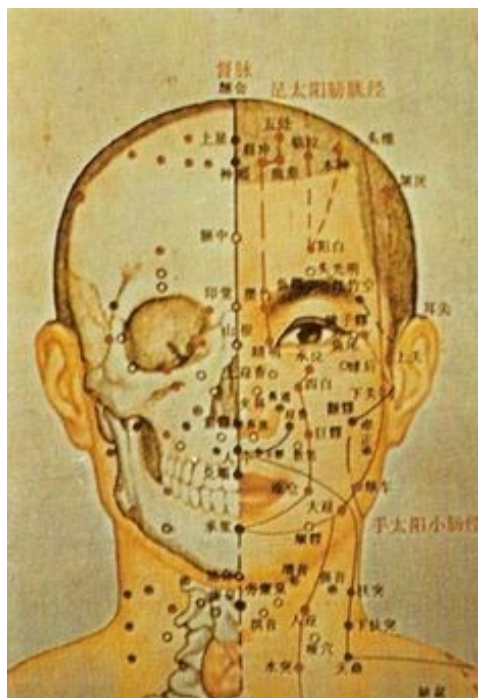
Zasada, której nie można zlekceważyć

Tu właśnie jest ten zasadniczy punkt. Owe sierpy szklane ze względu na swą budowę i sposób oddziaływania na ludzi jawią się jako bardzo przemyślnie skonstruowane i nie można tego lekceważyć. Kształtem przypominającym bumerang prowokują niemal do tego, by nimi rzucić: prowokują wszystkich, niezależnie od kultury, religii itp. Jeśli uzmysłowimy sobie ten właśnie aspekt, wówczas łatwo będzie sobie można wyobrazić fakt, że nieznani twórcy tych przedmiotów od początku liczyli się z możliwością odbioru posłania!

Nawet jeśli dziś w Beijing próbuje się traktować zagadkowe sierpy odnalezione w mieście ruin na terenie wielkiej pustyni chińskiej bez większych uprzedzeń, to naprawdę nikt nie wierzy w posłanie z innego świata. Naukowe badania pochłaniają wiele czasu i wymagają cierpliwości. Dotyczy to zwłaszcza Chin, gdzie trwałe przeobrażenia dokonywane są zwykle metodą małych kroków. Jeśli jednak uwzględnimy fakt, że przez całe lata naukowcy w ogóle nie zajmowali się dziwnymi znaleziskami ze sztolni w Chara-Choto, to te oznaki zainteresowania potraktujemy jako pierwszy krok zmierzający do rozwiązania zagadek pustyni Gobi. Z pewnością będzie to wymagało wiele cierpliwości, a od tych, którzy płaszczem milczenia okryli w Chinach tak wiele spraw, ciągłego modyfikowania swych poglądów, zanim ogłosi się oficjalnie fakty, do tej pory kolportowane przyciszonym głosem. Jeśli nawet w krajach stosunkowo liberalnych jak Meksyk (patrz mój przykład z poprzedniego rozdziału) tak wiele spraw się blokuje i przemilcza, to można sobie wyobrazić, o ile intensywniej odbywa się to w Chinach. W kraju, którego historia, i to nie tylko ostatnich pięćdziesięciu lat, charakteryzuje się ciągłym szpicłowaniem, restrykcjami, samowolnym podejmowaniem tajnych decyzji. W gruncie rzeczy Państwo Środka zawsze było obszarem tajemniczym, który potrafił przez stulecia skutecznie chronić swe sekrety.

Mimo licznych powiązań handlowych, mimo emigracji rzesz Chińczyków do wszystkich krajów świata powierza się nam, nie wtajemniczonym, jedynie mniej istotne sekrety: prawdy niebezpieczne „synowie smoka” zachowują wyłącznie dla siebie.

Chciałbym wyjaśnić to na przykładzie z dziedziny pozornie nie związanej z głównym tokiem naszej opowieści. Ten ekskurs nie oddali nas jednak zbyt od zasadniczego tematu rozważań. Akupunktura, tak zachwalana w świecie zachodnim jako alternatywna forma terapii medycznej, to jedynie wierzchołek góry lodowej, słaby odbłask, fragmentaryczne resztki wysoko rozwiniętej medycyny, której korzenie giną w mrokach minionych tysiącleci. Czyżby i ona była podarunkiem „bogów”, którzy, przybywając z kosmosu, składali liczne wizyty protoplastom żółtej rasy?



7. Akupunktura, prastary sposób terapii wynaleziony przez Chińczyków. Czy jest to podarunek, który „bogowie z kosmosu” przynieśli swym stworzeniom?

Śmierć z opóźnieniem

Gdy próbujemy dowiedzieć się czegoś bliższego na temat niebezpiecznych metod prastarej chińskiej medycyny, wówczas z reguły natrafiamy na mur milczenia lub na mętne pogłoski. Dokładniejsze poszukiwania albo kończą się w ślepych zaułku, albo też natrafiają na silny opór. Czujemy, że chodzi o tajemnicę, która za wszelką cenę musi być zachowana. Mowa tu o „dim mak”, co najlepiej można przetłumaczyć jako „uderzenie powodujące śmierć po upływie pewnego czasu”. Niektórym mistrzom tajemnych praktyk przypisuje się szczególną zdolność: przez krótkie, lekkie naciśnięcie albo uderzenie określonej części ciała przeciwnika są oni w stanie spowodować wewnętrzne urazy, których skutkiem jest głębokie omdlenie, a następnie śmierć ofiary. W odróżnieniu od zwykłych metod zabijania fatalne skutki tego dotyku objawiają się dopiero po upływie kilku godzin albo nawet kilku dni. A wówczas trudno już ustalić przyczynę zgonu.

Specjalista w sprawach dalekowschodniej sztuki walki John F. Gilbey objechał w latach pięćdziesiątych cały świat, by poznać tajemnicę „dim mak”. Po daremnych często poszukiwaniach spotkał w 1957 roku na Tajwanie człowieka, który nie tylko twierdził, iż potrafi spowodować ową „śmierć z opóźnieniem”, ale także dał się po długich perswazjach namówić na przeprowadzenie eksperymentu.

Mistrz walki Oh Hsin-Yang wybrał jako osobę, na której miał przeprowadzić demonstrację, swego syna Ah Lin. Podczas pokazu musnął młodego człowieka nieco poniżej pępka tak lekko, że wydało się to całkiem niegroźne. Dla dalszego toku eksperymentu niezwykle korzystny był fakt, że Gilbey mógł całymi dniami obserwować osobę, na której przeprowadzono doświadczenie. Początkowo nic nie wskazywało na utratę zdrowia przez Ah Lina, co więcej, był w jak najlepszym humorze. Prawdopodobnie nie wierzył do końca w skuteczność technik stosowanych wobec niego przez ojca. Oh Hsin-Yang nie mógł się po oddaniu ciosu zbliżyć do syna. Lecz przekonanie ofiary o skuteczności ciosu nie było tu konieczne. W południe trzeciego dnia Ah Lin popadł w głębokie omdlenie — dokładnie tak, jak przepowiedział to jego ojciec. Z ogromnym trudem udało się Oh Hsin-Yangowi postawić syna na nogi, głównie dzięki masażom i lekom roślinnym. Ah Lin potrzebował całych trzech miesięcy (!), by odzyskać pełnię sił cielesnych i całkowicie powrócić do zdrowia. Gilbey był jednym z niewielu mieszkańców półkuli zachodniej, któremu dane było obserwować „dim mak”.²³

Dawne chińskie kroniki podają, że specjalna technika „dim mak” największą doskonałość osiągnęła w epoce dynastii T'ang, między 618 a 906 rokiem po Chrystusie. Możliwe, iż jej korzenie sięgają w głębokie mroki pradziejów, do czasów, gdy ziemię odwiedzali kosmiczni „bogowie”. Skąd Chińczycy czerpali tak głęboką wiedzę anatomiczną i medyczną, stosowaną skutecznie do ratowania życia (akupunktura i techniki jej pokrewne) albo do zabijania („dim mak”), jeśli nie od nauczycieli z kosmosu? My, na Zachodzie, nie dysponujemy podobnymi — nawet w przybliżeniu — metodami, a nasza nowoczesna medycyna nie jest w stanie objasnić zasad akupunktury. W wypadku ciosu powodującego opóźnioną śmierć nauka nasza zawodzi na całej linii. Dlatego też sięga niestety po środki proste i sprawdzone: ignoruje zjawisko nie mieszczące się w jej obrazie świata albo próbuje przedstawić je jako banalny wytwór fantazji.

Ale wszystkie te reakcje wyrażające bezradność są w coraz to mniejszym stopniu przekonywające. W listopadzie 1980 roku dr John Painter, szef szkoły walk dalekowschodnich w Arlington (Teksas), przeprowadził eksperyment, czyniący zadość najbardziej surowym wymogom nauki.

Medyczne potwierdzenie pradawnego misterium

Podczas wykładu poświęconego akupresurze, na którym obecnych było kilku znanych lekarzy, podłączono do aparatury mierzącej częstotliwość uderzeń serca, temperaturę ciała i ciśnienie krwi ochotnika, którego stan zdrowia i kondycję uznano za dobre. Nie powiedziano mu, co go czeka. Poinformowano go tylko, że poddany zostanie swego rodzaju akupresurze. Gdy już odczytano dane wyjściowe na wskaźnikach przyrządów, dr Painter lekko uderzył osobę testowaną w pewien punkt na piersi, noszący w chińskiej medycynie nazwę „hui kui-hsueh”. Nie przeczuwając niczego mężczyzna poinformował, iż nie odczuwa żadnego bólu, jedynie jakby odrętwienie całego ciała i ociężałość prawej ręki. Po upływie niespełna pół godziny dały się zauważyć niepokojące symptomy. Pacjent zaczął odczuwać ból podbrzusza, a po dalszych pięciu minutach temperatura jego ciała wzrosła z 37°C do 37,8°C. Po następnych dwudziestu minutach wystąpiły groźne zaburzenia rytmu serca: tętno, które przedtem wynosiło 62 uderzenia na minutę i było regularne, zaczęło się wahać od 50 do 150. Od tego momentu wszystko potoczyło się gwałtownie. Osoba poddawana eksperymentowi raptownie zaczęła oblewać się potem, wystąpiły skurcze mięśni piersi i drgawki. Podnosiło się niebezpiecznie ciśnienie krwi. Gdy doktor Painter zyskał pewność, że stan pacjenta

zaczyna być krytyczny, przerwał eksperyment. Dokonał masażu tego miejsca na piersi, gdzie nastąpiło uderzenie, które spowodowało tak dramatyczne skutki, i podał pacjentowi zioła lecznicze. Po upływie godziny stan chorego wrócił do normy.

Dr Painter, podobnie jak większość obserwatorów, był przekonany, że kontynuacja doświadczenia mogłaby mieć fatalne skutki. Wyraził przypuszczenie, że mężczyzna w ciągu następnych dwu dni zmarłby na skutek zmian zachodzących w organizmie.²³ Należy podkreślić, że zarówno w tym, jak i w poprzednim eksperymencie w grę nie wchodziła jakakolwiek autosugestia. Osoby poddawane doświadczeniu albo miały do niego sceptyczny stosunek, albo też nie informowano ich o faktycznym stanie rzeczy. Znamy możliwości mistrzów sztuki walk dalekowschodnich, którzy najwyraźniej są w stanie gospodarować swymi siłami w sposób selektywny. Udaje im się na przykład rozbić tylko jedną cegłę lub złamać jedną deskę leżącą na stercie (najczęściej tę w środku), przy czym górne i dolne cegły albo deski nie noszą śladów najmniejszych uszkodzeń. Pozwala to przypuszczać, że podobnie można człowiekowi zadać cios powodujący wewnętrzne obrażenia i prowadzący w końcu do śmierci, bez jakichkolwiek śladów na skórze. Dzięki temu ekskursowi w oddalony — pozornie — od zasadniczego tematu pozaziemskich „bogów” obszar chciałem zademonstrować jedynie ich wszechobecność, która nigdzie nie ujawnia się wyraźniej niż w kręgu kulturowym rasy żółtej. Chiny, Tybet, Mongolia, no i naturalnie Japonia wydają się być centrum, głównym obszarem działania mistrzów przybywających z kosmosu. Tutaj kontakty były szczególnie intensywne i pozostawiły niezniszczalne ślady w pamięci i w tradycjach tych ludów. Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, iż odwiedziny naszych kosmicznych braci były tu częstsze i trwały dłużej niż w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi. W następnych rozdziałach na przykładzie Tybetu i Japonii zamierzam udowodnić, że odbywały się one jeszcze w czasach historycznych. W innym miejscu chciałbym poddać pod dyskusję tezę, iż być może istnieją podobieństwa między nimi a sprawcami tak częstych w naszej współczesności wypadków uprowadzeń graniczących z fantazją.

Ale przez chwilę pozostajmy jeszcze w Chinach, dokładniej mówiąc — w przeszłości tego fascynującego kolosa. Owo państwo skrywa jeszcze więcej zagadek i poszlak wskazujących na obecność „bóstw” przybyłych z kosmosu.

Magiczne zwierciadła i prehistoryczne aparaty rentgenowskie

O innych osobliwych znaleziskach, które można zinterpretować jako urządzenia techniczne, przypominających wspomniane przeze mnie szklane sierpy, piszą w jednej ze swych książek Louis Pauwels i Jacques Bergier.²⁴ Ich zdaniem można odnaleźć w relacjach o stanie chińskiej nauki w pierwszym stuleciu przed Chrystusem wyraźne aluzje do tak zwanych magicznych zwierciadeł. Podobnie jak szklane sierpy, wiele tych lusterek znajduje się dziś w prywatnych rękach. Zrozumienie zarówno ich konstrukcji, jak i przeznaczenia, przekracza nasze możliwości poznawcze. Za szkłem znajdują się podobno niezwykle skomplikowane wypukłe reliefy, budzące skojarzenia z układami scalonymi elektroniki typu high tech. Gdy tylko światło słoneczne padnie bezpośrednio na takie lustro, reliefy, chronione odbijającym promieniem zwierciadlanym szkłem, ukażą się oczom obserwatora. Nie dzieje się tak w wypadku naświetlania lusterek sztucznym światłem, co dodatkowo komplikuje rozwiązanie tej zagadki.

Czy istnieje tu zbieżność ze „świętym zwierciadłem” przechowywanym jak relikwia — i stanowiącym jeden z klejnotów cesarskich państwa japońskiego — w świątyni Ise? W starojapońskim zbiorze opowieści mitologicznych *Kojiki* istnieje przekaz, że lustro to przyniósł na ziemię Ni-nigi-No-Mikolo, wnuk bogini słońca Amaterasu.

Chińskie zwierciadła mają jakoby szereg fantastycznych właściwości. Gdy ustawi się je obok siebie parami, wówczas mogą przekazywać obrazy tak jak film. Kolejny system informacyjny, epatujący swą osobliwością? Jeśli te magiczne obrazy nie egzystują wyłącznie w wyobraźni, gdyby ponadto można było poddać kilka z nich naukowemu analizom, wówczas mielibyśmy dodatkowy dowód na istnienie wysoko rozwiniętej technologii, która dotarła na Ziemię z kosmosu. Muszę jednak stwierdzić gwoli ścisłości: jak do tej pory nie udało mi się zdobyć żadnych dodatkowych wskazówek mogących zweryfikować informacje podane przez Pauwelsa i Bergiera. Nie musi to wcale, zwłaszcza przy dzisiejszym stanie naszej wiedzy, przemawiać przeciw możliwości istnienia tych zwierciadeł, jako że strumień informacji płynących z Chin jest dość nikły. Być może pragnie się tam wykorzystać tę technikę do własnych wynalazków.

Niektóre źródła pozwalają przypuszczać, że dawni Chińczycy znali nawet promienie Roentgena. Istnieje opowieść o tym, że cesarz Tsin Shi, żyjący w latach 259-210 przed Chrystusem, posiadał zwierciadło oświetlające „kości znajdujące się w ciele”. Po śmierci Tsin Shi zwierciadło znajdowało się jeszcze przez parę lat w pałacu Shensi, aż do roku 206 przed Chrystusem, kiedy to ślad po nim zaginał. Przekazy z epoki

opisują je następująco: „Było to prostokątne lustro, 1,22 m szerokie i 1,76 m wysokie [wedle naszego systemu miar], lśniło zarówno z przodu, jak i z tyłu. Gdy tylko ktoś stał przed nim, by ujrzeć swe odbicie, wówczas ukazywał się obraz odwrócony do góry nogami. Jeśli ktoś położył ręce na sercu, wówczas mógł oglądać wszystkie swoje wewnętrzne organy, jak na przykład jelita. Jeśli ktoś miał ukrytą chorobę, wówczas trzymając ręce na sercu i patrząc w zwierciadło mógł ujrzeć jej siedlisko.”

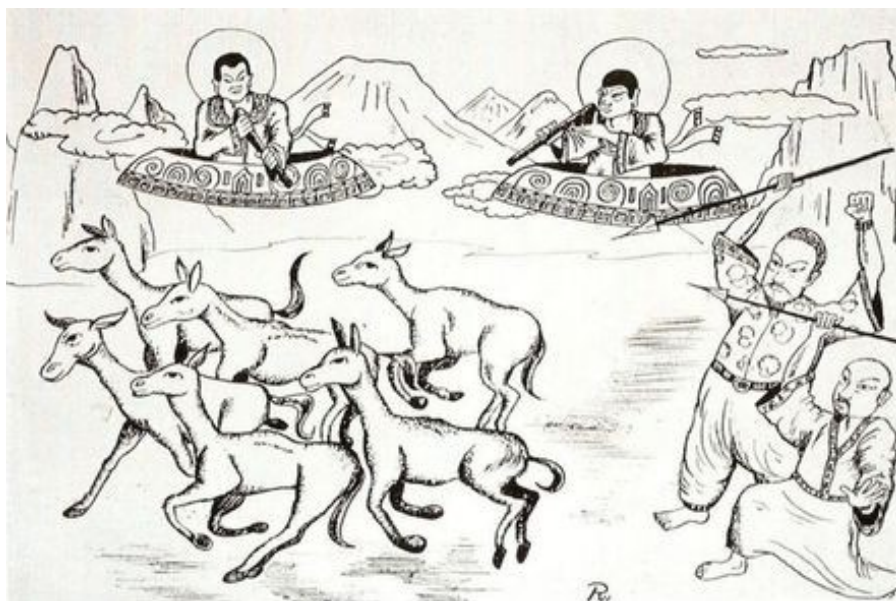
Okolo dwustu pięćdziesięciu lat przed początkiem panowania Tsin Shi hinduistyczny uczony Jivaka posiadał jakoby „cudowny klejnot”, za pomocą którego „mógł zaglądać do wnętrza ciała”. Ów cudowny instrument miał „rozświetlać ciało, jak lampa oświetla przedmioty znajdujące się w domu, dzięki czemu można było rozpoznać istotę chorób”.⁵

Wielu interesujących odkryć dokonał archeolog i etnolog Chi Pen-Lai z Pekinńskiej Akademii Badań Starożytności na jednej z wysp jeziora Dongting. Leży ono okolo dwustu kilometrów na południowy zachód od miasta Wuhan, będącego stolicą prowincji, na pograniczu prowincji Hubei i Hunan, w kotlinie między górami Hunan i Mu-Fu-Shan. Tylko kilka kilometrów dalej na północ przepływa Jangcy (nazywana także Changjiang — „długa rzeka”). Jest to najpotężniejsza rzeka Azji: ma pięć tysięcy siedemset kilometrów długości, a jej dorzecze obejmuje ponad milion siedemset tysięcy kilometrów kwadratowych. Bierze początek w prowincji Ouinghai, a uchodzi do Morza Wschodniochińskiego w pobliżu największego miasta Chin, Shanghai, po drodze przepływa przez kotliny górskiego masywu Yichang. Tu znajduje się kraina wielkich jezior, które regularnie pobierają wody z rzeki występującej z brzegów podczas letnich powodzi. Jednym z nich, największym na tej nizinie, jest jezioro Dongting. Przedstawiane jest zresztą na mapach za każdym razem inaczej. Reprodukacja lotniczego zdjęcia zamieszczona we wkładce ilustracyjnej niniejszej książki informuje o jego prawdziwym kształcie.

Istoty z trąbami i obiekty latające

Na tym jeziorze leży skalna wyspa Jotuo, gdzie dokonano wielu odkryć archeologicznych. W roku 1957 — dwa lata przed trzęsieniem ziemi, które nawiedziło ten region — profesor Chi Pen-Lai zdecydował się wraz ze swym zespołem na podjęcie prac wykopaliskowych na tej wyspie. Odkrył wyryte w granitowych ścianach płaskorzeźby, na których można było rozpoznać człekokształtne istoty w skafandrach zaopatrzonych w podobne do trąb wypustki. Przypominały bardzo nurków albo też astronautów w skafandrach z aparatami oddechowymi. Niektóre z tych istot stoją na ziemi, inne na powierzchni cylindrycznych obiektów, które zdają się szyćbować po niebie. Chi Pen-Lai oszacował wiek tych znalezisk na blisko czterdzieści pięć tysięcy lat.²⁴

W tym samym miejscu podczas badania resztek muru, który okolo trzech tysięcy lat temu osunął się w morze wraz z częścią wyspy, badacze natknęli się na nie znane dotychczas jaskinie. Nurkowie, których wezwano do pomocy, odkryli trzydzieści metrów pod powierzchnią jeziora labirynt wnikający głęboko w granitową skałę. Na sprawiających wrażenie jakby pokrytych glazurą ścianach podwodnych korytarzy odkryto grawiury, których wiek Chi Pen-Lai oszacował także na czterdzieści pięć tysięcy lat.



8. Artystyczna rekonstrukcja reliefu odkrytego w labiryncie skalnym wyspy Jotuo leżącej na jeziorze Dongting

Jeden z rysunków przedstawia istoty usadowione na unoszącym się pojeździe latającym, celujące z broni o nowoczesnym wyglądzie do uciekających zwierząt.^{25, 26} Badacze stwierdzili, że ich ubiory także mają charakter nowoczesny: są to kurtki i długie spodnie.¹⁶ Chętnie przytaczane argumenty, że pozorne unoszenie się postaci ma swą przyczynę w konieczności zapełnienia wolnego miejsca na obrazie, nie wydają się w tym wypadku zbyt przekonujące. Od postaci w latających pojazdach odcinają się wyraźnie mężczyźni przedstawieni na ziemi, najpewniej tubylcy, polujący na zwierzynę za pomocą prymitywnych dmuchawek.

Inna płaskorzeźba ukazuje centralnie położoną wielką kulę, wokół której usytuowano w rozmaitych odstępach dziesięć mniejszych kuleczek. Na tym schemacie, bardzo przypominającym nasz układ słoneczny, trzecia i czwarta kula połączone są czymś w rodzaju falistej linii.²⁶ Do tego wszystkiego nie pasuje dziesiąta kula. Ale wciąż, nawet wśród znanych astronomów, pojawiają się spekulacje na temat nieznanego planety naszego systemu słonecznego, która, jak się przypuszcza, istnieje za Plutonem, albo też — co bardziej prawdopodobne — której szczątki krążą wokół Słońca między Marsem a Jupiterem w formie płaszcza asteroidów.



9. Powiększenie satelitarne zdjęcia jeziora Dongting i jego okolic. Wyraźnie rozpoznać można cztery wyspy. Jedną z nich jest wyspa Jotuo, na której znajdują się relikty z przeszłości



10. Lotnicze zdjęcie olbrzymiej białej piramidy, położonej w górach na południowy zachód od Xi'an. Zdjęcie zrobione przez pilota US-Air Force pod koniec drugiej wojny światowej. Jest to jak do tej pory jedyne istniejące zdjęcie tej olbrzymiej budowli

Zagadkowy kolos: biała piramida

Mniej więcej od momentu zakończenia drugiej wojny światowej pojawiają się w literaturze przedmiotu ze zdumiewającą regularnością sprawozdania dotyczące ogromnych chińskich piramid. Mowa w nich o budowlach, wobec których nawet egipska piramida Cheopsa lub piramida Słońca z meksykańskiego

Teoithuacan wydają się bardzo małe.

W prowincji Shanxi, około sześćdziesięciu kilometrów na południowy zachód od miasta stołecznego Xi'an w górskim regionie Qin Ling-Shan, znajduje się największa piramida Chin i całego świata. Liczy trzysta metrów wysokości.²⁷ O ile do tej pory byliśmy skazani w mniejszym lub większym stopniu na domysły, o tyle dziś wypowiedzi świadków z przeszłości znajdują potwierdzenie w relacjach kupców lub w poczynionych w latach czterdziestych obserwacjach lotników amerykańskich sił powietrznych. Wreszcie jesteśmy pewni, że pogłoski oparte są na faktach.

W roku 1912 podróżowali po tej okolicy dwaj ludzie interesu: Fred Meyer Schroder oraz Oscar Maman; wówczas natknęli się na ogromną piramidę. To, co ujrzeli, zaparło im dech. W dzienniku swej podróży odnotowali:

„Było to bardziej niesamowite, niż gdybyśmy znaleźli się w dziczy. Ale one [mieli na myśli kilka piramid] leżą wszak jakby na oczach świata, są jednak w krajach Zachodu zupełnie nie znane.”²⁸ Te zapiski odkrył nowozelandzki badacz Bruce Cathie, którego celem jest wyjaśnienie zagadki olbrzymich piramid chińskich. Cathie, dawniej pilot jednej z małych nowozelandzkich linii lotniczych, interesuje się intensywnie już od połowy lat sześćdziesiątych zjawiskiem nieznanymi obiektów latających. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że odkrył liniowaną siatkę, wykorzystywaną przez UFO do nawigacji wokółziemskiej. Tego rodzaju siatki istniały już w zamierzchłych czasach, co pozwala wiązać lądowania UFO z wizytami kosmicznych „bogów” w zamierzonej przeszłości.

Jeśli chodzi natomiast o sporne istnienie piramid w Chińskiej Republice Ludowej, to badacz ów znalazł, wedle swego mniemania, dowody na istnienie szesnastu takich budowli w okolicach miasta Xi'an. Ich wielkość i wysokość są zróżnicowane, wspomniana piramida o wysokości trzystu metrów ma być największa ze wszystkich.

Ja sam otrzymałem wiadomość od chińskiego informatora, który przed laty przebywał w tej okolicy, że w pobliżu miejscowości Mao Ling, około pięćdziesięciu kilometrów od Xi'an, stoi kilka ogromnych piramid. Mój rozmówca przypomniał sobie nawet, że niektóre z nich miały na szczycie nadbudówki o kształcie świątyni, podobnie jak ich odpowiedniki w prapuszczach Ameryki Środkowej.

Podczas gdy w Chinach trwała druga wojna światowa, a ówczesne mocarstwo Japonia przygotowywało się do zagarnięcia całego kraju, siły powietrzne USA przeprowadziły szereg lotów zwiadowczych także nad górami Qin Ling-Shan, na południowy zachód od Xi'an. Pilot James Gaussmann, który podczas rutynowego lotu odkrył ogromną nieznaną piramidę, tak oto przypomina sobie ówczesne zdarzenia:

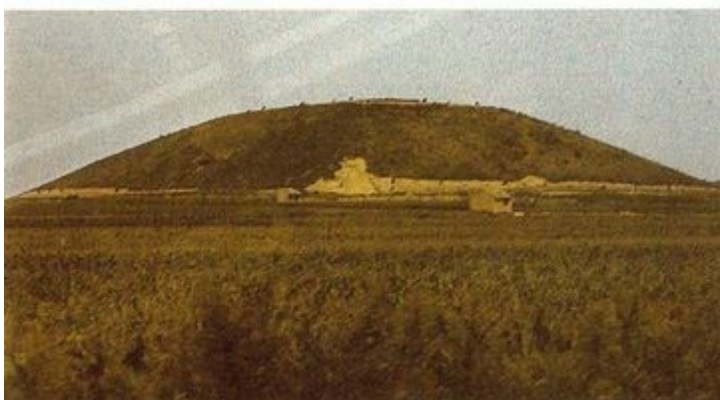
„Leciałem nad górą, później dotarliśmy nad dolinę. Bezpośrednio pod nami leżała gigantyczna biała piramida. Wyglądała jak twór baśniowy. Otulała ją lśniąca biel. Mógł to być metal albo jakiś rodzaj kamienia. Najbardziej osobliwy był jednak wierzchołek: wyglądał jak olbrzymi kawałek metalu szlachetnego. Nie było możliwe lądowanie, choć chętnie byśmy to uczynili. Zaskoczył nas ogrom tej piramidy.”²⁹

Istnieje nawet zdjęcie tej fantastycznej budowli. Po raz pierwszy opublikował je australijski autor Brian Crowley w książce wydanej w 1986 roku *The Face of Mars*. Zdjęcie to udostępnił mi panowie Peter Krassa i Walter Hain, którym bardzo w tym miejscu dziękuję. Ta sensacyjna fotografia została zrobiona przez pilotów amerykańskich sił powietrznych. Ustalono, że wysokość piramidy wynosi około trzystu pięciu metrów, długość boku podstawy — czterysta osiemdziesiąt siedem metrów. W przeciwieństwie do swych egipskich odpowiedników, które nie mogą się z nią nawet równać, nie jest zbudowana wyłącznie z kamienia. Podstawę tej największej na świecie budowli stanowi istniejące już wzgórze. Podłużne wyrwy w zboczu świadczą o procesach erozyjnych, które za sprawą wody i wiatru zachodziły w ubiegłych tysiącletniach. Mimo to z łatwością można rozpoznać jeszcze dziś kwadratowy plan budowli, jak i znajdujące się na szczycie małe plateau — podobnie jak w piramidach środkowoamerykańskich.²⁷

Zamknięty dla zwiedzających

Austriacki autor Peter Krassa pisze w swej książce *...und kamen auf feurigen Drachen* o zachowanych fundamentach kolistych piramid, które profesor Chi Pen-Lai odkrył nad jeziorem Dongting. Ku niezadowoleniu wszystkich zainteresowanych niezwykłymi znaleziskami, jezioro Dongting nie jest dziś jeszcze dostępne dla turystów. Być może w niedalekiej przyszłości możliwe będzie dotarcie do tych zakątków Chin osnutych mgłą tajemnicy. Już nie są obszarem zamkniętym miasta w trójkącie trzech prowincji: Hubei, Hunan i Jiangxi, leżącym wokół jeziora. Największe z nich to Jiujiang na północnym brzegu jeziora i nad rzeką Jangcy, Yoyang na południe od jeziora, a także Jinshi i Changde na zachodzie. W końcu lat osiemdziesiątych Chińska Republika Ludowa udostępniła je wraz z innymi regionami turystom

krajowym i zagranicznym. Być może niedługo jezioro Dongting i jego sensacyjne relikty na wyspie Jotuo również będą powszechnie dostępne.



11, 12. Dwa zdjęcia innych piramid znajdujących się w okolicach Xi'an. Piramidy te są tylko dlatego dostępne dla turystów, że kilkaset metrów od nich przebiega droga do nowego lotniska

Jestem przekonany o potędze międzynarodowego ruchu turystycznego, który otwiera granice i łączy ludzi. Na dłuższą metę Chińska Republika Ludowa nie będzie mogła go ignorować. Pracownicy poszczególnych ministerstw odpowiedzialni za turystykę wiedzą o tym od dawna. Chiny pewnego dnia będą musiały udostępnić turystom skarby swej przyrody i kultury, a nawet niewygodne fakty ze swej fantastycznej historii. Wszystko sprowadza się po prostu do spraw finansowych. Już dziś turystyka stanowi w niektórych krajach niebagatelną część dochodu narodowego, a zjawisko to będzie w przyszłości narastać, również i w Chinach — kraju rozwijającym swą turystykę.

Także i my, którzy zastanawiamy się często nad przeszłością i pochodzeniem ludzkości na naszej planecie, nierzadko formułując sensacyjnie brzmiące domysły, możemy do tego się przyczynić: musimy cały czas o tym pisać. Erich von Däniken opisał płytę nagrobną z Palenque i linie z Nazca. Skutek był taki, że niezliczone rzesze ludzkie ruszyły w drogę, by osobiście sprawdzić, czy obiekty te rzeczywiście istnieją, czy też autor dał się jedynie ponieść fantazji. Palenque i Nazca stały się z czasem sławne. Turystyka napętnia kasy, co tylko na dobre wychodzi gospodarce danego kraju.

„Lepiej raz zobaczyć niż tysiąc razy usłyszeć”, mówi stare chińskie przysłowie. Powinniśmy częściej zachęcać do takich poznawczych podróży. Realność pewnych pozostałości z minionych czasów nie będzie wówczas przez nikogo kwestionowana, jak dzieje się to jeszcze ze znaleziskami pochodzącymi z Państwa Środka.

Czy prowadzi jakaś droga do tych stref?

W początkach lipca 1993 roku, gdy moja praca nad niniejszą książką zbliżała się już ku końcowi, poznałem pana Chen Jianli. Ten sympatyczny pochodzący z Xi'an człowiek pracuje w biurze podróży mojego znajomego, gdzie jest specjalistą w sprawach Chin i całego Dalekiego Wschodu. Przydają mu się kontakty, które ma w swej ojczyźnie. Przede wszystkim zna osobiście kilku wysoko postawionych urzędników w pekińskim Ministerstwie Turystyki. Dzięki temu potrafił otworzyć swemu pracodawcy niejedne zamknięte do tej pory drzwi. Pana Chen Jianli zafascynowały opisywane w tej książce sprawy, sugerujące odwiedziny rozumnych istot pozaziemskich w Chinach. Zwłaszcza zainteresowały go — co oczywiste — relacje o Bajan Chara-Uła, Chara-Choto i piramidach w pobliżu jego rodzinnego miasta Xi'an, a także o wykopaliskach nad jeziorem Dongting.

Pan Chen Jianli obiecał, iż postara się wykorzystać wszystkie swe znajomości z ministrami i urzędnikami, by umożliwić mnie i małemu kręgowi zainteresowanych zwiedzenie dotychczas zamkniętych stref.

Mam świadomość, że nie jestem jedynym, który od dłuższego czasu z napięciem oczekuje na rozwiązanie kilku arcyciekawych zagadek Państwa Środka, dlatego natychmiast zdecydowałem się przy najbliższej okazji skorzystać z serdecznej oferty pana Chen Jianli. Poczekajmy, jakież to sensacyjne nowości dotrą wówczas z Chin do świata Zachodu...

IV

Ogromna różnica — Smok smokowi nierówny

Istnieje ogromna różnica między smokami z mitologii azjatyckich, zwłaszcza chińskich, a smokami z mitologii zachodnich. W naszych mitologiach smoki opisuje się jako stworzenia złośliwe, okrutne, wyposażone we wszelkie atrybuty bestii. Często bywają podmorskimi lub podziemnymi strażnikami skarbów i jeńców. W legendach babilońskich bóg Marduk odnosi zwycięstwo nad armiami smoków złej bogini Tiamat; w skandynawskich sagach Sigurd zabija smoka Fafnira i zdobywa strzeżone przezeń złoto.

Tradycja chrześcijańska uczyniła ze smoka istotę diabelską, uosobienie wszelakiego zła, które archanioł Michał wygnał z raju. Święty Jerzy, patron Anglii, miał jakoby zabić smoka, by uratować pogańską ludność i nawrócić ją na wiarę chrześcijańską. Zgodnie z Apokalipsą według świętego Jana w dzień sądu ostatecznego zostaną pokonane i strącone do piekieł smoki oraz inne potwory. Także w pradawnych obyczajach chrześcijańskich smoki zajmują istotną pozycję. I tak do dziś każdego roku powtarza się w Bawarii symboliczne „zabicie smoka” (*Drachenstich*). Kulminacyjnym punktem uroczystości jest przebicie przez osobę odgrywającą rolę świętego Jerzego pęcherza z krwią, który ma imitować smoka. Krew zostaje następnie zebrana przez zgromadzonych i wyniesiona na pola, co ma zapewnić urodzaj.

W przeciwieństwie do tych wyobrażeń smoki azjatyckie sprzyjają ludziom i przynoszą im szczęście, choć czasami miewają też swoje kaprysy. Krwawe uśmiercanie smoka, jeden z istotniejszych motywów baśniowych świata zachodniego, jest w Azji Wschodniej zupełnie nie znane. W dalekowschodniej filozofii smok (po chińsku „lung”, po japońsku „tatsu” albo „ryu”) jest nawet łącznikiem między niebem a ziemią.

Tak duże różnice pozwalają na sformułowanie wniosku, że te dwa wyobrażenia smoka wywodzą się z różnych źródeł.



13. Wyobrażenie smoka z mitologii chińskiej. Smoki na Dalekim Wschodzie wciąż łączy się z niebem i lotami kosmicznymi

Mimo iż nasi paleontologowie wychodzą z założenia, że człowiek i ogromne dinozaury, które pojawiły się w średniowieczu naszej ziemi, dwieście pięćdziesiąt do sześćdziesięciu milionów lat temu, nie mieli ze sobą wiele wspólnego, na Zachodzie wiąże się powstanie motywu smoka ze swego rodzaju prawspomnieniem. Zostało nam ono przekazane w dziedzictwie od najdawniejszych ssaków, które — wielkości igły — egzystowały w cieniu wielkich jaszczurów.

Profesor Carl Sagan nazywa to wspomnieniem uwarunkowanym przez rasę i przypuszcza, że smok jest mętnym wspomnieniem jakiegoś konfliktu małych człekokształtnych z dinozaurami; to niezatarte wspomnienie trwa aż do dziś w człowieku.

Przypuszczeniu temu przeczy fakt, iż w mezozoicznych warstwach nad rzeką Paluxy koło Glen Rose w Teksasie odnaleziono setki wyraźnie zachowanych śladów dinozaura, a obok tego ślady stóp ludzkich!

Ciekawe, iż już w roku 1888 teozofka H. P. Blawatsky twierdziła w swej książce *Nauki tajemne*, że „znajomość tych zwierząt [smoków] jest dowodem niezwykłego wieku plemienia ludzkiego”.

Latające smoki i biedni grzesznicy

Inna jeszcze koncepcja głosi, iż nasi przodkowie natknęli się podczas drążenia korytarzy kopalń na skamieniałości szkieletów. Było to źródłem podań i legend związanych ze smokami. Może to jednocześnie wyjaśnić, dlaczego aż po czasy oświecenia koryfeusze uniwersyteccy identyfikowali skamieniałe szkielety jako szczątki smoków. I na odwrót: skamieniały szkielet salamandry olbrzymiej pochodzący z trzeciorzędu (60 milionów - 1 milion lat temu) sklasyfikowano jako szczątki biednego grzesznika utopionego w falach potopu. Odkrywca szkieletu, zuryski przyrodnik i lekarz Johann Jakob Scheuchzer (1672-1733) ustalił nawet dlań naukową nazwę: *homo diluvii testis*, człowiek świadek potopu.^{32, 33} Dopiero francuski zoolog Georges Cuvier (1769-1832) sprostował tę omyłkę.³⁴

W Europie, zwłaszcza Środkowej, wielu górom, jaskiniom i pieczarom nadano nazwy „Smocze”, bo wiąże się z nimi najrozmaitsze legendy o smokach. W obszarze niemieckojęzycznym znana jest Skała Smocza w górach nadreńskich, na której Zygfryd z *Pieśni o Nibelungach* miał zabić smoka; znana jest Smocza Jaskinia w pobliżu Mixnitz w Styrii, Jama Smocza w szwajcarskim Tamintal, najrozmaitsze Jaskinie Smocze w Szwabii i w Alpach. W kilku z tych jaskiń odnaleziono rzeczywiście skamieniałe kości, które przez zabobonny lud mogły być uznane za szczątki smoków.

Niemiecki lekarz Patersonius Hayn, który wywędrował na Węgry, przebadał w połowie XVII stulecia kilka Smocznych Pieczar w Karpatach, odnajdując liczne skamieniałości czaszek. Mniej więcej w tym samym czasie inny Niemiec o nazwisku Vette natknął się w skalnych jaskiniach Siedmiogrodu na podobne kości. Stare podania ludowe z tej części Europy mówią nawet o smokach, które potrafiły latać.

Podziemna rzeka

Georges Langelaan naprowadza nas w związku z powyższym na interesujący ślad. Według niego geologowie odkryli potężną rzekę podziemną, która bierze początek pod masywem skalnym Jury Francusko-Szwajcarskiej, biegnie następnie w kierunku północno-zachodnim, przemierza pół Europy, by na szkockim wybrzeżu pod ziemią wpłynąć do oceanu akurat niedaleko wysepki o nazwie Jura. Wyspa ta leży dobre sto kilometrów na zachód od Glasgow nad Firth of Lorne, zatoką o kształcie fiordu, która daje początek Kanałowi Kaledońskiemu. Ten zaś łączy kilka szkockich jezior (Loch), z których najbardziej znanym jest Loch Ness. Wzdłuż tej podziemnej rzeki, która — rozpatrując to w kategoriach geologicznych — musi być bardzo stara, leżą miejscowości o nazwach podobnych do siebie. Miejscowe sagi i legendy opowiadają jednomyślnie o potworach przypominających smoki, które grasowały w tych okolicach. Nawet w herbach wielu znajdujących się tam miejscowości występują motywy smocze.³⁶

Czyżby jakieś stwory podobne do dinozaurów przetrwały do czasów historycznych, albo wręcz do naszych dni? Czy to one przyczyniły się do ustalenia obowiązującego w Europie wizerunku smoka?

Stosunkowo młoda dziedzina nauki — kryptozoologia — rozważa możliwość, iż pojedyncze egzemplarze tych uchodzących za wymarłe ssaków przetrwały do naszych czasów. Rzecznicy tego poglądu próbują go umotywić poszukując stworzeń, które wykazywałyby wielkie podobieństwo z gadami zamieszkującymi ziemię w okresie jej geologicznego średniowiecza. Kilka argumentów zdaje się przemawiać za przetrwaniem takich „żywych skamielin”, na przykład odkrycie u wybrzeży Madagaskaru trzonopłetwych, które miały wyginąć już przed sześćdziesięcioma milionami lat.^{35, 37}

Moja dygresja była całkowicie zamierzona. Dzięki niej chciałem dokładniej ukazać różnicę w obrazie smoka między wizją europejską a dalekowschodnią.

Dziewięć odmian chińskich smoków

Jak już wspomniałem, istnieje bardzo wiele istotnych cech odróżniających nasze smoki od ich dalekowschodnich odpowiedników. Na Wschodzie ich kryjówki lokuje się często w niedostępnych górach lub na dnie mórz, są symbolem dobra i mocy. Chętnie przypisuje się im też zdolności bycia niewidzialnymi; potrafią ukazywać się w kształcie gąsienicy jedwabnika, są w stanie wypełniać swym ogromem niebo i ziemię.

Mitologia chińska, która bardzo chętnie posługuje się subtelnymi, artystycznymi wyobrażeniami, wyróżnia dziewięć rodzajów smoków:

1. Smok przedstawiany na dzwonach i gongach, który ma zwyczaj ryczeć, zwłaszcza gdy zaatakuje go odwieczny wróg — wieloryb.
2. Smok wyrzeźbiony na instrumentach muzycznych, któremu właściwa jest szczególna miłość do muzyki.
3. Smok wyobrażony na kolumnach, który zachwyca pisarzy.
4. Smoki na przesłach mostu, które bardzo lubią wodę; często przedstawia się je w kształcie ryby z uniesionym ogonem. Te smoki rozglądają się i obserwują badawczo okolice.
5. Smokowi na tronie Buddy przypisuje się skłonność do nieruchomego trwania w jednym miejscu.
6. Smok wyobrażony na cokołach pomników potrafi przenosić bardzo wielkie ciężary.
7. Smok na świątynnych dachach lubi podobno niebezpieczeństwa.
8. Smoki wygrawerowane na uchwytych mieczów uchodzą zwykle za skore do walki i zuchwałe,
9. Także smoki na bramach więzień mają być bardzo kłótlive. Ponadto lubią swą siłą i nieokiełznaną energią napędzać ludziom strachu.

Rzeczywiście, bardzo osobliwa charakterystyka tych mitologicznych monstrów!

Smoki chińskie nierzadko są przedstawiane z małymi okrągłymi przedmiotami, na przykład na tak zwanych smoczycy ściankach, których kilka bardzo dobrze zachowanych egzemplarzy oglądać można dziś w Beijing i Datong. Te obrazy interpretuje się w najrozmaitszy sposób, najczęściej jednak jako smoki, które walczą o słońce, o księżyc, albo o perłę siły i mocy, której utrata przynosi ze sobą uszczerbek władzy (!).¹

Podobnie jak skrzydlate węże Majów i Azteków, te dalekowschodnie smoki przedstawiają sobą najprawdopodobniej symbole technicznych urządzeń z kosmosu. Tak jak skrzydlaty wąż, również smok ma stałe miejsce w wielu mitach o stworzeniu świata, a jego związek z kosmosem wydaje się czymś oczywistym.³⁸

Najstarsze chińskie przekazy mitologiczne głoszą, że przodkowie Chińczyków przybyli na ziemię na „ognistych smokach”. W pradawnym przekazie z drugiego wieku przed Chrystusem *Huai-nan-tsu* napisano: „Duchy często zstępowały do ludzi, by nauczyć ich boskiej mądrości.” W tym samym dziele czytamy: „Wszystko bierze swój początek od smoków.”

W opisach chińskich smoków pojawiają się nierzadko szczegóły usprawiedliwiające przypuszczenie, że chodzi tu raczej o nieudolne relacje ze spotkań i obserwacji obiektów latających podobnych do UFO; spotkań, które miały miejsce przed tysiącami lat. W mniejszym stopniu chodzi natomiast o opisy żywych smoków, bez względu na to do jakiej grupy zwierząt by należały. Smoki „unosily się na skrzydłach wiatru do nieba”, były także w stanie zstępować w głębiny mórz.

Ta charakterystyka wykazuje zdumiewające zbieżności z zagadkowymi ptakami gromu w mitologii eskimoskiej. Eskimosi — zaliczający się wszak do rasy żółtej — twierdzą, że ich praprzodkowie w zamierzchłej przeszłości z gromkim hukiem zostali przeniesieni przez te właśnie ptaki w rejony wiecznej zmarzliny.

Także w legendach Indian północnoamerykańskich znany jest *Thunderbird*, jak nazywa się tam gromptaka.

Legendarni pracesarze Państwa Środka, których od najdawniejszych czasów określa się mianem „synów nieba”, dysponowali jakoby niezwykłą wiedzą i zdolnościami. Dzięki latającym smokom pozostawali w stałym kontakcie z bogami zamieszkującymi niebo.³⁹

Legendarny cesarz Yü, który jest podobno założycielem dynastii Xia (ok. 2100-1600 r. p.n.e.), miał posiadać latający pojazd, podobnie jak opisany w Starym Testamencie mądry król Izraela Salomon. Niebiański wóz cesarza Yü ciągnęły dwa smoki. Współcześni nadali mu dlatego przydomek „Pan przestworzy powietrznych”.

Loty wysokościowe

Ale nie tylko członkowie domu cesarskiego mieli dobre kontakty z niebianami. Na przykład poeta Chi Yuan (340-278 rok przed Chrystusem) opisuje w swym dziele *Li Sao* powietrzną podróż nad centralną Azją. Przebywał właśnie koło grobu cesarza Chun, gdy pojawił się „wóz z nefrytu, ciągnięty przez cztery smoki”. Chi Yuan odważnie wszedł do pojazdu i na znacznej wysokości przeleciał nad Chinami w kierunku zachodnim, w stronę masywu górskiego Kun-Lun. W tym masywie graniczącym od północy z pustynią Takla-Makan znajdują się szczyty o wysokości przeszło 7700 metrów nad poziomem morza. Na południowym wschodzie styka się on z łańcuchem górskim Bajan Chara-Uła. Podczas lotu poeta mógł

ogłądać ziemię, przy czym nie ograniczały widoczności ani wiatr, ani tak częste na pustyni Gobi burze piaskowe. Następnie wylądował bezpiecznie na ziemi. W późniejszym czasie Chi Yuan miał jeszcze raz możliwość latania w „smoczym pojeździe” nad górami Kun-Lun.

O innej jeszcze podróży pisze filozof Chuang Tse żyjący w czwartym wieku przed Chrystusem. W opowiadaniu zatytułowanym *Podróż ku nieskończoności* opisuje on, jak na grzbiecie „baśniowego ptaka o kolosalnych rozmiarach” wyleciał w przestrzeń kosmiczną na odległość równą pięćdziesięciu trzem tysiącom kilometrów.⁵

Jeśli komuś trudno wyobrazić sobie, że smoki chińskiej starożytności przedstawiają pojazdy kosmiczne — albo, mówiąc ogólnie, aparaturę latającą — tego przekona może poniższy przykład.

Gdyby nasza cywilizacja miała rozpaść się w proch i pył — co, mam nadzieję, nie nastąpi — wówczas żyjący kilka tysięcy lat później badacze starożytności mieliby twardy orzech do zgryzienia. W niewielu zachowanych przekazach pisemnych z tej niezrozumiałej dla nich epoki mówiłoby się o jakichś najwyraźniej mitologicznych istotach: o jaguarze napędzanym mocą dwustu koni. Co to ma znaczyć? Z niedowierzaniem będą badacze z przyszłości kręcić głowami i z wielkim trudem przyjdzie im zidentyfikować tak pospolite dla nas produkty przemysłu samochodowego. Włączają je jako „postacie mitologiczne” do rubryki „sagi i legendy”. *File and forget*.

Smoka, który zionąc ogniem z ogromną szybkością szybuje w niebo, wydając przy tym ogłuszający, wściekły ryk, uznają za produkt wybujałej fantazji ludzi żyjących w naszych, pełnych chaosu, czasach. I nie będą przeczuwać, że między bajki włożyli istniejący w rzeczywistości wieloczynnościowy samolot bojowy „Draken” (Smok!) królewskich sił powietrznych Szwecji.

Legenda o smoczym pałacu

Dawne chińskie przekazy opowiadają o podmorskim pałacu smoczym, który leżał na Morzu Wschodniochińskim, oddalony o pięć lub sześć dni podróży statkiem z miasta Suzhou, niedaleko Shanghai. Ten obszar morski omijany był trwożliwie przez żeglarzy ze względu na występujące tam turbulencje, osobliwe dźwięki, a przede wszystkim upiorne czerwone światło, jaśniejące nocami jak słońce.³⁷

Czy chińscy żeglarze obserwowali coś, co my dziś określilibyśmy jako podmorską bazę nieznanego obiektów latających?

I czy z tego smoczego pałacu nie startowały srebrzyste, uskrzydłone smoki, wspomagające mitologicznego bohatera No-cha w jego walce z przeciwnikami?

Ów No-cha musiał posiadać bogaty arsenał środków bojowych o zdumiewającej skuteczności, dzięki którym spuszczał potężne bity wrogom. I tak zniszczył swego rywala Chang-kuei-feng za pomocą tak zwanego koła ognisto-wietrznego, za którym to określeniem skrywać się musi bardzo skomplikowany rodzaj broni. A za pomocą „namiennika łączącego niebo i ziemię” był w stanie spowodować, by ziemia zdrząła pod stopami tych wszystkich, którzy byli wrogo doń nastawieni.³

Podobne przekazy istnieją w mitologii brazylijskich Indian Kayapo; mówią one o Bep-Kororoti, niebiańskim mistrzu, który przybył z kosmosu. Posługiwał się cudowną bronią o nazwie „Kop”, po której niosącym śmierć wystrzale wszystko drżało.¹⁶

Starochińska mitologia pełna jest opisów budzących respekt systemów uzbrojenia, opisów, które nie muszą wstydić się porównania ze staroindyjskimi *Wedami* i *Mahabharatą*. Mowa jest w niej na przykład o „oszczepach błyskawic”, „uderzeniach gromu”, „kulistych ogniach” i „lśniących promieniach” stosowanych podczas ofensywnych walk. Dawni bohaterowie chińscy byli również znakomicie przygotowani do prowadzenia bojów defensywnych: odwrót — w sytuacjach, gdy nastąpił błąd planowania strategicznego — osłaniały ochronne „parasole dymu” i „welon niewidoczności”.

Podobnie jak staroindyjscy bogowie legendarnych Wiman, tak i bohaterowie będących ich odpowiednikiem chińskich legend zdolni byli do akustycznego i wizualnego postrzegania wrogich obiektów z dużych odległości.³ Ich nowoczesnym odpowiednikiem może być cudowna broń NATO — samoloty typu AWACS, co znaczy: sterowany radarem system kontroli przestrzeni powietrznej.

Wimany staroindyjskie, latające węże Ameryki Środkowej, srebrzyste smoki latające w Państwie Środka: czy są to tylko rozmaite określenia jednej i tej samej rzeczywistości? Owe starochińskie smoki są zjawiskiem bardzo tajemniczym, prowokującym do najrozmaitszych prób wyjaśnień. Techniczna interpretacja wielu tych opowieści wydaje mi się nie tak znów chybiona. Czy latające smoki były pojazdami bogów — astronautów przybyłych do Chin z kosmosu?

Z pojęciem smoka ściśle się wiąże pochodząca z pradawnych czasów geomancja, w Chinach określana mianem Fen-shui. Ta nieco nieprzejrzysta nauka bazuje na pojęciu drogi smoków (chiń. *lung-mei*), którą często zestawia się z liniami siłowymi (wektorami) opasującymi siatką naszą Ziemię.

Podczas gdy w Chinach przez tysiąclecia zmieniały się dynastie cesarskie, mistrzowie Fen-shui wciąż byli pytani o najlepszą lokalizację świątyń, pagód, grobowców. Bardzo wcześnie Chińczycy doszli do przekonania (właściwie dzięki czemu?), że powierzchnia kuli ziemskiej pokryta jest polami energii — liniami magnetycznymi. Zadanie geomantów polegało więc na tym, by zlokalizować te pola i ustalić najdogodniejsze miejsca, które nie zakłócałyby harmonii kosmicznej. Nauka Fen-shui uchodziła za świętą.

Temu systemowi wiedzy zawdzięczamy wspaniały układ ogrodów krajobrazowych, z których Chiny słyną. Ani jedna pagoda, ani jedno drzewo, nawet najmniejszy element kamiennej architektury w tych parkach nie jest ulokowany w miejscu przypadkowym. W dalekowschodniej geomancji szczególnie uprzywilejowaną pozycję zajmują góry. Już w pismach pochodzących z epoki późnej dynastii Han (206 rok przed Chrystusem - 220 po Chrystusie) góry uchodzą za centra energii kosmicznej; od najdawniejszych czasów okazywano im wielki respekt i oddawano cześć.

Pierwszymi nowożytnymi mieszkańcami Zachodu, którzy zetknęli się z naukami Fen-shui, byli dziewiętnastowieczni przedsiębiorcy i kupcy, przyjeżdżający do Chin, by nawiązać kontakty z tym wielkim imperium. Przy realizacji swych projektów natrafiali nierzadko na wyjątkowo zdecydowany i długotrwały opór. Na przykład nie mogli wytyczać prostych odcinków linii kolejowej po zupełnie płaskim terenie, a zwłaszcza przebijać tuneli przez tzw. góry smocze.⁴⁰

Nawet w dzisiejszych czasach te zasady zdają się także obowiązywać. Przestrzegano ich na przykład przy rozpoczętej w 1986 roku budowie wieżowca banku w Hongkongu. Podczas wznoszenia jeszcze wyższego budynku Bank of China prowadzono prace nie respektując reguł Fen-shui, co zaczęło się jakoby mścić: zawały się ściany działowe, pękały okna, tu i ówdzie ktoś łamał nogę.⁴¹

W Repulse-Bay, miejscowości znajdującej się na południu wyspy Hongkong, odnalazłem piękny przykład bezwzględного zastosowania Fen-shui w nowoczesnej architekturze. W kompleksie budowlanym o falistych kształtach, wznoszącym się na wzgórzu nieco ponad ulubionym kąpieliskiem mieszkańców Hongkongu, zionie potężne „okno”, wysokie na siedem pięter i szerokie na kilka apartamentów. Przestrzeni tej po prostu nie zabudowano. Moje wcześniejsze przypuszczenie, iż chodzi tu o rodzaj zabezpieczenia przed częstymi w tym regionie tajfunami, nie znalazło potwierdzenia u kilku mieszkających w tej okolicy Chińczyków. Chodzi tu, objaśnili mi, o wolne miejsce, którego świadomie nie zabudowano: nie zamierzano zastawiać drogi smoczej, która zaczynała się na pobliskim wzgórzu i wiodła przez środek domu mieszkalnego. *Lung—mei!*



14. Przykład zastosowania teorii Fen-Shui we współczesnym Hongkongu. W prawej połowie domu wyraźnie rozpoznać można miejsce dla smoka

Owemu systemowi smoczych dróg odpowiadają na Zachodzie linie geomantycznych energii,⁴⁰ które znane są, zwłaszcza w krajach anglosaskich, pod nazwą *Ley-lines*. Chodzi tu o to, że prastare miejsca święte,

sakralne budowle (wznoszone o wiele później na miejscach kultowych określanych jako pogańskie), święte studnie i źródła, a także inne „magiczne” miejsca zbudowane są na siatce linii prostych. W punktach przecięcia tych linii znajdują się kompleksy o wyjątkowym znaczeniu: na przykład Stonehenge leży na skrzyżowaniu takich *Ley-lines*.

Czy istnieje tu jakiś wspólny mianownik?

Jeśli powiążemy te fakty ze współcześnie obserwowanymi zjawiskami UFO, wówczas możemy pokusić się o daleko idące wnioski. Niektórzy badacze, analizując miejsca pojawiania się nieznanymi obiektów latających, wykazali istnienie czegoś w rodzaju siatki liniowej, systemu, który reguluje trasy lotu nie zidentyfikowanych obiektów.

Pierwszą osobą prowadzącą takie prace był francuski inżynier i badacz UFO Aimé Michel.

Zaznaczywszy na mapie obserwacje dokonane w ciągu jednego dnia roku 1954, kiedy to nastąpił we Francji prawdziwy zalew doniesień o UFO, odkrył zdumiewającą prawidłowość. Wszystkie trasy lotu tworzyły linie proste. W kilku miejscach obiekty jakby potęgowały swą aktywność, gdyż krzyżowało się tu wiele linii. Michel stworzył dla tego liniowego porządku pojęcie ortotenu, które znaczy tyle co „rozciągający się w liniach prostych”. Podobne wypadki, gdzie stwierdzono obecność regularnej siatki liniowej, zaobserwowano na całym świecie, między innymi w Hiszpanii i Brazylii.⁴²

Wprawdzie prawdopodobieństwo przypadkowego powstawania takich linii zwiększa się wraz z wielością obserwacji i z szerokością korytarzy powietrznych, ale pozostaje zagadką, dlaczego ta nowoczesna siatka podobna jest do układów linii z czasów prehistorycznych?

Być może kiedyś uwidocznią się związki wskazujące na wspólne pochodzenie *Ley-lines*, korytarzy powietrznych UFO i tras lotu smoków z pradziejów Chin. Aż do tej chwili ta spekulacja będzie miała swe miejsce wśród innych równoprawnych domysłów.

V

Tybet, Dach Świata — Czy „bogowie” z kosmosu są wśród nas?

Tybet, od roku 1959 stanowiący część państwa chińskiego jako autonomiczna prowincja Xi-zang, uchodzi za największą wyżynę świata o powierzchni dwóch milionów kilometrów kwadratowych. Rozciąga się między górami Kun-Lun na północy a Himalajami na południu; składa się z masywów górskich (liczne siedmio- i ośmiotysięczniki), a także z wyżyn, leżących na wysokościach od 4000 do 5000 metrów nad poziomem morza. Turyści odwiedzający ten kraj powinni unikać wzmożonego wysiłku: powietrze na takich wysokościach jest bardzo rozrzedzone.

Wśród stepów i kamiennych pustyń rozrzucone są liczne klasztory buddyjskie. Do końca lat pięćdziesiątych mieszkający tam mnisi stanowili jedną trzecią męskiej ludności kraju. Duchowym i świeckim przywódcą Tybetańczyków jest dalajlama (w języku tybetańskim Gyalwa Rinpoche), który dla wiernych jest usobieniem półboga. Obecny, czternasty z rzędu Gyalwa Rinpoche, Bstan'-dzin-rgya-mtsho, urodził się w roku 1935 w chińskiej prowincji Qinghai w tybetańskiej rodzinie, a w roku 1940, będąc pięcioletnim dzieckiem, został intronizowany jako władca kraju, Dachy Świata.

Podobnie jak wokół jego poprzedników — albo precyzyjniej mówiąc, jego poprzednich wcieleń — także i wokół osoby tego króla-boga narosło wiele legend.

Ulubieniec bogów

Mimo że chińska armia narodowowyzwoleńcza wkroczyła do Tybetu już w roku 1950, Tybetańczycy przez długie lata opierali się Chińczykom: aż do roku 1959, kiedy ponieśli całkowitą klęskę. Miało to taki skutek, że dalajlama i jego najwierniejsi zwolennicy zmuszeni zostali do emigracji, by uniknąć uwięzienia lub internowania.

Podczas tej ucieczki wydarzyło się wiele bardzo tajemniczych spraw. Gdy dalajlama dotarł ze swym orszakiem do przełęczy górskiej prowadzącej do Indii, całą okolicę osłoniła raptownie mgła, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Chińskie samoloty zwiadowcze musiały powrócić z niczym. Gwałtowna burza śnieżna, która rozpułała się nie wiadomo dłaczego, pozacierała ślady, uniemożliwiając pościgowi schwytywanie dalajlamy. Mógł więc się udać bez przeszkód do północnoindyjskiego miasta Dharamsala, gdzie znalazł schronienie dzięki przyjaźni, jaka łączyła go z ówczesnym premierem Indii Jawaharlalem Nehru (1889-1964). Do dziś mieszka tam około stu tysięcy Tybetańczyków (częściowo w obozach dla uchodźców), popierających swego przywódcę w jego wciąż aktualnych dążeniach do odzyskania władzy w Tybecie.

Gdy dusza udaje się na wędrówkę

Bardzo osobliwe i skomplikowane są procedury poprzedzające intronizację nowego dalajlamy. Mogą ciągnąć się miesiącami, ba, nawet latami. Wedle tradycyjnych wierzeń dusza umierającego Gyalwa Rinpoche wciela się tuż po śmierci w nowo narodzonego chłopca. Władca często sam udziela wskazówek dotyczących miejsca swych ponownych narodzin. Dziecko musi mieć pewne cechy charakterystyczne (na przykład kształt uszu) i już w najwcześniejszych latach musi wykazać się znajomością szczegółów poprzedniej egzystencji.

Parapsychologia zna liczne przypadki, gdy dzieci, ledwo nauczywszy się mówić, podawały dokładne i dające się sprawdzić szczegóły swej poprzedniej egzystencji.¹⁰

Wkrótce po zgonie dalajlamy ruszają zastępy mnichów i ludzi świeckich, by odnaleźć powtórnie narodzonego władcę. Jedną z grup bada pogłoski o niezwykłych dzieciach. Inne za sugestią przepowiedni i oznak wędrują do określonych okolic w poszukiwaniu odnowionego Gyalwa Rinpoche. Jedną z takich wyroczeni jest Lhamo-Latso, górskie jezioro, na którego brzegu pierwszemu dalajlamie ukazała się bogini Pandan Lhamo. Przynęła mu, że weźmie w opiekę wszystkie jego przyszłe wcielenia.⁴³

Gdy po śmierci trzynastego dalajlamy regent sprawujący tymczasowo władzę powędrował do brzegów jeziora Lhamo-Latso, zobaczył w widzeniu dom. Był w stanie opisać zabudowania, ich otoczenie, a nawet

psa mieszkającej tam rodziny. Wtedy tajna grupa poszukiwawcza ruszyła w drogę. Gdy odnalazła wreszcie ten dom, jedno z dzieci rozpoznało jakoby lamę, który przewodził tej grupie i w rozmowie z nim posługiwało się oficjalnym językiem dworu. Nikt z rodziny dziecka nie mówił tym językiem, a poza tym ze zdumiewającą pewnością zidentyfikowało ono przedmioty należące przedtem do zmarłego boga-króla. Po przeprowadzeniu wielu prób uczestnicy ekspedycji poszukiwawczej zyskali pewność. Odnaleziono nowego Gyalwa Rinpoche, czternastego dalajlamę, do dziś duchowego i świeckiego przywódcę Tybetańczyków.

Zbiorami świętych ksiąg tybetańskich buddystów są: *Kandzur*, czyli *Przekład słowa*, i *Tandzur*, *Przekład nauki*. Znaki graficzne stotrzytomowego *Kandzur* i dwieście dziewięć tomów *Tandzur* wyryte są na drewnianych matrycach, które wypełniają wszystkie piwnice biblioteki klasztoru Derge w górnym biegu rzeki Jangcy. Kilka kompletnych zbiorów tych ksiąg ukryto jakoby w niedostępnych wioskach górskich, by tam przetrwały czasy zamętu. Dla sporządzenia kompletnego druku ksiąg *Kandzur* czterdziestu pięciu mnichów potrzebowało trzech miesięcy, dwa razy tyle czasu konieczne było do sporządzenia egzemplarza *Tandzur*. Szesnaście lat trwało natomiast w klasztorze Amado wycinanie ponad siedemdziesięciu tysięcy matryc liczącego dwieście dziewięć tomów *Tandzur*. Zręczny lama jest w stanie sporządzić jedną drewnianą tabliczkę w ciągu czterech dni.⁴⁴

Perły i jajka latające po niebie

Dotychczas przetłumaczono tylko drobne fragmenty obu dzieł. Czas ich powstania jest nieznanym. Znajdują się w nich wzmianki o bogach, którzy w przezroczystych latających kulach, nazywanych „perłami na niebie”, składali przez długie okresy wizyty mieszkańcom tego regionu.¹³ Fakt, że owe tajemnicze dzieła istnieją do dziś, zawdzięczamy szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

W kulminacyjnym punkcie rewolucji kulturalnej, gdy Czerwona Gwardia dawała upust nienawiści do wszystkiego, co dawne i przekazane przez tradycję, obrazoburstwo stało się niewygodne nawet dla samych władz. Nie kto inny, tylko ówczesny premier Zhou Enlai (Czou En-laj), wysłał kilka kompanii regularnych wojsk, by poskromiły szalejące hordy i ocaliły choć część nie dających się wszak niczym zastąpić skarbów kultury. Po obu stronach oplakiwano wielu zabitych i rannych.

Dziś w klasztorze Derge, gdzie znajduje się państwowa drukarnia Tybetu, zatrudnionych jest znów blisko pięćset mnichów przy konserwacji i archiwizowaniu dawnych ksiąg. Rząd centralny w Beijing bardziej niż kiedykolwiek popiera rozwój tradycji wszystkich mniejszości etnicznych Chin.

A w ogóle Tybet jest znakomitym miejscem dla kogoś, kto poszukuje śladów odwiedzin przybyszy z kosmosu. Aż roi się w świętych księgach tego górskiego kraju od wzmianek na temat bogów i latających kul — dziś byśmy raczej opisali to jako humanoidów w nieznanach obiektach latających. Prastara legenda opowiada o spotkaniu, które mówiąc dzisiejszym językiem i bez zbytniego wyęźniania wyobraźni określilibyśmy mianem „niezwykłego spotkania trzeciego stopnia”: „Niestworzona istota stała się źródłem białego światła, a z pramaterii tego światła powstało jajko o doskonałych kształtach. Z zewnątrz jaśniało blaskiem, było na wskroś dobre; nie miało rąk i nóg, a mimo to mogło się poruszać; nie miało skrzydeł, a jednak mogło latać; nie miało oczu, głowy, ust, a mimo to wydawało dźwięki. Po pięciu miesiącach cudowne jajo pękło i wyszedł zeń człowiek.”³

Wszelki komentarz wydaje się tu zbyteczny. Jakże podobnie brzmi, mimo rozmaitych różnic, opowieść biblijnego proroka Ezechiela o spotkaniu nad rzeką Chebar, w niewoli babilońskiej, gdy objawiła mu się „wspaniałość Pana”.

Także Yehi, pierwszy mityczny król Tybetu, urodził się ze skorupy jajka (wedle innych przekazów: z muszli). Tybetańczycy uznają go za praojca rodzaju ludzkiego. W księdze *Gyelrap*, jak określa się genealogię tamtejszych władców, mowa jest o dwudziestu siedmiu legendarnych królach, z których siedmiu przybyło z kosmosu, zstępując na ziemię po niebiańskiej drabinie. Określa się ich także jako bogów światła, którzy po spełnieniu swej ziemskiej misji zniknęli w przestrzeni kosmicznej.

Od nich otrzymali lamowie szkatułkę z praksięgą, do dzisiejszego dnia podobno przechowywaną jako relikwia w którymś z klasztorów. Lama Taranatha, tybetański historyk z siedemnastego wieku, twierdzi, że niebiańscy mistrzowie nakazali kapłanom, by dla potomności udokumentowali ilustracjami ich pobyt na ziemi.⁴⁵

Pożegnanie nauczyciela

W sumeryjskim eposie *Gilgamesz* Enkidu — przyjaciel bohatera — opowiada, jak pewnego razu uniósł

go orzeł w powietrze. Enkidu patrzył na malejącą w oddali ziemię. Wreszcie „ład wyglądał jak papka z mąki, a morze jak koryto z wodą”. Podobna relacja, którą można sensownie zinterpretować jako spojrzenie na ziemię z szybko oddalającego się od niej obiektu, wiąże się z wielkim nauczycielem Padmasambawa. W Tybecie znany był on pod imieniem U-Rgyan Pad-Ma. Gdy żegnał się z ulubionym uczniem, pojawił się na niebie „koń ze srebra i złota”, który zstąpił na ziemię. Mistrz powiedział zebranim wokół niego ludziom, że bezsensiem byłoby go gdziekolwiek szukać, i odleciał.

Obecni patrzyli na odlatującego Padmasambawę, aż zmałał do rozmiarów kruka. Następnie był już tylko wielkości drozda, później muchy, aż wreszcie stał się tak mały, jak pchle jajo. A gdy jeszcze raz spojrzeli w niebo, nie było już po nim ani śladu.⁴⁵

Podobnie jak mitologie sąsiednich Indii, tak i przekazy tybetańskie opowiadają o miastach w przestrzeni kosmicznej i o wojnach na niebie. Jeden z nich opisuje Sudarsome, nazywaną także „miastem trzydziestu trzech bogów”. Krążyła ona w przestrzeni kosmicznej otoczona siedmioma kręgami złotych murów. W owym cudzie techniki bogowie mieli zdolność nabierania kształtów cielesnych: mogli zrywać z drzew wszystko, czego tylko zapragnęli.

Gdy król Mandhotar — władca tego miasta — zdobył już cały świat, postanowił podbić także niebo. Przenosił jednak swoje siły, gdyż ta nieokiełznana ambicja kosztowała go wszystko, co posiadał, w końcu także i życie. W czasie, gdy przebywał w przestrzeni kosmicznej, jego miasto „trzydziestu trzech bogów” zaatakowali Asurowie. W bezlitosnej walce, którą prowadzono przy użyciu niezwyklej broni, udało się im pokonać niebiańskie miasto i odrzucić w głąbiny kosmosu. Czym innym mogło być owo niezwykle miasto bogów, jak nie stacją kosmiczną poruszającą się na orbicie okołozemskiej?

Relacje o niezwykłych zjawiskach na tybetańskim niebie nie ograniczają się wyłącznie do dalekich, ginących w mrokach prehistorii epok. Przeciwnie. Sięgają do czasów nowożytnych i bez najmniejszego trudu możemy je prześledzić od najodleglejszej przeszłości do dziś.



15. Wyobrażenie miasta kosmicznego przyszłości na orbicie okołozemskiej. Dawne mity tybetańskie zawierają opowieść o Sudarsome, mieście trzydziestu trzech bogów, krążącym wokół naszej planety

Ojciec jezuita obserwuje UFO

Belgijski misjonarz jezuita Albert d'Orville jako jeden z pierwszych Europejczyków odbył w siedemnastym wieku podróż po Tybecie, już wówczas owianym legendami. Zachował się do naszych dni dziennik tej podróży, w którym odnotowano takie oto osobliwe zdarzenie:

„Listopad 1661. Moja uwaga skierowana została na obiekt poruszający się wysoko po niebie. Najpierw pomyślałem, że jest to nieznany gatunek ptaka, żyjący w tym kraju, lecz później, gdy ów przedmiot się zbliżył, przybrał kształt chińskiego kapelusza i sunął powoli obracając się wokół osi, jakby niesiony na niewidzialnych skrzydłach wiatru. To z pewnością był jakiś cud albo sztuczka czarodziejska. Przedmiot ów przeleciał nad miastem [Lhasą]; i jakby pragnąc wzbudzić podziw, zatoczył dwa kręgi i zniknął we mgle. I choć bardzo wyteżaleń wzrok, nie mogłem go już dostrzec. Zadałem sobie pytanie, czy to przypadkiem nie ta wielka wysokość, na której się znajdowałem, spletała mi takiego figła, gdy wtem ujrzałem w pobliżu jakiegoś lamę i spytałem go, czy on też to zobaczył. Gdy kiwnąwszy głową odpowiedział twierdząco na moje pytanie, dodał jeszcze: «Mój synu, to, co ujrzałeś, nie było czarodziejską sztuczką. Bowiem istoty z innych światów od stuleci żeglują po morzach kosmosu i przyniosły pierwszym ludziom zamieszkującym tę

ziemię duchowe światło. Przekleli wszelką przemoc, nauczyli ludzi wzajemnie się miłować, choć nauka ta była jak ziarno rzucone na kamień, które nie może wzejść. Te istoty, których skóra jest jasna, były przez nas zawsze przyjmowane z wielką gościnnością i dlatego często lądowały koło naszych klasztorów, przekazując nauki i odslaniając sprawy nieznanne, o stuleciach kataklizmów, które zmieniły oblicze ziemi.»⁴⁰

Relacja pobożnego zakonnika przeniknięta jest z całą pewnością elementami chrześcijańskiej nauki o zbawieniu — aluzja do miłości i rezygnacji z przemocy rzuca się natychmiast czytelnikowi w oczy — a jednak wypowiedź ta dowodzi autentyczności relacji. Ta obserwacja musiała wyrzucić na ojcu d'Orville tak wielkie wrażenie, że bez sprzeciwu zaakceptował i przekazał potomności wyjaśnienie tybetańskiego lamy. Nie możemy w żadnym wypadku zapominać, że chrześcijańska wiara propagowała w tym czasie obraz świata z nieruchomą Ziemią trwającą w przestworzach, wokół której obracały się wszystkie pozostałe ciała niebieskie. Jako siedlisko człowieka — absolutnej korony stworzenia — nie mogła mieć konkurentek w postaci innych zamieszkałych światów, a zupełnie niewyobrażalne było istnienie składających nam wizyty istot, znajdujących się na znacznie wyższym szczeblu rozwoju. Dwadzieścia lat przed obserwacją dokonaną przez belgijskiego jezuitę, Galileo Galilei wypowiedział na łożu śmierci słynne później słowa: *Eppur si muove* — „A jednak się kręci”. Przez całe lata inkwizycja zmuszała go pod groźbą najstraszliwszych kar, by odwołał swe kacerskie teorie.

Nie, ta osobliwa obserwacja poczyniona na niebie nad Lhasą musiała wprawić w niemałe zakłopotanie pobożnego męża. W przeciwnym wypadku, zgodnie z dobrą tradycją swego zakonu, nie przyjąłby wyjaśnień lamy bez własnego sprostowania.

A wzmianka o długotrwałych kataklizmach, które „zmieniły oblicze ziemi” pozwala na wyciągnięcie wniosku, iż te obce istoty odwiedzały Ziemię już od czasów, które należy raczej liczyć tysiącleciami.

Chciałbym w tym miejscu postawić prowokujące pytanie: może owi mistrzowie przybyli z odległych światów, o których opowiadał tybetański lama, są jeszcze wśród nas?

Wyprawa Mikołaja Roericha

Uczyńmy krok do przodu, w nasze „oświecone” dwudzieste stulecie. W latach dwudziestych jedna z najbardziej niezwykłych i najwszechstronniejszych osobistości naszego wieku przedsięwzięła trwającą trzy lata ekspedycję badawczą do centralnej Azji. Sławny rosyjski malarz i filozof, archeolog i pisarz Mikołaj Konstantynowicz Roerich (1874-1947) wyruszył w tę podróż z Srinagaru w marcu 1925 roku. Towarzyszyła mu żona i dwaj synowie: Georgij i Swiatosław. Ich trasa wiodła przez północne Indie, Kaszmir, Tybet, Chiny i Mongolię. Podążając prastarymi szlakami karawan, ekspedycja rodziny Roerich, wyposażona w sto wielbłądów i koni oraz pięć wozów bagażowych, w towarzystwie tuzinów tragarzy pokonała najwyższe położone przełęcz świata. Podążając tradycyjnym szlakiem karawan przez Kaszmir i Ladakh, konwój minął przełęcz Karakorum i dotarł do oazy Chotan, na południowych krańcach pustyni Takla-Makan, dawnego centrum buddyzmu. Tędy przebiega też legendarny Jedwabny Szlak, którym dawniej przywożono na Zachód herbatę, korzenie i, naturalnie, chiński jedwab. W dalszej wędrówce przez Wysoki Ałtaj, Tybet i Mongolię Roerich — jak rzadko który badacz przed nim — zebrał olbrzymią liczbę legend i relacji o historii i kulturze ludów zamieszkujących centralną Azję. Jako wyjątkowo zdolny artysta stworzył w swych przeszło pięciuset obrazach nieporównywalną z niczym panoramę Azji Środkowej. Kilka książek, które Roerich napisał, opowiada ciekawie o niebezpieczeństwach i trudach podróży do nie zbadanych wówczas regionów kontynentu. Jego znakomite obrazy ilustrują lepiej niż jakakolwiek fotografia ten górski świat.

Oficjalnym celem ekspedycji Roericha było możliwie jak najdokładniejsze zbadanie krajów i ludów w Azji Środkowej, a także ich dziedzictwa kulturowego. Jeśli jednak uważnie przeczytamy jego książki, wówczas stwierdzimy, że wciąż pojawia się w nich miasto o dziwnej nazwie: Shambhala (także: Shampulla), które wedle przekazów miało istnieć, podobnie jak Agharti, gdzieś na tych ciągnących się w nieskończoność przestrzeniach. Jako archiwum prastarej wiedzy miasto owo miało stanowić azyl dla mędrców i wojowników. Niezłębione tajemnice i wiedza starannie ukrywana przed ciekawością tłumu miały podobno trwać za jego murami.

Nie od rzeczy będzie w tym miejscu informacja, że istniało pewne stowarzyszenie, równie mocno zainteresowane legendarną Shambhalą. Jak podają Louis Pauwels i Jacques Bergier, stowarzyszenie „Thule” — jeden z duchowych prekursorów narodowego socjalizmu — organizowało od połowy lat dwudziestych do roku 1943 ekspedycje do Tybetu w celu odnalezienia tajemniczego miejsca. Niektórzy członkowie stowarzyszenia „Thule” wciąż podkreślali konieczność powrotu do źródeł, co w rzeczywistości oznaczało podbicie całej Europy Wschodniej, Turkiestanu, Pamiru i Tybetu. Być może to właśnie było przyczyną skierowania hitlerowskich imperialistycznych dążeń na Wschód.

I na odwrót: od roku 1926 tworzyły się w Berlinie i Monachium małe kolonie Hindusów i Tybetańczyków. Po zwycięstwie Armii Czerwonej i po kapitulacji Berlina Rosjanie odnaleźli zwłoki wielu Tybetańczyków i ludzi pochodzących najwyraźniej z regionu Himalajów. Wszyscy bez wyjątku odziani byli w mundury wermachtu, bez jakichkolwiek dokumentów lub dystynkcji.⁴⁶ Dlaczego ci ludzie poszli na śmierć z dala od swej ojczyzny? Jaki był związek narodowosocjalistycznych Niemiec z tymi wschodnioazjatyckimi ochotnikami?

Jedna z legend opowiada, że w ciężkich i niepewnych czasach wojownicy Shambhali prowadzili przy użyciu jaśniejących kul (!) walkę z siłami zła. Czy można to rozumieć inaczej niż jako wyraźną aluzję do konfliktów, podczas których poruszające się w pojazdach kosmicznych istoty łagodziły, posługując się wysoko rozwiniętą technologią, spory między zwaśnionymi stronami? Czy nieśmiertelny mit Shambhali nie ma swych źródeł w jednej z baz, którą przybysze z kosmosu założyli gdzieś w Azji Środkowej?

W książce *Altaj-Himalaje* Roerich opisuje spotkanie bardzo przypominające przygodę belgijskiego jezuity Alberta d'Orville, a jeszcze bardziej obserwacje UFO, poczynione za naszych czasów.

Piątego sierpnia 1926 roku rozbito namioty w okręgu Choch-Nuur, niedaleko Gór Humboldta. Około 8.30 rano siedmiu uczestników wyprawy ujrzało na niebie zdumiewająco wielkiego ptaka o czarnej barwie, prawdopodobnie orła, który zataczał nad nimi kręgi. A jako że tak wspaniały okaz należy nawet w tych okolicach do rzadkości, zaczęto uważnie obserwować ptaka. Nagle na niebie dostrzeżono coś jeszcze: wysoko nad ptakiem poruszał się nieznany obiekt. Wszyscy byli w stanie rozpoznać wielki, jasny twór, przesuwający się z północy na południe, odbijający promienie porannego słońca. Wyglądał jak olbrzymia tarcza poruszająca się z zawrotną szybkością. Przeleciawszy nad obozem, obiekt zmienił kierunek lotu z południowego na południowo-zachodni. Zniknął tak szybko, jak się pojawił na bezchmurnym błękitnie porannego nieba. Kilku członków ekspedycji przytomnie sięgnęło po lunety i dzięki temu mogło nawet rozpoznać kilka szczegółów latającej tarczy. Widzieli wyraźnie, że miała owalny kształt i lśniąca powierzchnię. Jedna strona odbijała słońce.⁴⁷

To, co Roerich zaobserwował wraz z pomocnikami, pozwala na wyciągnięcie wniosku, że „bogowie” z zamierzchłej przeszłości znów się pojawiają w kilku bardzo odległych miejscach na Ziemi, które niegdyś odwiedzali w swych latających obiektach. Albo są to inne istoty, które przybywając z głębin kosmosu odwiedzają naszą planetę.

Czy nasza cywilizacja, która szczyti się technologiami osiagającymi jakoby niezwykle stopień perfekcyjności, jest w stanie stwierdzić, co dzieje się na Ziemi? Wysoko rozwinięte elektroniczne systemy militarne nieraz dostarczały dowodu na to, że można je stosunkowo łatwo wyprowadzić w pole, i to do tego stopnia, że nie będą mogły spełniać swych podstawowych funkcji. Każdy kto oglądał film *Gry wojenne*, wie, co mam na myśli.

Demonstracja pozaziemskich technologii?

Istnieją oznaki, że nauka i technologia dawnych „bogów” dziś jeszcze obecne są w Tybecie. Włoski autor Peter Kolosimo, utrzymujący bardzo dobre kontakty z wieloma naukowcami byłego bloku wschodniego, opowiadał o delegacji uczonych radzieckich, którzy w roku 1959 odwiedzili kilkanaście klasztorów tybetańskich. W klasztorze Gnaden, sześćdziesiąt kilometrów na południe od Lhasy, spotkali oni starego mędrca, który dysponował rozległą wiedzą na temat astronomii i problemów podróży kosmicznych. Lama był święcie przekonany o istnieniu inteligentnych istot na innych planetach i sądził, że przy spełnieniu pewnych warunków byłby w stanie nawiązać z nimi wizualny kontakt. Do przeprowadzenia specjalnego eksperymentu wybrał dwu członków radzieckiej delegacji. Udzielił im wskazówek, jak prowadzić ćwiczenia poprawiające koncentrację, a także zalecił stosowanie specjalnej diety. Po kilku dniach zaprosił obydwu Rosjan do swojej celi. Tam zademonstrował im osobliwy instrument, który wydawał przytłumione dźwięki. Nagle w pomieszczeniu pojawiło się coś na kształt oblicza w chmurach. Wolno, bardzo wolno zjawa przybierała postać przypominającą człowieka. Stała prosto i bez ruchu. Przed nią zmaterializowało się coś w rodzaju ruchomego modelu naszego systemu planetarnego: Merkury, Wenus, Ziemia obracały się wokół jaśniejącego Słońca. Poza orbitą Plutona widoczna była dziesiąta planeta.⁴⁸ Jest oczywiste, że trzeźwi, materialistycznie nastawieni ludzie nauki nie byli w stanie dostarczyć jakiegokolwiek interpretacji tego niesłychanego fenomenu. Wtajemniczony starzec wzbraniał się uporczywie przed udzielaniem informacji, zwłaszcza na temat pochodzenia tego zjawiska.

Polityczne rozbieżności, które wkrótce potem dały znać o sobie w stosunkach chińsko-radzieckich, spowodowały raptowne zakończenie badań. Dlatego pozostanie dla nas zagadką, co stary lama pokazał obydwóm naukowcom. Czy chodziło tu tylko o złudzenie optyczne albo może o halucynacje spowodowane

narkotykami, które dodano do posiłków obydwu niczego nie przeczuwających Rosjan? Czy też była to bardzo plastyczna iluzja, rodzaj autosugestii, wywołana w jakiś sposób?

A może chodzi rzeczywiście o demonstrację istniejącego realnie urządzenia, które działa na zasadzie holografu? Może to jest przyrząd pozostawiony na Ziemi przez „bogów” z kosmosu, przez nieuwagę albo też, co uważam za bardziej prawdopodobne, jako prezent dla jakiegoś kapłana lub przywódcy plemiennego, który miał go przechowywać i otaczać czcią. Przechowywać aż do chwili, gdy zostanie rozpoznany jako znak istnienia kosmicznych „bogów”; gdy ludzkość wreszcie nauczy się widzieć to, na co patrzy.

VI

Tajemnice Mongolii — Klasztory grozy w krainie demonów

Alois Resch, wówczas dwudziestodwuletni żołnierz armii cesarsko-królewskiej wyruszający w sierpniu 1914 roku na pierwszą wojnę światową, z pewnością nie przeczuwał, jakie przygody go spotkają. Wojna nie będzie dlań zbyt długo trwała, ale los zaprowadzi go daleko od ojczyzny i całkowicie zmieni jego życie.

Już kilka dni po wcieleniu do armii odniósł ciężkie rany na froncie w Galicji. Został wzięty do niewoli przez wojska rosyjskie i jako jeńiec wywieziony do lazaretu w Woroneżu, mieście leżącym pięćset kilometrów na południe od Moskwy, na wschodnim brzegu Donu. Gdy już jako tako doszedł do siebie, wykorzystał dogodną okazję do ucieczki i zaszył się w mieście. Dzięki znajomości języka rosyjskiego znalazł pracę, ale jego droga wiodła na wschód, do miasta Kurgan położonego za Uralem na południowych krańcach syberyjskiej tajgi. Tam niezbyt długo cieszył się wolnością. Ponownie wzięty do niewoli, dostał się w grudniu 1916 roku do jenieckiego obozu koło Aczyńska, miasta położonego znacznie dalej na wschód, koło Krasnojarska. Stamtąd także udało mu się zbiec, wraz z pewnym jeńcem z Hamburga. Pomocy udzieliły zbiegom dwie Rosjanki, zaopatrując ich w żywność, kompas i mapy. Przez następne miesiące uciekinierom pomagali życzliwie usposobieni chłopci, którzy zawsze udzielali im schronienia przed tropiącymi ich żołnierzami.

W sierpniu 1917 roku ucieczka się zakończyła: Resch i jego hamburski towarzysz zostali schwytani i osadzeni w więzieniu niedaleko miasta Minusinska, w górnym biegu Jeniseju. Tutaj Resch poznał Rosjanina o nazwisku Kutuzow. Ten opowiadał mu podczas długich więziennych nocy o lamach i szamanach z niedalekiej Mongolii (granica mongolska oddalona była o blisko trzysta kilometrów), o mocach czarnoksiężskich, jakimi rozporządzają. Opowieści Rosjanina krążyły jednak przeważnie wokół pewnego klasztoru grozy, „klasztoru czarnego chana”. Wieści te rozbudziły w młodym Austriaku zainteresowanie tajemnicami Azji Środkowej.

Także ta trzecia niewola nie trwała zbyt długo, Kutuzow, Resch i jego niemiecki towarzysz zostali wkrótce wypuszczeni na wolność. Niemiec mógł powrócić do ojczyzny, Resch podjął pracę w Minusinsku i stracił na pewien czas Kutuzowa z oczu. Ten dopiero w maju 1918 roku dał znak życia: powiadomił Austriaka o możliwości objęcia przezeń stanowiska technicznego doradcy w organizowanej do Mongolii wyprawie; radził mu, by się zgłosił do kierownictwa ekspedycji w Abakanie, na drugim brzegu Jeniseju. I mimo że przyjaciele i znajomi zaklinali Rescha, by nie uczestniczył w tej podróży, on bez wahania wyraził zgodę, zafascynowany pełną tajemnic krainą.

Dwudziestego pierwszego maja 1918 roku zakończono przygotowania. Ponad dwadzieścia chłopskich wozów i czterdziestu mongolskich jeźdźców towarzyszyło Reschowi i Kutuzowowi, zamykającym główną grupę ekspedycji, składającą się z czterystu osób. Znacznie później Resch dowiedział się, iż Kutuzow był w rzeczywistości wysoko postawionym lamą, wtajemniczonym w obrzędy wschodnie, sympatyzującym z tajną sektą wschodnioazjatycką, która uprawiała kult węży.

W poszukiwaniu klasztoru czarnego chana

Jakiś czas później, pod nieobecność Kutuzowa, członkowie ekspedycji natknęli się w górach Ałtaju na prastare groby, które wysadzili w powietrze, rabując znaczne ilości złota. Mongołowie odjechali ze swoją częścią łupów, a Resch ponownie połączył się z oddziałem Kutuzowa. Pod jego przewodnictwem kontynuowano podróż, której celem było odnalezienie klasztoru czarnego chana.

Przez kilka dni nieliczna już garstka uczestników wyprawy błędziła w Wielkim Ałtaju, gdy wybuchła straszliwa burza piaskowa. Zapanowały ciemności przeszywane błyskawicami, a potężne bloki skalne odpadały ze stromych zboczy, strącając w przepaść juczne konie. Potem raptownie wyszło słońce. Mała karawana nie zrażając się niczym szła dalej drogą prowadzącą koło dzikich wąwozów, przez pustać pokrytą piaskiem i rojącą się od jadowitych węży. Pośród sprawiającego demoniczne wrażenie krajobrazu, w pobliżu małego jeziora, wznosiła się na skałach o fantastycznym kształcie potężna budowla: klasztor czarnego chana. Gdy za przybyszami zamknęły się ciężkie wrota, oddali broń i zostali dopuszczeni najpierw przed oblicze Cza-lamy, który stał na czele klasztoru. Później rozdzielono Kutuzowa i Austriaka. Mnich w żółtej czapeczce

prowadził Rescha przez labirynt krętych schodów i komnat aż do najgłębszych piwnic, gdzie zatrzymał się przed drzwiami celi.

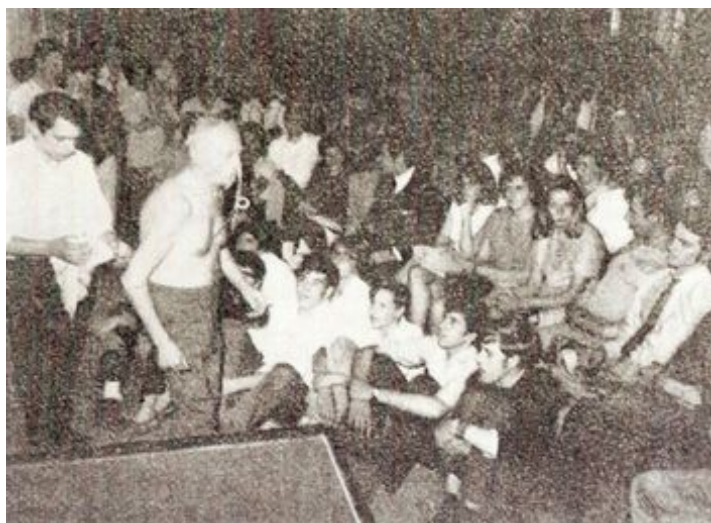
Przewodnik Rescha uderzył w gong, po czym drzwi się otworzyły i w chmurze piekącego dymu palonych trociczek wyszła postać odziana w lachmany, bardziej podobna do szkieletu niż człowieka. Mnich szturchnął kilka razy ordynarnie Rescha i wepchnął go do ponurego pomieszczenia przypominającego wnętrze jaskini. Gdy oczy Austriaka przywykły już do ciemności, rozpoznał wielki posąg Buddy. Raptownie nad posągiem pojawiła się jarząca fosforyzującym światłem czaszka ludzka, a do uszu Rescha dobiegł niesamowity syk. Wijąc się zbliżały się doń węże, a jeden wspinał się już nawet po jego nodze. Ogarnięty śmiertelnym strachem próbował jeszcze sięgnąć po ukryty rewolwer, ale broń wyślizgnęła mu się z bezsilnej dłoni. Paraliżowało go też, podobnie jak ślepiea okrążających go węży, skierowane nań spojrzenie odrażającego mnicha. Mnich poinformował Rescha o jego dalszym losie: nie będzie mógł aż do śmierci opuszczać klasztoru, bo został skazany na Czoed. Powinien poddać się próbie węży, czyli wyrokowi bogów. Następnie mnich wprowadził Rescha do innej, pustej i ponurej celi i — już po zamknięciu drzwi — wrzucił przez szczelinę siedem węży pomalowanych fosforyzującą farbą. Śmiertelnie groźne gady podpełzały coraz to bliżej, wspinały się po ciele więźnia i wślizgiwały mu się do rękawów. Jeden próbował wpełznąć do ust, dwa inne wwiercały się głowami w otwory nosa. Ich języki drażniły błonę śluzową nosa. Reschowi chciało się kichać. Po pewnym czasie, całkowicie wyczerpany oczekiwaniem w każdej sekundzie śmiertelnego ukąszenia, stracił przytomność.

Odzyskał zmysły dopiero, gdy otworzyły się drzwi straszliwej celi: opierał się całym ciałem o ścianę, a węże, zwinięte, spały spokojnie na środku pomieszczenia. Zdumiony mnich-nowicjusz, który właściwie liczył się z koniecznością usunięcia zwłok, wyprowadził ocalałego z celi.

Czoed

„Tu mieszka postrach wszystkich mnichów - powiedział nowicjusz — postrach wszystkich klasztorów od Kiachta po Urga, od Ulakom po Kowde, od Narabantu po Uljasutaj: tu panuje Czoed!” Resch, całkowicie zmieniony po tej straszliwej nocy, poświęcił się najrozmaitszym praktykom jogi, ćwiczeniom oddechu i technikom przygotowawczym, jakby go opętała chęć poznania straszliwego Czoed węzowego. Jest to niewyobrażalna dla nas, ludzi Zachodu, technika medytacji, polegająca na tym, że wykonujący ją wpuszcza węże przez nos do dróg oddechowych i wypuszcza je ustami. Nie dusi się przy tym, co zawdzięcza bardzo osobliwej technice oddychania, gdyż podrażnione zwierzęta niekiedy zamykają na godzinę drogi oddechowe, a układ łusek uniemożliwia wyjęcie ich ustami.

Dalszego ciągu historii można się łatwo domyślić. Świeżo upieczony lama Czoed z Austrii robił tak wielkie postępy, że w ciągu trzech miesięcy osiągnął trzy z ogólnej liczby dwunastu stopni wtajemniczenia. Przebywał przez kilka lat w klasztorze czarnego chana, aż pewnego dnia wypuszczono go na wolność i po długim czasie od zakończenia drugiej wojny światowej powrócił do swego rodzinnego miasta, Grazu.



16. Alois Resch, „lama uprawiający kult węży”, prezentuje zdumionym widzom okrutne praktyki Czoed

Tam zajmował się przede wszystkim działalnością artystyczną. Malował psychodeliczne obrazy, w których nawiązywał do koszmarnych przeżyć w klasztorze czarnego chana. I od czasu do czasu, już jako

osiemdziesięcioletni starzec, dawał się namówić na komercyjną prezentację swych praktyk kultu Czoed, posługując się przy tym żywymi węzami, przed publicznością pełną zdumienia i obrzydzenia. Pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych opublikował również parę prac na ten temat.⁴⁹

Ta cała opowieść brzmi tak zdumiewająco, że trudno byłoby w nią uwierzyć, gdyby nie istniało kilka fotografii przedstawiających lamę kultu Czoed z Grazu.



17. Oblęd czy fałszywe postrzeganie technologii: czy mnisi w dawnej Mongolii widzieli węże w aparaturze bogów przybyłych z nieba?

Oblęd czy mylna interpretacja zjawisk technicznych?

Jaki głębszy sens ma kult Czoed, jakie jest źródło tej niezbyt sympatycznej magii? U nas na Zachodzie niewiele wiadomo na ten temat, jedynie kilku nielicznych znawców Azji Środkowej jest w stanie udzielić informacji.

Zdaniem badaczki Tybetu Aleksandry David-Néel, która długo mieszkała w Azji, kult Czoed ma wiele wspólnego z techniką wyzbywania się przez człowieka lęku. Mircea Eliade, badacz wierzeń religijnych, opowiada o lamie Padma Rigdzin, który miał zainicjować te praktyki w Tybecie przed dwustu laty.⁵¹ Właściwe początki kultu Czoed, zwłaszcza uprawianego w Mongolii, okryte są jednak mrokami tajemnicy.

Jakie były jego korzenie? Co zachęcało mnichów i szamanów do stosowania napawających taką grozą praktyk? Może widzieli kiedyś istoty z rurami wystającymi z nosów? Czy je imitowali za pomocą praktyk określanych dziś jako kult Czoed? W naszym stuleciu znamy cały szereg tzw. kultów cargo, których istota zasadza się na imitowaniu realnych wzorców.⁵² Jeśli weźmiemy pod uwagę, że azjatyckim ludom w przeszłości brakowało wiedzy technicznej, wówczas nietrudno będzie wyobrazić sobie, w jaki sposób przewody oddechowe mogły stać się dla nich węzami.

Podobieństwa z Ganeśą

Opisy i wyobrażenia istot z „węzami” i „trąbami”, które bez zbytniego wysiłku wyobraźni możemy zinterpretować jako postacie z aparatami oddechowymi, istnieją w wielu miejscach świata. Obraz pochodzącego z Grazu lamy kultu Czoed z ulubionymi zwierzętami wpełzającymi do nosa przypomina mi wyobrażenia ludu Kappa — pramieszkańców Japonii. Albo jedną z mitycznych postaci tego regionu, „syna bożego” Ganeśa.

Ganeśa, syn najwyższego hinduskiego boga Siwy, jest obok niego najpopularniejszym bogiem tej religii. Oddaje mu się cześć od Indii po Tybet i Chiny, od Indonezji przez Tajlandię po Japonię. Nosi przydomek „ten, który pokonuje przeszkody”, a jego najbardziej rzucającym się w oczy atrybutem na

wizerunkach i rzeźbach jest trąba. W niektórych wersjach łatwiej daje się ją zinterpretować jako przewód powietrzny niż jako trąbę słonia.

Tak więc japońscy Kappa, legendarny Ganeśa, „który pokonuje przeszkody”, i „przewycięzający lęk i strach” lama kultu Czoed wyobrażają być może jedno i to samo zjawisko. Chodzi tu może o konfrontację pramieszkańców Azji Wschodniej z kosmicznymi przybyszami. Jako trąba lub wąż zjawisko to nie ma zbyt wiele sensu, daje się jednak łatwo zinterpretować jako przewód doprowadzający powietrze do aparatu oddechowego. Podobnie jak dziś jest koniecznym elementem wyposażenia nurków, pilotów odrzutowców i astronautów.



18. Także popularne bóstwo hinduskie, Ganeśa, ma na twarzy coś w kształcie trąby. Czy jest to aparatura oddechowa z pradawnych czasów?



19. W średniowiecznej Japonii postrach budzili Kappowie, wyposażeni w węże do oddychania, prowadzące do zbiornika znajdującego się na plecach

W klasztorze Tuerin

Nie mniej niezwykłych odkryć dokonał w roku 1920 inny podróżnik, którego los zagnał do podobnego klasztoru w Mongolii, gdzie działy się równie straszliwe sprawy. Jedynie szczęśliwemu zrządzeniu losu zawdzięczamy fakt, że poniższa relacja w ogóle do nas dotarła, gdyż człowiek, który był uczestnikiem tych zdarzeń, zniknął bez śladu. Zanim jednak to się stało, zdążył opowiedzieć swe pełne grozy przeżycia pewnemu rodakowi, który po powrocie do USA opublikował ją w czasopiśmie „Adventure”.

Amerykański łowca przygód John Spencer uprawiał w Chinach po pierwszej wojnie światowej

zakazany handel bronią i narkotykami. Z powodu ciemnych interesów z dnia na dzień musiał zrezygnować z prowadzenia swej działalności w Mandżurii. Ruszył pieszo w drogę do Mongolii. Trudy morderczego marszu okazały się dla niego zbyt wielkie, załamał się wyczerpany i wymęczony głodem, gorączką i niewygodami. Miał jednak niewiarygodne szczęście. Półżywego Spencera znaleźli wędrowni mnisi buddyjscy i zanieśli do lamaickiego klasztoru w Tuerin, gdzie się nim zaopiekowano. Mimo wyczerpania szybko powrócił do zdrowia. W tym samym czasie mnisi opiekowali się innym jeszcze gościem ze Stanów Zjednoczonych. Amerykański kupiec William Thompson, który już od dłuższego czasu przebywał w klasztorze, uchodził za znawcę dalekowschodnich wierzeń. Podczas pierwszego spotkania z powracającym do sił Spencerem z entuzjazmem opowiedział mu o klasztorze. Łowca przygód zaczął z olbrzymim zainteresowaniem badać całe otoczenie i żadna moc nie była w stanie go powstrzymać.

Rankiem któregoś dnia Spencer natknął się w pobliżu klasztoru na zwietrzałe stopnie skalne, które prowadziły w dół do metalowych drzwi. Obdarzony przez naturę nieposkromioną ciekawością, otworzył drzwi i niespodziewanie znalazł się w pomieszczeniu, które miało dwanaście lub trzynaście ścian. Widniały na nich rysunki przedstawiające prawdopodobnie gwiazdozbiory; jeden Spencer zdołał zidentyfikować: był to gwiazdozbiór Byka. Taki sam gwiazdozbiór Spencer miał wygrawerowany na talizmanie, który zawsze nosił przy sobie.

Pogrążony w rozmyślaniach wodził palcem po wizerunkach gwiazd. Gdy dotarł do końca jednej z linii, gdzie wyobrazone były Plejady (co później zrekonstruował William Thompson, któremu zawdzięczamy tę relację), ściana się cofnęła i bezgłośnie zaczęła się otwierać. Odsłoniła wejście do pogrążonego w ciemnościach korytarza. Spencer zawahał się przez moment, ale po chwili ciekawość wzięła w nim górę. Gdy po omacku uczynił kilka kroków, spostrzegł słaby zielonkawy blask, zdający się dobiegać z dali. Zanim podążył jego śladem, zastawił otwartą ścianę potężnym kamieniem, by w drodze powrotnej nic przeżyć jakiejś przykrej niespodzianki.

Nie od razu zdołał dotrzeć do źródła tego osobliwego zielonkawego światła. Nagle wydało mu się, że jest nigdzie i wszędzie. Posuwał się wąską, ale solidnie zbudowaną sztolnią, aż dotarł do rozwidlenia. Trzymał się cały czas prawej strony, aby nie zbłądzić. Nieświadomie wybrał drogę uprzednio zarysowaną przez kształt gwiazdozbioru uwidoczny na rysunku u wejścia do tunelu. Wreszcie dotarł do końca sztolni. Rozciągała się przed nim obszerna komnata, w której zielone światło lśniło jaskrawiej i mocniej. Było tak intensywne, że bez trudu rozpoznał, iż wzdłuż jednej ze ścian ustawiono w szeregu dwadzieścia pięć lub trzydzieści skrzyń. Spencer odniósł wrażenie, jakby skrzynie te unosiły się na stopę lub dwie (około pół metra) nad ziemią, nie potrafił sobie jednali wyjaśnić tego zjawiska. Idąc za głosem swych złodziejskich skłonności, odmalowywał w wyobraźni bogate skarby, które zabierze pochowanym tutaj ludziom. Niezwłocznie wziął się do dzieła i nie bez satysfakcji stwierdził, że wieko każdej z trumien daje się bez trudu otworzyć. W pierwszych trzech skrzyniach znalazł ciała mnichów, noszących takie same szaty jak ci, którzy go odnaleźli i zanieśli do klasztoru. W czwartej leżała kobieta w męskim ubraniu, w następnej Hindus w płaszczu z czerwonego jedwabiu. Ciała nie nosiły jakichkolwiek śladów rozkładu, były jedynie coraz starsze — tym starsze, im bliższe tylnej ściany komnaty. Ale żadna trumna nie zawierała tak upragnionych przez awanturnika skarbów i bogactw!

Martwy kosmita?

Spencer nie zamierzał szybko zrezygnować, przeszukiwał więc sarkofag za sarkofagiem. W trzeciej od końca trumnie leżały owinięte w białe płótno nienaruszone zwłoki jakiegoś mężczyzny, w przedostatniej — kobiety; ich pochodzenia nie potrafił określić. Gdy podniósł wieko ostatniej trumny, nie uwierzył własnym oczom. Zobaczył małą postać, której odzienie wydawało srebrzysty blask. Głowę stanowiła wielka, srebrna kula, z otworami w miejscu oczu i z małą, owalną wypukłością zamiast nosa. Osobliwe stworzenie nie miało ust. Gdy Spencer już chciał dotknąć ciała, otworzyły się raptownie wielkie okrągłe oczy, tryskając jaskrawym oślepiającym światłem. Bezgraniczne przerażenie ogarnęło poszukiwacza przygód, opuścił wieko trumny i z krzykiem wybiegł z komnaty. Na szczęście szybko przypomniał sobie drogę powrotną. W przeciwnym wypadku mógłby ogarnięty paniką zbłądzić i już nigdy nie odnaleźć wyjścia. Powrót trwał znacznie dłużej niż dotarcie do podziemnej komnaty. Gdy wreszcie przerażony Spencer wydobył się z labiryntu, była już noc.

Powróciwszy do klasztoru, opowiedział o swych przeżyciach Williamowi Thompsonowi, nie mogąc wyjść ze zdumienia, że tak wiele godzin spędził w labiryncie. Wedle własnego poczucia czasu był tam najwyżej dwie lub trzy godziny. Thompson wpadł w gniew z powodu samowoli Spencera, zarzucił mu nadużycie świętej w tych murach gościnności i wszystko opowiedział mnichom.

Następnego ranka wielki lama wezwał do siebie awanturnika; podczas rozmowy uśmiechał się dobrotliwie i traktował swego gościa nadzwyczaj uprzejmie. Próbował go przekonać, że wszystko, co widział, było jedynie sugestią; to gorączka malowała przed nim obrazy nie istniejące w rzeczywistości.

Ponieważ Spencer nie dawał się przekonać, lama zszedł z nim po zwietrzałych schodach do wielokątnego pomieszczenia. Dotknął ściany, po czym ukazało się wejście do tunelu, i obydwaj już po kilku minutach dotarli do komnaty, ale o znacznie mniejszych rozmiarach, gdzie znajdowała się podobna do ołtarza konsola. Na niej stały miniatury trumien, które Spencer widział poprzedniego dnia. Także znajdujące się w nich figurki odpowiadały zwłokom spoczywającym w dużych trumnach.

John Spencer uświadomił sobie, że lama próbuje podać w wątpliwość jego przeżycia, dlatego nie odważył się otwarcie zaprzeczyć jego wyjaśnieniom. A gdy mimo wszystko wydusił z siebie pytanie o srebrzystą postać z wielką głową, otrzymał odpowiedź, że jest to „wielki mistrz, który przybył z gwiazd”.

Powróciwszy z powtórnych odwiedzin miejsc kultu, Spencer powiedział swemu rodakowi, że ani przez chwilę nie wątpi w prawdziwość tego, co uprzednio widział. Podczas pierwszego pobytu w labiryncie zgubił obcas i pokaleczył sobie ręce, gdy ciemnym korytarzem szedł w stronę zielonkawego światła.

„Czułem w rękach materiał, w który odziane były zwłoki, widziałem ich żyły i zmarszczki. Płyta, którą przypadkiem otworzyłem, znajdowała się z lewej strony drzwi wejściowych, ta natomiast, którą otworzył lama, leżała niemal dokładnie naprzeciw drzwi wejściowych, nieco bardziej na prawo. Mnich starał się, by jego wyjaśnienia były przekonujące, ale pokazał mi jedynie miniaturową kopię tego, co widziałem w rzeczywistości.”⁴

Kilka dni później John Spencer opuścił klasztor i zniknął bez śladu. Nikt o nim już więcej nie słyszał. William Thompson, człowiek, któremu wcześniej zwierzył się ze swych przeżyć, jakby przeczuwając swój los, opublikował po powrocie do Stanów Zjednoczonych całą tę historię w czasopiśmie „Adventure”. Nie taił przy tym swego przekonania, iż opowieść wątpliwej konduity łowcy przygód odpowiada prawdzie. Podczas wielomiesięcznego pobytu w Chinach i Mongolii niejednokrotnie miał okazję oglądać zwłoki, które przez stulecia, jeśli nie nawet tysiąclecia, trwały w stanie nienaruszonym. A do tego słyszał niejednokrotnie owe osobliwe historie o tajemniczych „srebrnych ludzikach”, które z gwiazd zstąpiły na Ziemię.

Ta opowieść brzmi fantastycznie. Niemniej jednak zawiera kilka aspektów, które warto poddać dalszym dyskusjom i które rozpatrywane kompleksowo znakomicie podbudują prawdziwość całej historii.

A więc na przykład mowa jest tam o Plejadach. Ta mgławica, nazwana tak na cześć córek Atlasa, istniejąca w gwiazdozbiornie Byka, składa się z około dwustu trzydziestu gwiazd. Siedem z nich można dostrzec gołym okiem. (Stąd w języku niemieckim nosi także nazwę *Siebengestirn* — konstelacja siedmiu gwiazd.)

Ta konstelacja, oddalona od Ziemi około czterystu lat świetlnych, odgrywała istotną rolę w mitologii chińskiej. Hsin-Chin, matka legendarnego cesarza Yü, spostrzegła pewnego dnia osobliwe zjawisko na niebie: jaśniejącą gwiazdę, która poruszała się przez konstelację Plejad.³ Ale nie tylko w przekazach rasy żółtej istnieją wzmianki o Plejadach. W *Popol Vuh*, micie o stworzeniu świata opowiadanej przez Indian Maja-Kicze, istnieje przekaz, że czterystu „boskich młodzieńców” po sporach i walkach z mieszkańcami Ziemi powróciło do swej ojczyzny. Znajdowała się ona w gwiazdozbiornie Plejad. Stamtąd mieli też pochodzić bogowie epoki przedinkaskiej.⁸ Sumerowie, którzy wysoko rozwinęli astronomię, także znali Plejady.

Tajemnica ojca LePaige

W innych częściach świata również istnieją opowieści o zmarłych, którzy znaleźli miejsce ostatniego spoczynku na naszej planecie. Erich von Däniken pisze o zmarłym młodo belgijskim misjonarzu Gustavo LePaige, który był przekonany, że podczas prowadzonych w ciągu dwudziestu lat wykopalisk na krańcach pustyni Atacama na północy Chile odkrył prastare groby, gdzie pochowano istoty pozaziemskie. Wynioskował to z rysów twarzy niektórych mumii, niepodobnych do żadnych znanych mieszkańców Ziemi. Poza tym znalazł w grobach drewnianą figurkę, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dar pośmiertny, której kształt głowy przypominał hełm astronauty.⁵⁴

Czy nie są to ślady istot przybyłych z nieba, na które trafił też w Mongolii, przynajmniej wedle własnego mniemania, łowca przygód John Spencer?

Już wydawało się, że ojciec LePaige zabierze swą tajemnicę do grobu, gdyby nie muzeum w San Pedro de Atacama, które — ze względu na wielki szacunek, jakim otaczano misjonarza — nazwano jego imieniem. Owo „Museo Arqueológico R. P. Gustavo LePaige” jest jedynym godnym uwagi obiektem w liczącym dwa i pół tysiąca mieszkańców miasteczku, położonym na północnym brzegu największego w Chile słonego

jeziora, pośród gorących skał pustyni Atacama.

Warto pokonać nawet wielką odległość, by zwiedzić to muzeum, zachwycające wieloma interesującymi okazami, dobrym układem ekspozycji i najbogatszym na świecie zbiorem czaszek. Są to eksponaty świadczące o istniejącym w tych okolicach zwyczaju deformowania czaszek. W jednej z gablot niepozornie spoczywa obok wielu innych opisana wyżej figurka z drewna. Rzeczywiście przypomina swym kształtem hełm astronauty osadzony na korpusie o cylindrycznych kształtach. Całość jakby tkwiła w jakiejś osłonie. O wieku figurki świadczy fakt, że składa się ona ze skamieniałego z biegiem lat drewna.



20. Tę figurkę z elementami przypominającymi skafander astronauty odnaleziono w prastarym grobie na skraju pustyni Atacama. Ekspонат z „Museo Arqueologico G. LePaige” w San Pedro de Atacama w Chile

Co się stało ze znaleziskami?

Tak więc informacje ojca LePaige można było zweryfikować. A jeśli chodzi o pozaziemskie istoty, na które *padre* natknął się podczas swych wykopaliśk, to są one dowodem, że kontynuowanie poszukiwań mogłoby się okazać nadzwyczaj owocne. Dalszy los znalezisk nie z tego świata, dokonanych przez ojca, mógłby wyglądać następująco:

1. Odnalezione przedmioty albo uległy konfiskacie przez władze, albo też zostały ukryte w jakimś niedostępnym miejscu.

2. Najbardziej prawdopodobne jest jednak, że *padre* LePaige krótko przed śmiercią osobiście zatroszczył się o to, by o znaleziskach zbyt szybko nie dowiedziała się opinia publiczna, przeczuwał bowiem, że nie nastał jeszcze czas na publikowanie tego rodzaju wiadomości. Raz jeden poczynił następującą aluzję: „Nikt mi nie uwierzy, gdybym opowiedział o tym, co odnalazłem w grobach. Nie chcę o tym mówić, by nie niepokoić świata.”

Ale wróćmy do przeżyć Johna Spencera w Mongolii. Najbardziej niesłychany aspekt opisanej przygody ujawni się wówczas, gdy porównamy ją z nowoczesnymi oznakami obecności UFO, o których tak często się mówi w ostatnich czasach.

Zbieżność z dzisiejszymi uprowadzeniami

Mowa tu o spektakularnych wypadkach uprowadzeń, określanymi jako *abductions* albo „niezwykle spotkania czwartego stopnia”. Nie chodzi tu tylko o bliskie obserwacje pasażerów tych dziwnych pojazdów latających, lecz o bezpośrednią interwencję kosmitów w życie mieszkańców naszej planety. Często mówi się w związku z tym o eksperymentach medycznych albo o prawdziwych operacjach chirurgicznych. Zarówno osoby poddane działaniu tych eksperymentów, jak na przykład Whitley Strieber, jak i badacze tej

problematyki, na przykład Budd Hopkins, wspominają o zagubionym czasie (*missing time*). Znaczący to, że u ofiar tych uprowadzeń pojawiają się amnezyczne luki pamięci. Brakuje pewnego odcinka w ich wspomnieniach, „urywa im się film”, który można najczęściej odtworzyć rekonstruując pamięć za pomocą hipnozy.^{56, 57}

Przeżycia Johna Spencera w komnacie z trumnami wykazują wiele podobieństw ze współczesnymi rodzajami kontaktów z UFO, które uchodzą dziś za najbardziej spektakularne. Wedle własnego poczucia czasu Spencer przebywał w labiryncie jedynie kilka godzin, a więc już wczesnym przedpołudniem powinien był zobaczyć światło słoneczne. Tymczasem gdy wyszedł, panowała ciemna noc, a on sam nie miał pojęcia, co wydarzyło w ciągu tak wielu godzin.

Czyżby zatem nie tylko się natknął na martwego przedstawiciela cywilizacji, której członkowie odwiedzali naszą ziemię w mrokach pradziejów? Czy padł ofiarą halucynacji, czy też rzekome zwłoki rzeczywiście otworzyły oczy? Co przytrafiło mu się w komnacie, dlaczego kilka dni później zniknął na zawsze z powierzchni ziemi?

Być może tego rodzaju relacji, czy to o charakterze mitologicznym, czy też pochodzących z naszej współczesności, nie należy „wkładać między bajki”, lecz raczej zająć się nimi bez uprzedzeń. Owe zjawiska *missing time* nie są wszak czymś nowym. W wielu mitologiach kronikarze uprowadzeni przez bogów opowiadają o nie wyjaśnionych lukach w ciągłości czasu. Również w folklorze, w świecie legend i mitów, roi się od podobnych zdarzeń mających przypuszczalnie swe źródło w czymś, co zaszło przed wiekami, by następnie znaleźć wyraz w formach bliskich wyobraźni ludzi danej epoki.

Mamy więc do czynienia jakby z cięciwą łuku łączącą podobne wydarzenia z najwcześniejszej przeszłości i z najbliższych nam dni. Bohaterami są zawsze te same istoty: „bogowie” z głębin kosmosu.

VII

Państwo wyspiarskie boskiego pochodzenia Gdzie statuetki Dogu i Kappowie przypominają przybyszów z kosmosu

Wydaje się, że obok Chin także Japonia — kraj, który bardzo długo przeciwstawiał się jakimkolwiek próbom ingerencji z zewnątrz — stanowi dziś niewyczerpane źródło preastronautycznych informacji. Mamy tu do czynienia zarówno z mitami, jak i ze sprawdzonymi faktami, które wskazują na odwiedziny pozaziemskich istot rozumnych, i to nie tylko w zamierzchłej przeszłości, ale również w epokach nam bliższych, nawet jeśli pominąć współczesne spotkania z UFO.

Być może właśnie ta zdecydowana i konsekwentnie realizowana postawa izolacji wobec obcych wpływów przyczyniła się do tego, że Japonia może w tym względzie zaoferować bardzo wiele. Wedle japońskich przekazów sami bogowie w czasach historycznych zmuszali do ucieczki najeźdźców falami i burzą, uniemożliwiając w ten sposób próby dokonania inwazji. W trzynastym wieku zdarzyło się to dwukrotnie, gdy okręty armii mongolskich chwyciły Japonię w kleszcze: od strony Chin i Korei. Wojskom inwazyjnym udało się za każdym razem dotrzeć na wyspy, ale ich okręty zostały rozbite i zatopione przez *kami-kadze* — „boski wiatr”.

W roku 1274 chan Kubilaj, wnuk wstawionego okrucieństwami Czyngis-chana, wysłał potężne wojska na podbój Azji Środkowej i Wschodniej. Część tych wojsk, którym nie mogła stawić czoła żadna armia — z powodu ich liczebności, wyszkolenia i dyscypliny — wylądowała w zatoce Hakozaki, na wschodnim wybrzeżu japońskiej wyspy Kiusiu. Podczas bitwy, która wkrótce rozgorzała, udało się Japończykom utrzymać swe pozycje. Kiedy Mongołowie formowali swoje wojska do kolejnego ataku, wybuchła straszliwa burza i zatopiła setki ich okrętów. Resztki z półżywymi załogami zepchnęła na pełne morze, ku wybrzeżom Korei.

Po sześciu latach Mongołowie, nawykli wszak do zwycięstw, zaryzykowali powtórny atak. Tym razem najeźdźcom udało się dotrzeć w głąb lądu, gdzie początkowo sprzyjało im szczęście. Ale po dwumiesięcznych wyczerpujących walkach Japończycy stopniowo zdobyli przewagę. Udało im się wyprzeć napastników na wybrzeża Kiusiu. Po raz drugi *kami-kadze* rzucił się z rykiem i hukiem na flotę mongolskich wojsk inwazyjnych, zniszczył okręty i zatopił ich załogi. Garstkę Mongołów, którzy nie utonęli na zalanym wodą polu bitwy, obrońcy bezlitośnie wycięli w pień. Tak więc w końcu żaden z żołnierzy tej potężnej niegdyś armii nie powrócił do Chin, gdzie w Tai-tu (jak wówczas nazywano Beijing) znajdował się dwór Kubilaj-chana. On sam zrezygnował, co zrozumiałe, z trzeciej próby podbicia wyspiarskiego państwa.³⁷

Te obydwa zwycięstwa — wszystko jedno, czy odniesione z pomocą bogów, czy bez niej — znacznie podbudowały dumę mieszkańców Japonii. Wielkie obszary historii Kraju Wschodzącego Słońca pogrążone są w mroku. Historycy przypuszczają, że jedno z wojowniczych plemion, pochodzące z południowych krańców wyspy Kiusiu, dokonało podboju całego kraju w toku trwających setki lat wojen z autochtoniczną praludnością. Pramieszkańcy, szczerp noszący nazwę Ajnów, zostali brutalnie zdziesiątkowani. Tylko nieliczne ich grupki żyją na północy drugiej pod względem wielkości wyspy japońskiej, Hokkaido. Będziemy o nich mówić nieco obszerniej, gdyż także ich przeszłość stanowi nieprzerwane pasmo zagadek i tajemnic.

Powitanie latających kul

Na Hokkaido odkryto w grobach jaskiniowych kilka interesujących rysunków, których wiek datuje się na blisko dwa tysiące lat przed Chrystusem. Jeden z nich przedstawia postać z licznymi ozdobami na głowie — najwidoczniej jakiegoś plemiennego wodza lub króla. Podniesionymi rękoma wita on siedem okrągłych kul, które zdają się szybować wysoko na niebie.

Na tyle samo lat szacuje się wiek drugiego rysunku, który również odnaleziono na Hokkaido w jednej z nisz grobowych. W rzędzie stoi obok siebie sześć postaci: cztery z nich trzymają się za ręce, podczas gdy dwie pozostałe, najwyraźniej wzburzone, wskazują wyciągniętymi rękami na niebo. Nad nimi wyobrażono stylizowaną spiralę. Znaczenie tego obrazu nie jest jasne. Pojawily się przypuszczenia, iż chodzi tu być może o wyczekiwanie na latające pojazdy bogów, które, poruszając się po spiralnej linii, podchodzą do lądowania

na ziemi.³⁹

W każdej epoce mieszkańcy wysp japońskich szczególnie interesowali się tajemniczymi zjawiskami świetlnymi i osobliwymi obiektami pojawiającymi się na niebie. Nierzadko takie zjawiska mogły — podobnie jak w dawnych Chinach — przyczynić się do powstania mitów o smokach. Istnieją niezliczone przekazy, aluzyjnie wspominające obecność inteligentnych istot pozaziemskich. Dawne japońskie legendy pełne są latających potworów, miękko lądujących na ziemi „gwiazd” i osobliwych postaci, które wyszły ze „smoczego brzucha”. Powinniśmy jednak strzec się traktowania tych opowieści jako produktów wybujałej fantazji dawnych Japończyków lub w najlepszym wypadku jako mylnych interpretacji znanych zjawisk naturalnych. Ostatecznie Japończycy jak żaden inny naród już od stuleci przywykli do tego, by obserwować i znosić trzęsienia ziemi, tajfuny i powodzie. Opisy tych wydarzeń dają się łatwo jako takie rozpoznać. Dlatego powinniśmy bardziej nadstawiać uszu, gdy w dawnych przekazach mowa jest o istotach, pojazdach lub zdarzeniach, których nie moglibyśmy na pierwszy rzut oka zinterpretować w sposób naturalny. Nierzadko pozwalają one na wyciąganie fantastycznych wniosków.

Za najstarszy zachowany do dziś przekaz japoński uchodzi *Kojiki*, „Zapisy spraw dawnych”. Dopiero bardzo późno, mianowicie w roku 712, kronika ta została spisana przez cesarskiego urzędnika Hiyeda-no-are; do tego czasu przez stulecia, jeśli nie tysiące lat — przekazywali ją ustnie wędrowni śpiewacy i opowiadacze. Jej korzenie sięgają pradawnych czasów. Nieco później, bo w roku 720, zbiór został przerobiony przez księcia Toneri i spisany w klasycznej chińszczyźnie. Książę nadał kronice tytuł *Nihongi*. Zadeedykował dzieło cesarzowej, pragnąc za jego pomocą przedstawić jej pochodzenie od bogini słońca Amaterasu.

Starojapoński zbiór opowieści mitologicznych *Kojiki* jest drzewem genealogicznym dynastii władców, świadectwem ich pochodzenia od bogów przybyłych z nieba. Bogini słońca Amaterasu („Ta, która wzniosła świeci z nieba”) wysłała swego wnuka, Ninigi-No-Mikoto, na ziemię, by władał wyspami japońskimi. Wylądował na górze w zachodniej części wyspy Kiusiu, przynosząc ze sobą trzy rekwizyty, które od tamtego czasu otaczane są czcią jako klejnoty państwowe japońskiego domu cesarskiego: metalowe zwierciadło, sznur klejnotów i miecz. Wszystkie te przedmioty istnieją jeszcze dziś. Na przykład baśniowe zwierciadło z metalu przechowywane jest we wnętrzu shintoistycznej świątyni Ise na wyspie Honsiu.⁵⁸ Ise jest najważniejszym sanktuarium wyznawców shinto w Japonii. Oddają oni cześć świętej relikwii — otulona na kształt mumii spoczywa w skrzyni i nikt ze śmiertelnych jej jeszcze nie ujrzał — z równie wielką żarliwością, jak muzułmanie swemu Czarnemu Kamieniowi w Kaabie (w mieście Mekka). Co skrywa się naprawdę pod niezliczonymi warstwami tkanin? Co zawiera ten czarodziejski woreczek?

Bogowie na orbicie okołoziemskiej

Zanim Ninigi, wnuk bogini Amaterasu, zstąpił na ziemię, powiedziano mu, że na skrzyżowaniu niebiańskich dróg stoi osobliwe bóstwo. Jego nos jest długi na siedem piędzi, usta zaś promieniują mieniącym się światłem. Bogini Uzumehime zbliżyła się do obcego, który przedstawił się imieniem Sarute-Hiko i objawił jej, że także chciałby osiąść w Japonii. A przy tym zaoferował jej „latający most” lub „niebiański statek ciągnięty przez ptaki”.⁴

Czyż ten przekaz nie zachęca, by go przełożyć na język nowoczesnych realiów? Wszak popuszczenie od czasu do czasu wodzy fantazji może sprawiać niezwykłą przyjemność. Ninigi-No-Mikoto odbywał wraz ze swą załogą lot ku ziemi, zamierzając wylądować na wyspach japońskich. Gdy zgodnie z planem zbliżał się do orbity okołoziemskiej, instrumenty zgłosiły obecność innego obiektu, który odbywał lot orbitalny wokół planety. Ten drugi statek szybko pojawił się w polu widzenia i można było łatwo ustalić szczegóły. Długa, sięgająca daleko w przestrzeń kosmiczną antena umożliwiała załodze obcego obiektu zbieranie informacji na temat tego, co się dzieje zarówno na powierzchni ziemi, jak i w przestrzeni tuż nad nią. Kilka wypustek na końcach anteny było albo jasno oświetlonych, albo też odbijało światło słoneczne. Jedna z członkiń załogi Ninigi-No-Mikoto nawiązała kontakt ze stacją krążącą po orbicie. Odpowiedź przyszła natychmiast drogą radiową. Gdy zyskano pewność, że załogi obydwu statków podążają do tego samego celu, drugi zespół zaproponował Ninigi-No-Mikoto wspólne wykorzystanie promu kosmicznego. Dopiero przekaz prastarych mitów na współczesny język umożliwia ich zrozumienie!

Wnukiem wspomnianego Ninigi-No-Mikoto był Jimmu Tenno. Był pierwszym władcą Japonii, noszącym tytuł *tenno*, i wstąpił na tron w roku 660 przed Chrystusem. Odtąd wszyscy cesarze japońscy, aż do dzisiejszego dnia, noszą tytuł *tenno*, który oznacza tyle co „boski władca” i ma przypominać o boskich początkach dynastii cesarskiej.

Doświadczenie przesunięcia czasu

Mitologia Japonii zawiera opis wielu innych fantastycznych zdarzeń. Kroniki *Nihongi* opowiadają o tym, jak cesarz Kami-Yamato-Iharo-Biko rozmawiał w roku 667 przed Chrystusem ze swymi niebiańskimi przodkami, którzy na pokładzie świetlistego statku powrócili do swych domostw. Równocześnie przenieśli się w przeszłość, i to o 1792470 lat.⁴

Zbiór legend *Tango-Fudoki* zawiera wzruszającą historię miłosną, w której występują nawet elementy Einsteińskiej teorii efektu przesunięcia czasu (dylacji czasu). We wsi Tsutsukaba w okręgu Yosa żył niegdyś pewien człowiek, którego nazywano Wyspiarskie Dziecię. Pewnego dnia wypłynął samotnie w morze, by łowić ryby. Wówczas niespodziewaną wizytę złożyła mu piękna dziewczyna. Zaproponowała ogarniętemu zdumieniem Wyspiarskiemu Dziecięciu, żeby wstąpili do nieba, gdzie będą razem mieszkać. Mężczyzna zakochał się w dziewczynie i dał posłuch jej naleganiom.

Po drodze do stron ojczystych dziewczyny minęli gwiazdozbiory Plejad i Hiad. W opowieści określone zostały one mianem „siedmiu chłopców” i „ośmiu chłopców”. Przybywszy do niebiańskiej rezydencji Wyspiarskie Dziecię poślubił dziewczynę i od tego czasu żył z nią szczęśliwie.

Minęły trzy lata. Wyspiarskie Dziecię ogarnęła nieukożona tęsknota ze ziemską ojczyzną. Długo i gorąco prosił, by umożliwiono mu powrót choć na krótki czas. Jego życzenie spełniono i zawieziono go z powrotem na ziemię. Gdy już tam przybył, wieś i jej mieszkańcy wydali mu się całkowicie obcy. Spytał jakiegoś przypadkowo napotkanego człowieka o własną rodzinę. Wieśniak ze zdumieniem odpowiedział, że człowiek o imieniu Wyspiarskie Dziecię przed trzystu laty wypłynął w morze i nigdy nie powrócił.⁵⁸

Czy Wyspiarskie Dziecię doświadczył podczas międzygwiazdnej podróży dylacji czasu, która sprawiła, że czas biegł dlań o wiele wolniej niż dla krewnych, którzy pozostali na ziemi? Można byłoby mniemać, że mieszkańcy Nipponu, tak często obcujący z bogami, mieli szczególne zamiłowania do podróży kosmicznych, wraz ze wszystkimi ich skutkami w formie zakłóceń przebiegów czasowych. Poruszając ten aspekt, nie mogę nie wspomnieć o starej legendzie z antologii *Nippon Mukasi Banasi*. Zawiera ona opowieść o pewnym człowieku, który jako młodzieniec powrócił do swej ojczyzny po odbyciu podróży do nieba. Nie zastał już przy życiu nikogo z członków swej rodziny: wszyscy umarli przed wieloma laty!⁴

Cóż za zdumiewająca sprawa! Przecież dopiero Albert Einstein (1879-1955) opisał w swej szczegółowej teorii względności, sformułowanej w roku 1905, jakie skutki miałyby dla pasażerów podróż kosmiczna w statku poruszającym się z szybkością bliską prędkości światła ($c = 300000$ km/sek). Czas płynąłby dla astronautów znacznie wolniej niż dla ludzi żyjących na ziemi. I to o tyle wolniej, im dłużej trwałaby wyprawa międzygwiazdna. Unaocznili to poniższe zestawienie:

10 lat w statku kosmicznym	25 lat na ziemi
15 lat w statku kosmicznym	80 lat na ziemi
20 lat w statku kosmicznym	270 lat na ziemi
25 lat w statku kosmicznym	910 lat na ziemi
30 lat w statku kosmicznym	3100 lat na ziemi
35 lat w statku kosmicznym	10600 lat na ziemi

Pozwala to na wyciągnięcie oczywistego wniosku, że po wyprawie międzygwiazdnej, która dla członków załogi trwałaby piętnaście lat, żaden z krewnych lub przyjaciół nie mógłby ich powitać powracających na Ziemię. Wspomniane wyżej relacje mitologiczne pochodzą z zamierzchłych epok, jednak dopiero od momentu odkryć Einsteina jest dla nas jasne, o jak niezwykłych wydarzeniach opowiadają. Skąd dawni kronikarze czerpali precyzyjną wiedzę na temat zjawisk fizycznych zachodzących w momencie zbliżania się do prędkości światła?

Nie tylko mitologia japońska dostarcza nam wielu wskazówek dotyczących kontaktu z istotami pozaziemskimi. Także pramieszkańcy wysp, wzmiankowani wyżej Ajnowie, zachowali wspomnienia spotkań z kosmitami. W innym miejscu opowiedziałem już o starym bogu plemienia Ajnow — Okiki-Rumi-Kammi, który w „shinta”, to znaczy w jaśniejącej kołysce, zstąpił na ziemię. Przekazał Ajnom swą wiedzę i zniszczył „złego demona”, który był do nich wrogo usposobiony.

Naród bez drzewa genealogicznego

Na temat tego tajemniczego ludu istnieją do tej pory jedynie niezliczone domysły. Etnologowie muszą przyznać, że ich wiedza na ten temat jest raczej skąpa. Członkowie plemienia Ajnow w przeciwieństwie do

pozostałych mongoloidalnych ludów Azji Wschodniej odznaczają się bardzo jasną karnacją skóry i brunatnym kolorem włosów. Są stosunkowo niskiego wzrostu, a ich ciała pokrywa wyjątkowo gęste owłosienie. Dziś żyje około 12000 Ajnów, osiadłych niemal wyłącznie na Hokkaido. Małe grupki znajdowały się na okupowanych przez Rosjan od czasów drugiej wojny światowej Wyspach Kurylskich i na Sachalinie. Brak wśród nich Ajnów czystej krwi. W olbrzymiej mierze lud ten zlał się z pozostałymi mieszkańcami Japonii.

Dziś język Ajnów i obyczaje tego plemienia kultywowane są w paru wioskach etnicznych (*Ethno-Villages*), które rząd specjalnie w tym celu założył. Dwie najbardziej znaczące to Shiraoi, na południe od parku narodowego Shikotsu-Toya w południowo-wschodniej części Hokkaido, i Chikabumi w centrum wyspy, niedaleko Asahikawa, stolicy okręgu.

Język Ajnów nie jest spokrewniony z jakimkolwiek innym znanym językiem. Nazwa własna Ajnu znaczy tyle co „człowiek”. Ich kultura zawiera bardzo zagadkowe elementy, choć tu i ówdzie można zaobserwować podobieństwa do obyczajów i zwyczajów właściwych niektórym plemionom zamieszkującym najdalej wysunięte na wschód krańce Syberii. Najosobliwszy jest do dziś praktykowany zwyczaj rytualnego zabijania niedźwiedzi. W przeszłości chwymano w tym celu niedźwiadka, którego następnie hodowały kobiety. Najczęściej karmiły zwierzątko własnym mlekiem. Gdy niedźwiedź już dorósł, składano zeń ofiarę w trakcie bardzo skomplikowanego rytuału.⁵⁹

Absolutnie niejasne jest, dlaczego misie umierały na ołtarzu ofiarnym, będąc wszak dla Ajnów czymś w rodzaju „pośredników między ludźmi a bogami”. Plemię to modliło się do nich jak do węży, które wedle legend (co za przypadek!) również miały przybyć z gwiazd.^{4,5}

Kut jest kolejnym osobliwym obyczajem tego plemienia. Słowem tym określa się pas, który każda kobieta należąca do plemienia Ajnów nosi pod ubraniem. Każda dziedziczy kut po swojej matce; żaden z tych pasów nie jest podobny do innego. Poszczególne egzemplarze sporządzone są z różnych materiałów, mają inne wzory i długość. Różne typy kut przypisane są poszczególnym bóstwom. Ajnowie ponadto wierzą w ich cudowną moc, na przykład zdolność powstrzymywania wrogich sił natury, jak burze i tajfuny, oraz chronienie przed chorobami.^{59,60}

Niestety również etnologowie nie wiedzą wiele na temat tego interesującego obyczaju. Nie zdziwiłoby mnie wcale, gdybyśmy także w tym wypadku mieli do czynienia z jakimś rodzajem kultu *cargo*. Kulty te polegają na wynikającym z mylnej interpretacji naśladownictwie technik i zachowań, które tubylcy podpatrzyli u przedstawicieli wyżej rozwiniętych cywilizacji. Sens i cel tego wszystkiego sprowadza się do pragnienia powrotu obcych, których uznano za bogów, ale i do chęci korzystania z udogodnień, które były tym obcym dostępne. Liczba takich kultów *cargo* jest ogromna, zwłaszcza w rejonie azjatycko-pacyficznym.

Na temat pochodzenia Ajnów sformułowano najrozmaitsze hipotezy. Japoński etnograf dr Kindaichi z uniwersytetu w Tokio przypuszcza, że Ajnowie należą do grupy przodków Indian północnoamerykańskich. Początkowo zamieszkiwali północ Europy, następnie zaś przemierzyli — wedle jego teorii — Islandię i Grenlandię, udając się do Ameryki Północnej, gdzie częściowo mieszały się z plemionami mongoloidalnymi. Inni dotarli w trakcie wędrówek przez Wyspy Aleuckie i Kurylskie do Japonii, nie ulegając wpływowi ludów mongoloidalnych. Po co formułować proste przypuszczenia, skoro można sprawę skomplikować?

Wedle innych hipotez przodkowie Ajnów przywędrowali do Japonii ze wschodu albo stanowią grupę pramieszkańców Azji Wschodniej.⁴³ A może na pochodzenie tego tajemniczego plemienia bez drzewa genealogicznego wywarły wpływ istoty inteligentne z kosmosu?

Mało znany jest na przykład fakt, że również praprzodkowie Ajnów pozostawili w spadku swym potomkom statuetki, które — podobnie jak figurki Dogu — noszą ubrania przypominające już na pierwszy rzut oka skafandry kosmiczne. Posążki tworzone przez Ajnów pochodzą z tej samej epoki, co odpowiadające im (i znacznie bardziej znane) rzeźby Dogu.

Zagadkowe rzeźby Dogu

Statuetki Dogu są tym dla Japonii, czym wielokrotnie wspomniane krążki z Bajan Chara-Uła dla Chin. Są jedną z poszlak wskazujących na to, iż naszym przodkom przybysze z kosmosu rzeczywiście składali wizyty.

Jedną z najstarszych epok w historii kultury japońskiej jest tzw. okres Jomon. Archeologowie szacują czas jego trwania na lata 7500-300 przed Chrystusem. Przy końcu okresu Jomon, mniej więcej około 600 roku p.n.e., przodkowie Japończyków zaczęli sporządzać z gliny i kamienia osobliwe figurki. Wczesne wersje tych rzeźb były małe i prymitywne, lecz nagle styl ich uległ zmianie. Figurki stały się większe i

wyposażone w bardzo wiele starannie wykonanych detali. Większość egzemplarzy z tego okresu mierzy od dwudziestu do sześćdziesięciu centymetrów. Zdarzają się też pojedyncze modele wykonane z brązu, pokryte skomplikowanymi wzorami wstęg, kresek i kropek. Najbardziej osobliwą cechą tych wyobrażonych postaci były oczy ukryte za okularami przypominającymi kształtem przyłbicę. Cała głowa umieszczona była jakby w prawdziwym hełmie. W sumie więc te osobliwe figurki przypominały pilota w kombinezonie i w hełmie osłaniającym głowę.



21a, b. Dwie rzeźby Dogu z ery późnego Jomon (ok. 600 r. p.n.e.), Czy postacie z kosmosu w swych niezgrabnych skafandrach były wzorem tych posążków?



22a, b. Japońska statuetka Dogu: wyraźnie rozpoznawalne elementy hełmu zaopatrzonego w przyłbicę z okularami. Posążek pochodzący z ery Jomon (7500-300 r. p.n.e.)

Uczeni, którzy w XIX stuleciu mieli określić znaczenie tych znalezisk, byli nie mniej zdumieni faktem, iż wyraźnie przypominały one wytwory techniki. Zwłaszcza część, w której znajdowały się oczy, już wówczas stwarzała uczonym okazję formułowania najrozmaitszych domysłów. W niektórych figurkach Dogu oczy zaznaczone są owalnymi wypukłościami ze szczeliną pośrodku, w innych jednak wykonane na kształt prostokątnych „okien”. Kształt ten sprowokował w roku 1894 badacza Shogoro Tsuboi do stwierdzenia, że owalne wypukłości przypominają nowoczesne okulary noszone przez Eskimosów. Są one wyposażone w ruchomą osłonę, efektywnie zapobiegającą oślepieniu białą śniegu. Ponieważ jednak pod

koniec XIX wieku traktowano statuetki jako wyobrażenie uzbrojenia dawnych japońskich wojowników, nie poświęcono zbyt wiele uwagi sugestiom Shogoro Tsuboi.⁴

Dopiero w latach sześćdziesiątych naszego stulecia wzrosło na nowo zainteresowanie rzeźbami Dogu. W 1962 roku opisał je radziecki pisarz Aleksander Kazancew, który sam posiadał trzy egzemplarze. Po opublikowaniu książki Ericha von Dänikena *Z powrotem do gwiazd* (1969) stały się one słynne dosłownie z dnia na dzień.

Kostium Jomon, jak niekiedy określa się figurki Dogu w nawiązaniu do epoki, z której pochodzą, zainteresował jeszcze inne instytucje. Czas dojrzał do prawdziwych niespodzianek. Zaprzyjaźnieni z Kazancewem pisarze Matsumura i Zeissig doszli — niezależnie od innych badaczy — do wniosku, że odzienie oraz obfite ozdoby głowy są szczegółową kopią określonego rodzaju skafandrów kosmicznych, noszonych przez przybyszów z obcych planet. I szybko zrobili ze swych pomysłów użytek.

Praformy współczesnych skafandrów kosmicznych

Matsumura i Zeissig przesłali do Amerykańskiej Organizacji Badań Kosmicznych NASA szczegółową dokumentację, rysunki, zdjęcia, a także wnioski ze swoich przemyśleń. NASA nie uznała tego na szczęście za dzieło fantastów lub żartownisiów i zrobiła ze swojej strony odważny krok. Zleciła znajdującej się w Los Angeles firmie Litten Industries sporządzenie skafandra kosmicznego wedle podanych wzorów. Panom Matsumurze i Zeissigowi przesłano pismo następującej treści:

„Nasi obserwatorzy są zdania, że hipoteza co do skafandra, którego reprodukcja jest w panów dokumentacji, zasługuje w pełni na wielkie zainteresowanie. Kazaliśmy sporządzić taki sam skafander i przekazaliśmy go generalnej dyrekcji do spraw wyposażenia astronautycznego; będzie teraz udoskonalany.

Informujemy też Panów, że mechanizmy łącznikowe, specyficzny typ osadzania otworów na oczy, ruchome stawy, zamki kulkowe i sposoby utrzymywania ciśnienia powietrza, a więc wszystko, co Panowie wymienili i co uwidocznione jest na fotografiach, zostanie, dzięki sugestiom wspomnianej dyrekcji, uwzględnione przy produkcji skafandra kosmicznego.”

Jakże prawdziwe, a zarazem jakże fantastyczne musiały być wzorce, wedle których wyrzeźbiono statuetki Dogu, jeśli NASA na ich podstawie poleciła nawet wykonać *Extravehicular Mobility Unit*, to znaczy skafander kosmiczny.

Kontakty dawnych Japończyków z humanoidami w skafandrach kosmicznych trwały z wielkim prawdopodobieństwem przez dość długi czas. Dużą liczbę figurek Dogu odnaleziono na Honsiu, największej wyspie japońskiej, a mianowicie w okręgach Kamegaoka i Miyagi. Równie obfite znaleziska odkryto w okolicy Kanto na północny wschód od Tokio i w pobliżu Aomori, najbardziej wysuniętej na północ miejscowości na wyspie Honsiu. Nie należy także zapominać o figurkach Ajnów z wyspy Hokkaido.

Naturalnie w samej Japonii zainteresowanie owymi świadectwami pradziejów kraju jest o wiele większe niż gdzie indziej. W latach sześćdziesiątych bardzo wnikliwie zajął się nimi japoński rzeczoznawca Isao Washio.

„Rękawiczki są umocowane na przedramieniu za pomocą zaokrąglonego zapięcia przypominającego kształtem kulę; owalne otwory na oczy mogą się albo całkowicie otwierać, albo zamykać pozostawiając małą szparkę; po obu stronach widnieją małe dźwignie, za pomocą których regulowano najprawdopodobniej rozmiar przysłony. Korona na hełmie jest najwyraźniej anteną; rysunki na skafandrach nie są w żadnym wypadku ornamentami, lecz urządzeniami do automatycznej regulacji ciśnienia.”⁶¹

Co mówi tradycja na temat modeli, na których wzorowano owe rzeźby? Niewiele, poza tym że chodziło tu o „pomocników bogów”.

Jeszcze jeden ślad wydaje mi się godny wzmianki. Figurki Dogu wykazujące bardzo wyraźne podobieństwo do astronautów pojawiają się około 600 roku przed Chrystusem. Właśnie w tym samym czasie zstąpił z nieba bóg Ninigi-No-Mikoto, a na tronie zasiadł pierwszy „niebiański władca” Jimmu Tenno. Na tej samej szerokości geograficznej, w odległości kilku tysięcy kilometrów, w tym samym czasie biblijny prorok Ezechiel miał spotkanie ze swojego rodzaju statkiem kosmicznym. Kiedy wraz ze swym ludem przebywał w babilońskiej niewoli nad rzeką Chebar (600-588 r. przed Chrystusem, za panowania króla Nabuchodonozora II), ukazał mu się Pan w całej Swej wspaniałości. Przekazał mu mądrość o ponadczasowym znaczeniu: „Synu człowieczy, mieszkasz wśród ludzi opornych, którzy mają oczy na to, by widzieć, a nie widzą, i mają uszy na to, by słyszeć, a nie słyszą, ponieważ są ludem opornym” (Proroctwo Ezechiela 12, 2).*

* Cytat wg *Biblii Tysiąclecia*.

Czy byłoby rzeczywiście wielkim błędem, gdybyśmy figurki Dogu uznali za to, co swym wyglądem przypominają? Za wyobrażenie człekopodobnych istot ubranych w stroje przypominające nowoczesne skafandry kosmiczne.

Mury cyklopowe z Nary

Blisko trzydzieści kilometrów na południe od starego miasta cesarskiego Kioto znajduje się Nara. Kiedyś była ona również rezydencją cesarza, a mianowicie od roku 710 do 1192, to znaczy w okresie japońskiego średniowiecza. Z tego czasu zachowała się większość budowli kultowych. Wszystkie skupione są w ogromnym parku Nara: wspaniała świątynia Kasuga, świątynia Todaiji z największą na świecie halą wybudowaną z drewna i z ogromną figurą Buddy oraz skarbcem Shosoin z ósmego wieku, gdzie przechowywano cały majątek prywatny cesarza.

Tylko nielicznym wiadomo, że w bliskich okolicach miasta znajdują się kamienne olbrzymy obrabione w niezwykle sposób. Potężne głązy skalne z wydrążeniami, wgłębieniami i fugami, ze szczelami i stopniami sprawiają wrażenie nowoczesnych konstrukcji z betonu. Budulcem jest jednak twardy granit. Przed podobnie skonstruowanymi murami cyklopowymi w Peru i Boliwii zadajemy sobie również pytanie, kto i za pomocą jakich środków technicznych był w stanie zrealizować owo tytaniczne dzieło.



23-27. W pobliżu cesarskiego miasta Nara na południe od Kioto znajdują się potężne mury z elementami obróbki kamienia niezwykle precyzyjnymi pod względem technicznym. Podobne mury zobaczyć można w Peru i w Boliwii

Zanim jeszcze zaprezentuję kilka faktów ze średniowiecza Japonii, dowodzących, że wizyty istot pozaziemskich trwają aż do czasów nowożytnych, chciałbym poczynić pewną dygresję: Jest połowa naszego stulecia, a dokładniej mówiąc, ostatnie dni drugiej wojny światowej, sierpień 1945 roku. W momencie, gdy wojna między Stanami Zjednoczonymi a Japonią została już właściwie rozstrzygnięta, prezydent Harry S. Truman wydaje rozkaz zrzucenia niedawno skonstruowanych bomb atomowych. Rankiem 6 sierpnia 1945

roku załoga superfortecy B-29 zrzuci bombę o nazwie „Little Boy” na przemysłowe centrum Japonii — Hiroszimę. W jednej chwili ginie 80000 osób, a ponad 60000 zostaje rannych; umierają po latach męczarni. Po trzech dniach przychodzi kolej na oddaloną o trzysta kilometrów metropolię Nagasaki. Po raz pierwszy w historii nowoczesnych wojen ci, którzy przeżyli, mieli wszelkie powody ku temu, by zazdrościć zmarłym.

Cienie na murach

W Hiroszynie ojcowie miasta wzniesli wśród ruin mauzoleum przypominające atomową zagładę. Tutaj, w epicentrum zniszczenia, stoją niemal nie uszkodzone mury. Można na nich rozpoznać sylwetki ludzkich postaci — ofiar, które w momencie potężnej eksplozji zamieniły się właściwie w parę. Znajdujący się za nimi mur otrzymał mniejszą dawkę promieniowania świetlnego niż pozostałe jego części i w ten sposób powstały, jakby na podobieństwo fotografii, upiorne odbicia sylwetek ludzi w momencie śmierci.

Podobny los, jak Japonię w ostatnich dniach drugiej wojny światowej, spotkał najprawdopodobniej inny jeszcze kraj azjatycki, ale w zamierzchłej przeszłości. Chodzi o Indie. W tamtejszych legendach brak pędzących po niebie smoków, gromptaków lub latających węży, są za to maszyny latające. W starych zabytkach sanskrytu określa się je mianem *Vimanas*. Walka nie odbywa się tu na „oszczepy błyskawic” lub „piorunowe gromy”. Stosowana jest straszliwa broń, której opisy pozbawione są niemal całkowicie właściwych mitologiom zawołowań. Szczegółowe relacje o eksplozjach atomowych, które musiały nastąpić przed tysiącami lat, przeczytać można w staroindyjskich eposach narodowych: *Mahabharacie* i *Ramajanie*. Do roku 1945 uczeni uznawali je za typowe i od dawna znane przesadne opisy mitologicznych waśni bogów. Ale Hiroszima zmieniła także ich światopogląd. Nie kto inny jak Jacob Robert Oppenheimer (1904-1967) — nazywany również ojcem bomby atomowej — był jednym z pierwszych, którzy z dużą uwagą wczytywali się w takie opisy:

„Był to jeden jedyny pocisk,
naładowany całą mocą wszechświata.
Żarząca się bielą kolumna z dymu i płomieni,
tak jasna jak dziesięć tysięcy słońc, wzniosła się w całej jasności.
Była to nieznaną broń, żelazny klin gromu,
olbrzymi posłaniec śmierci, który w popiół zamienił
całe plemię Vrishni i Andhakras.
Zwłoki w taki sposób spłonęły,
że nie można ich było rozpoznać.
Wypadły im włosy i paznokcie.
Naczynia gliniane popękały bez powodu,
a ptaki przebarwiły się na białe.”⁶³

To nie jest opis Hiroszimy po 6 sierpnia 1945 roku. To jest liczący sobie tysiące lat opis niszczycielskiej broni o nazwie *agneja* z indyjskiego eposu narodowego *Mahabharata*. Czy w ogóle można zweryfikować prawdziwość fantastycznych opisów zawartych w przekazach? Rzeczywiście, istnieje wiele mocnych punktów zaczepienia sugerujących, że w indyjskich mitach opisano ataki atomowe, które były równie realne jak straszliwe, podobne do wybuchów bomb atomowych w Japonii w ostatnich dniach wojny.

Ślady atomowej zagłady

Na terenie zniszczonych miast Mohendžo-Daro i Harappa — obydwa leżą na terenie dzisiejszego Pakistanu — wykopano ludzkie szkielety, które wykazywały tak wysokie napromieniowanie, że można było w uzasadniony sposób mówić o radioaktywnym skażeniu. Na obszarze rozciągającym się przez Indie, Pakistan, zachodnie Chiny aż po Irak archeologowie wciąż odsłaniają — poczynając od pewnej określonej głębokości — warstwy szkliwa. Jest to rodzaj zielonkawego stopionego szkła, podobnego do zeszklenia piasku na pustyni Nevada po pierwszych próbach jądrowych.

Pewnego razu w roku 1952 studenci zapytali Roberta J. Oppenheimera, czy próba atomowa na pustyni Los Alamos była pierwsza w dziejach ludzkości. Otrzymali zagadkową i znaczącą odpowiedź: „Tak, przynajmniej w czasach współczesnych.”³⁷ Niekiedy badacze i poszukiwacze przygód publikują relacje o daleko bardziej zdumiewających znaleziskach. Podróżnik De Camp odkrył ruiny zniszczone do tego stopnia,

że przyczyną nie mógł być zwyczajny pożar. Niektóre formacje skalne sprawiały wrażenie jakby stopionych i wydrażonych jak płyty cynkowe poddane działaniu płynnego żelaza. Wspomniane ruiny mają się znajdować na obszarze, który rozciąga się między Gangesem a pobliskimi górami Radžmahal.⁴

Chodzi tu o nie zbadany jeszcze do końca rejon w Bengalu Zachodnim, niedaleko granicy z Bangladeszem — dawnym Pakistanem Wschodnim. Cała okolica pocięta jest dopływami i odgałęzieniami Gangesu. Przewędrować ten region można jedynie w miesiącach międzymonsunowych, i to z trudem. W innym czasie powodzie uniemożliwiają jakąkolwiek eksplorację. Nieprzebrane brunatne fale powodziowe toczą się wtedy w kierunku delty Gangesu, ku Zatoce Bengalskiej.

Nieco dalej na południe brytyjski oficer J. Campbell odkrył podobne ruiny. A przy tym natknął się na coś, co od czasów Hiroszimy i Nagasaki nie jest dla nas zagadką. Na częściowo zeszkłonej powierzchni jakiegoś podwórza znajdującego się w tym bezimiennym mieście ruin można było rozpoznać cień ludzkiej postaci!

Także inni podróżnicy piszą jednomyślnie, iż w niedostępnych rejonach Indii odkryli miasta leżące w ruinie, niemal całkowicie pochłonięte przez dżunglę. Mury budynków przypominały ich zdaniem „grube kryształowe płyty”, przeżarte i zniszczone energią o nieznaną moc.⁴

Jakież to straszliwe tajemnice skrywa przed naszymi oczyma rozrastająca się w niesamowitym tempie prapuszczą subkontynentu indyjskiego? Bogowie dawnych Indii musieli zaprawdę być wszechpotężni. Wykorzystywali ponadto bez ograniczeń swą potęgę, czego dowodzą ślady atomowej zagłady, na które wciąż się tam natykamy.

Z Indii, kraju eposów bohaterskich i walk staczanych przez bogów, powróćmy do średniowiecznej Japonii. W okresie Nara i w początkach okresu Heian — wedle naszej chronologii między 700 i 850 r. n.e. — pojawili się tam Kappowie. Wówczas natykano się niemal wszędzie na owe tajemnicze istoty. Istnieje nawet kilka artystycznych wizerunków ich postaci.

Średniowieczny aliens

Wedle przekazów znanych w całym Kraju Wschodzącego Słońca chodziło o istoty humanoidalne, zamieszkujące obszary bagienne i rzeki. Miały prostą sylwetkę, ręce zakończone błonami pławnymi przypominającymi płetwy, z których wystawały długie, zakrzywione jak haki szpony. Potrafiły poruszać wielkimi uszami, do których było przymocowane coś w rodzaju kapsulek. Oczy sprawiały wrażenie trójkątnych i wydłużonych. Na głowach Kappowie nosili rodzaj krążka, z którego wystawały cztery długie druty.

Jednak najbardziej charakterystyczną częścią stosunkowo małej głowy tych stworzeń była narośl przypominająca kształtem trąbę. Porównać ją można ze skręconym węzem; łączyła nos i ukryte pod nią usta tych istot ze skrzynką umocowaną na plecach. Wizerunki stworzeń o podobnym wyglądzie — to znaczy zaopatrzonych w trąbę — spotkać można na całym świecie. W Azji najczęściej w formie popularnego boga hinduistycznego, Ganeśi.

Japoński przyrodnik profesor Komatsu zaprezentował w czasopiśmie „Mainichi Graphic” pogląd, że ci „ludzie bagien” mogli być gośćmi z kosmosu. Uderza tu rzeczywiście podobieństwo do wodników (ludzi żab) lub pilotów myśliwców odrzutowych. Trąba nie byłaby zatem niczym innym jak częścią aparatu oddechowego, prowadzącą do zbiorników z tlenem znajdujących się na plecach. Możliwe, iż Kappowie nie tolerowali istniejącej na ziemi mieszanki gazów tworzącej powietrze albo że nosili tę aparaturę podczas wykonywania określonych czynności. Okrycie głowy w kształcie krążka nie byłoby więc w rzeczywistości niczym innym niż anteną i służyłoby do porozumiewania się.

Przekazy powiadają, iż Kappowie mieszkali w wielkich „muszlach”, które mogły pływać po wodzie. Niekiedy unosiły się i latały w powietrzu z dużą prędkością.^{45, 61}

Czy istnieje jakiś związek między nimi a znanymi od dawna „bogami” z kosmosu? Albo może chodziło o inną grupę kosmitów, którzy w bliższej naszym czasom epoce pojawili się na Ziemi? Czy to ich statki kosmiczne obserwowano z tak niezwykłą częstotliwością w Japonii między dwunastym a czternastym wiekiem? Jeśli damy wiarę kronikarzom owej epoki, to w tym czasie panował na niebie bardzo ożywiony ruch. Był to niespokojny okres, w którym władza w coraz to większym stopniu przechodziła z rąk cesarza (*tenno*) w ręce rycerzy (*samurai*) i wojowników (*bushi*). Faktyczne rządy sprawował dowódca wojskowy (*shogun*). O sfery wpływów walczyły najrozmaitsze grupy interesów i klany. Nierzadko dochodziło przy tym do walk zbrojnych. Akurat tej okoliczności zawdzięczamy ogromną część obserwacji latających obiektów. Wszystkie strony konfliktów zachowywały wzmożoną czujność obserwując otoczenie argusowym wzrokiem — włącznie z tym, co się działo na niebie.

W roku 1361 świadkowie zaobserwowali obiekt latający, który miał jakoby kształt bębna. Uniósł się z Morza Japońskiego i szybko zniknął na niebie. Wielokrotnie i przy różnych okazjach obserwowano świecące przedmioty na firmamencie, porównywane przez ogarniętych zdumieniem oglądających do księżyca w pełni. Można by oczywiście potraktować to naturalne wyjaśnienie serio, gdyby nie fakt, że obiekty te pojawiały się najczęściej w szyku. Wielu mieszkańców miasta Kioto widziało ogniste kule w powietrzu. Jeden z obserwowanych obiektów opisano jako obracające się wokół własnej osi czerwone koło. Na jednym ze średniowiecznych rysunków tuszem widnieje otoczone płomieniami koło szybujące na niebie, wysoko ponad głowami zdumionych obserwatorów.^{37, 39}

W nocy 27 października 1180 roku z pewnej góry w położonej na południu Honsiu prowincji Kii uniosło się w powietrze — wedle określenia świadków — „naczynie gliniane” i poszybowało w kierunku północnym. Obiekt szybko zniknął na horyzoncie, pozostawiając jaśniejący ślad. W roku 1271 w ostatniej minucie odroczone egzekucję człowieka skazanego na śmierć, w miejscu kaźni pojawił się bowiem na niebie nieznaną obiektem latający.

W roku 1235: generał na tropie UFO

Dwudziestego czwartego września 1235 roku cesarski generał Yoritsume dowodził manewrami. Nocą wartownicy zaobserwowali w południowej części obozu tajemnicze krążące po niebie obiekty. Godzinami obserwowali je z zapartym tchem oficerowie i żołnierze. Wykonywały niebezpieczne loty nurkowe oraz inne ewolucje, które zdawały się przeczyć istnieniu sił ciężenia.

O poranku generał Yoritsume zarządził zbadanie nocnych zjawisk. Powołana przezeń „komisja ekspertów” doszła do wniosków, które śmiało można by dołączyć do wielu dzisiejszych interpretacji zjawisk UFO. Komisji wydawało się bowiem, że „to był wiatr, wprawiający w ruch gwiazdy na niebie”.^{37, 56}

Trzeba oddać sprawiedliwość ówczesnym obserwatorom UFO, iż starali się o jak najbardziej racjonalne wytłumaczenie osobliwych zjawisk. Być może interpretacja bardziej odpowiadająca istocie sprawy pociągnęłaby za sobą naganę lub nawet karę. Ówczesni władcy reagowali na zjawiska zagrażające rozbiciem obowiązującej wizji świata ze spokojem nie większym niż wielu ich dzisiejszych kolegów.

Być może jednak z czasem doszli do innych wniosków. W nowoczesnych Chinach, a także w Japonii, mnożą się oznaki świadczące o fakcie, iż zjawisko UFO zaczyna być traktowane przez oficjalne urzędy z coraz to większą powagą. Jest to reakcja bardzo rozsądna, wszak mamy do czynienia z wieloma dobrze udokumentowanymi wypadkami, jak na przykład niżej opisane zdarzenie.

Wieczorem 18 marca 1965 roku samolot typu Convair 240 japońskiego towarzystwa lotniczego TOA-Airlines z dwudziestoma ósmioma pasażerami na pokładzie przelatywał nad wyspą Shikoku. Maszynę prowadził kapitan Yashika Inaba wraz z drugim pilotem — Tezu Umashima. Około godziny 19, gdy samolot był na wysokości około 2000 metrów, pojawił się w pobliżu nie zidentyfikowany obiekt. Miał przekrój około 12 do 15 metrów i promieniował zielonkawym światłem. W momencie gdy obiekt się zbliżył, w Convairze przestały funkcjonować wszystkie urządzenia. Nie działał automatyczny pilot, została zerwana łączność radiowa z pobliskim lotniskiem. Obiekt latający posuwał się przez chwilę za samolotem, następnie wyhamował i w ciągu około trzech minut utrzymywał się nieruchomo za maszyną. Następnie znów wystartował, dogonił Convair, towarzysząc mu na lewym skrzydle na dystansie około 80 kilometrów do miasta Matsuyama. Tam zniknął równie raptownie, jak się pojawił.

Obserwacje obydwu pilotów i pasażerów znalazły potwierdzenie innych naocznych świadków. Podczas lotu ku Matsuyamie obiekt został dostrzeżony także z ziemi. UFO widział również pilot samolotu sportowego, który podchodził w tym mieście do lądowania.⁶¹

Oficjalna ocena

Japońskie siły powietrzne bardzo poważnie traktują nieznaną obiekty latające. Już w roku 1967 ówczesny szef sztabu wojsk powietrznych, generał Kanshi Ishikawa stwierdził: „Jeśli UFO są obiektami unoszącymi się w powietrzu, to powinny zostać zlokalizowane za pomocą radaru. Liczne fakty potwierdzają ich lokalizację za pomocą radaru. Tym samym UFO są rzeczywistością i być może przylatują z kosmosu.”

Niedługo potem japoński pułkownik Fujio Hayashi, komandor oddziału transportu powietrznego Irima, złożył następującą deklarację: „Nic można negować istnienia UFO. W sytuacjach, gdy jako piloci podejmujemy pościg, musimy obiekt zidentyfikować, wszystko jedno, czy jest to przyjaciel, czy wróg. Istnieje wprawdzie pogląd, że te obiekty są tajną bronią pewnych mocarstw, osobliwy jest jednak fakt, że w

ciągu dwu dziesięcioleci nie byliśmy w stanie ustalić ich pochodzenia.”

We wrześniu 1977 roku generał Akira Hirano spointował problem UFO w sposób następujący: „Często obserwujemy na niebie nieznane obiekty latające. Prowadzimy nad nimi tajne badania.”⁶⁴

Są to szczerze słowa wypowiedziane przez wysokiej rangi wojskowego z kraju, w którym zjawiska te znane są już od tysięcy lat.

VIII

UFO w Chinach — Od wroga doktryny do głównego punktu zainteresowań

Nabieram coraz silniejszego przekonania, że muszą istnieć związki między wizytami, które legendarni bogowie składali naszej starej dobrej Ziemi, a — nie dającymi się wszak zanegować — UFO, które pojawiają się w naszych dniach. Pytanie: czy chodzi tu rzeczywiście o „tych samych bogów, którzy przed tysiącami lat chadzali niezbadanymi ścieżkami”,⁶⁵ czy też o przedstawicieli innych cywilizacji, pozostaje chwilowo w sferze najróżnorodniejszych domysłów. Może być jednak i tak, że akceptując jednostronny sposób refleksji nad dwuaspektowym problemem „wizyty gości z kosmosu”, pozbawimy się szerszych perspektyw. Być może ta najważniejsza w naszym stuleciu zagadka tylko wtedy zostanie rozwiązana, gdy zajmiemy się całością problemu.

Tak więc chciałbym konsekwentnie kontynuować realizowaną w poprzednich rozdziałach prezentację śladów oddziaływania wpływów pozaziemskich aż do zjawisk typowych dla naszej współczesności. Może się bowiem okazać, że nowoczesne badania nad problematyką UFO dostarczą decydujących dowodów na istnienie i niegdysiejszą obecność „bogów”-astronautów; równie możliwa jest odwrotna procedura myślowa: skoro kosmici dawniej odwiedzali naszą planetę, w takim razie mogą to czynić także i dziś.

Tak jak i w pozostałych częściach świata, w Azji Środkowej i Wschodniej „nowoczesna” epoka UFO rozpoczęła się długo przed słynnym spotkaniem z 24 czerwca 1947 roku. Tego dnia przedsiębiorca, a zarazem pilot sportowy Kenneth Arnold zaobserwował nad górami zachodniego wybrzeża Ameryki szereg nie zidentyfikowanych obiektów dysponujących niezwyklejmi możliwościami poruszania się w przestrzeni powietrznej. Ów przypadek, sam w sobie mało istotny — dziś zostałby zakwalifikowany do banalnej grupy dziennych obserwacji krążków świetlnych — z jednego powodu stał się tak niezwykle głośny. Ken Arnold użył podczas jednego z wywiadów terminu, który od tej pory stosowano jako określenie podobnych zjawisk: „latające spodki”.

O wiele wcześniej, 25 maja 1893 roku, członkowie załogi parowca „Caroline”, który znajdował się we wschodniej części Morza Chińskiego między Shanghai a Japonią, zaobserwowali całą formację latających krążków. Posuwały się wolno w kierunku północnym między statkiem a górami pobliskiej wyspy Kiusiu. Podczas teleskopowych obserwacji trwających w sumie dwie godziny stwierdzono, że krążki były zabarwione na kolor czerwony i pozostawiały brązowe smugi.⁶¹

Także holenderski parowiec „Valentijn” miał na chińskich wodach spotkanie z nie zidentyfikowanym obiektem latającym. Jego załoga zobaczyła 12 sierpnia 1910 roku ogniste koło, które leżało poziomo nad wodą. Poruszało się szybkim ruchem obrotowym tuż nad powierzchnią morza, następnie odleciało z wielką prędkością.³

W rozdziale poświęconym Tybetowi pisałem o obserwacjach poczynionych w latach dwudziestych w górach Ałtaju przez badacza kontynentu azjatyckiego, Rosjanina Mikołaja Roericha. W czasie wojny, w roku 1941, żołnierze komunistycznej armii narodowyzwoleniczej zaobserwowali podobny obiekt nad miastem Tianjin (Tiensin) w północnych Chinach. Obiekt latający, który nawet sfotografowano, miał kształt kręgu z wypukłością wyraźnie zarysowaną na górnej części — było to coś w rodzaju kopuły. Unosił się na niezbyt wielkiej wysokości nad główną ulicą Tianjinu i nie był podobny do żadnego z wówczas znanych samolotów lub balonów. Eksperci, analizujący tę fotografię, potwierdzili jej autentyczność.^{17, 25}

Któżby miał zresztą interes w fałszowaniu zdjęć UFO, i to w Chinach, gdzie walczyli zarówno komuniści, jak i armia japońska?

Piloci amerykańskich eskadr bombowych, którzy przelatywali nad Pacyfikiem ku Japonii, relacjonowali, podobnie jak ich koledzy na froncie europejskim, spotkania z nie wyjaśnionymi *Foo-Fighters*. Tak określano zjawiska świecące wszystkimi odcieniami czerwieni na nocnym niebie, podążające za samolotami i poruszające się z prędkościami, które zdumieni piloci szacowali na blisko 800 km/h. Napędzane śmigłami samoloty osiągały podczas drugiej wojny światowej prędkości od 300 do 500 km/h. Jedynie pierwsze myśliwce odrzutowe, które zaczęto stosować w ostatniej fazie wojny, osiągały prędkości do 700 km/h, jednak i one nie były w stanie dorównać niezwyklejmi ewolucjom świecących obiektów. Podczas lotów dziennych *Foo-Fighters* określano przeważnie jako krążki lub kule.

O ile alianci uznawali je początkowo za tajną broń, którą — w tym wypadku — mieli stosować

Japończycy, o tyle po kapitulacji Japonii zostali skonfrontowani z innym faktem. Podczas przeglądu akt szybko się okazało, że owe tajemnicze obiekty podążały także za samolotami japońskich pilotów. Ci ze swej strony przypisywali je Amerykanom.³⁷

Ideologia kontra kosmici

Na temat obserwacji zjawisk UFO w Chinach po drugiej wojnie światowej nie można się było przez długi czas niemal niczego dowiedzieć. W porównaniu z Japonią, która wszak po klęsce musiała otworzyć się na Zachód, sytuacja w Chinach rozwijała się inaczej. Aż do lat siedemdziesiątych wzmianki o tych zjawiskach nie były dobrze widziane, a rozważanie ich prawdziwości wprost graniczyło z niemożliwością.

Po kapitulacji imperium japońskiego, które podczas drugiej wojny światowej okupowało rozległe obszary Chin, komuniści pod wodzą Mao Zedonga wykorzystali dogodną sytuację. Zdobyli wielką popularność zwłaszcza wśród ludności wiejskiej. We wrześniu 1948 roku przystąpili do ostatniej, zakrojonej na szeroką skalę ofensywy i w ciągu niespełna roku zdobyli od północy cały kraj. Pierwszego października 1949 roku Mao Zedong proklamował Chińską Republikę Ludowo-Demokratyczną.

Od tej pory ideologia marksistowska warunkowała życie i myślenie Chińczyków. Ścisłe materialistyczna doktryna nie pozwalała w owym czasie na zajmowanie się zjawiskami paranaukowymi. Należał do nich fenomen nieznanymi obiektami latającymi. Marksistowski światopogląd nie tolerował ani pojęcia Boga, ani jego ponad- a zwłaszcza pozaziemskich objawień: wszystko było ziemskie, wszystko można było wyjaśnić. A jako że ideologia komunistyczna była podwaliną władzy państwowej, można ją znakomicie porównać do dogmatu o nieomyślności papieskiej. Realizowano go bezwzględnie przy pomocy inkwizycji.

Także po śmierci Mao Zedonga w roku 1976, gdy pojawiły się pierwsze oznaki liberalizacji, temat ten okrywany był nadal zasłoną milczenia. W najlepszym wypadku deprecjonowano go jako „wymysł imperialistycznych podżegaczy wojennych”, uzasadniając nim horrendalną wysokość wydatków na obronę. Podobną taktykę stosowano również w Związku Radzieckim. Przez całe lata ta polityka wyraźnego ogłupiania udawała się znakomicie.

Sytuacja zmieniła się dopiero 13 listopada 1978 roku, gdy odważny dziennikarz Sheng Heng Yen opublikował w największej gazecie chińskiej — pekińskim „Renmin Ribao” („Żenmin Żipao”, „Gazeta Ludowa”) — artykuł dotyczący UFO. W ciągu kolejnych dwu lat także w innych gazetach chińskich pojawiły się artykuły relacjonujące obserwacje pilotów, naukowców i pozostałych, równie wiarygodnych, świadków.⁶⁴

Tym samym rozpętano prawdziwą burzę. W całych Chinach dało się zauważyć zainteresowanie tym dotychczas przez władze ignorowanym tematem. Setki czytelników czasopisma poświęconego badaniom kosmicznym żądały w listach do redakcji, żeby rząd przeprowadził obiektywne badania tych zjawisk. Władze zareagowały szybko: zarządzone stworzenie na uniwersytecie Wuhan grupy zajmującej się badaniami UFO.

Chiny ogarnięte gorączką UFO

Jak wielka jest chęć nadrobienia zaległości w tym zakresie, świadczy fakt, że wspomniana grupa badawcza zdołała w ciągu kilku dni sprzedać trzysta tysięcy egzemplarzy pierwszego numeru wydawanego przez siebie „Czasopisma poświęconego studiom nad UFO”. Od tej chwili wielu obywateli — zarówno cywilów, jak i wojskowych — nie wahało się prezentować swych własnych obserwacji w listach do redakcji gazet i czasopism.

Duże znaczenie dla oceny i wykorzystania chińskich raportów dotyczących UFO mają badania żyjącego w USA Paula Donga. Jako członek organizacji APRO (Aerial Phenomena Research Organization) objechał on w roku 1981 całą Chińską Republikę Ludową, wygłaszając wykłady we wszystkich znaczących uniwersytetach i szkołach wyższych. W trakcie dyskusji mógł zebrać wiele raportów dotyczących obserwacji UFO. Znaczną ich część opublikował w roku 1983; jego książka stanowi dziś najlepsze źródło dotyczące chińskich obserwacji UFO.⁶⁶

Pierwszego stycznia 1964 roku wielu mieszkańców Shanghai zaobserwowało obiekt latający w kształcie cygara, który podążał w kierunku południowo-zachodnim. Komendant najbliższej bazy lotniczej, zaalarmowany niezliczonymi telefonami, wydał rozkaz ścigania rzekomego samolotu wroga. Piloci myśliwców MIG natychmiast wzbili się w powietrze, wzięli kurs na obiekt latający, by go zlokalizować i

ewentualnie zmusić do lądowania. Mimo żartowego pościgu nie udało się to, UFO zniknęło z pola widzenia. Oficjalne czynniki poprzestały więc na wygłoszeniu kilku aroganckich uwag o „naruszeniu chińskiej przestrzeni powietrznej przez samoloty USA”, a następnie odłożyły całą sprawę ad acta.^{64, 67}

O ile w tym wypadku Amerykanom przypisywano winę za pojawienie się UFO, o tyle w następnym kozłem ofiarnym stali się Rosjanie. Dla wyjaśnienia muszę jednak krótko naszkicować ogólną sytuację polityczną w owym okresie. Pod koniec lat pięćdziesiątych doszło do sporu między sąsiadującymi ze sobą imperiami — z powodu różnic w kwestiach ideologicznych, politycznych, ale przede wszystkim terytorialnych. W roku 1960 Związek Radziecki wypowiedział wszystkie umowy dotyczące pomocy technicznej i finansowej, a w 1965 wydalili chińskich studentów. Powtarzające się spory terytorialne doprowadziły wreszcie w roku 1969 do krwawych walk nad graniczną rzeką Ussuri na północnym wschodzie i w prowincji Xinjiang (Sinkiang) na północnym zachodzie Chin.

Nic więc dziwnego, że raporty dotyczące UFO zostały natychmiast zinstrumentalizowane w sensie politycznym i określone jako interwencje „agresora z północy”.

Lądowanie na pustyni

W połowie kwietnia 1968 roku żołnierz Gu Ying został przeniesiony do pułku saperów, realizującego w północnej części pustyni Gobi inwestycję nawadniającą. Zapadał już zmierzch, gdy jego uwagę przykuł świecący na niebie obiekt.

Gu Ying i kilku jego kolegów ujrzeli „wielką tarczę z językami płomieni”, która powoli osiadała na pustyni. Miała kolor lśniąco pomarańczowy. Żołnierze oceniali jej przekrój na około trzech metrów, gdy prześlizgiwała się w odległości niecałego kilometra. Leciąca, lekko pochylona, wzdłuż linii horyzontu. Naocznym świadkom wydawało się, że postrzegają w jej obrębie intensywniej lśniący albo wysyłający błyski punkt.

Raptownie tarcza zaczęła podchodzić do lądowania. Szef kompanii zaalarmował dowódcę, który natychmiast wysłał patrol motocyklowy z zadaniem dotarcia do UFO. Zbliżanie się grupy motocyklistów zostało z pewnością zauważone w obiekcie, gdyż wzbił się jak strzała w powietrze i zniknął z pola widzenia. A ponieważ w pobliżu znajdowała się granica radziecka, większość świadków była zdania, że chodzi o nowoczesny samolot zwiadowczy Rosjan, użyty tu do celów szpiegowskich. Rzadko który z Chińczyków wiedział wówczas o istnieniu UFO.

Obiekt pozostawił podczas lądowania ślad, tworzący na ziemi zarys wypalonego krzyża. Ponieważ pochodzenie obiektu latającego nie budziło wątpliwości obserwatorów oraz ich przełożonych, nie przedsięwzięto żadnych badań; nie pobrano próbek gruntu. Wszyscy interpretowali to zjawisko w kategoriach wyłącznie politycznych. Uznano lądowanie UFO za część przygotowań do inwazji ze strony Związku Radzieckiego. A przy tym te jaśniejące obiekty znane były od dawna wojskom stacjonującym na pustyni Gobi, bo nierzadko pojawiały się na niebie. Nowością było natomiast lądowanie obiektu latającego.⁶⁶

Tylko niecały rok wcześniej jeden z niezidentyfikowanych obiektów latających spowodowałby nieomal wypadek we flocie. W początkach roku 1968 czterej artylerzyści baterii przybrzeżnej, odbywający służbę w bazie morskiej Luda (prowincja Liaoning granicząca z Koreą Północną), zauważyli lśniący złotym blaskiem owalny obiekt. Leciął wzdłuż linii horyzontu pozostawiając na niebie wąski ślad podobny do smugi kondensacyjnej.

Raptownie wzbił się pionowo do góry z niewiarygodną wprost prędkością. W tym samym momencie przestały funkcjonować w bazie systemy elektryczne, a także radar. O mało nie doprowadziło to do nieszczęśliwego wypadku wśród statków patrolujących wody przybrzeżne. Komendant floty zarządził stan gotowości bojowej i wysłał kilka patroli. Jeden z nich spostrzegł UFO lądujące na brzegu, po czym żołnierze niezwłocznie otworzyli ogień z broni automatycznej. Gdy chwilę później pozostałe oddziały zaczęły posuwać się w stronę obiektu, ten zniknął bez śladu.⁶⁴

Charakterystyczne jest w tym wszystkim, że niemało raportów jest dziełem wojskowych, którzy właściwie ze względu na eksponowane stanowisko zobowiązani są do zachowania ścisłej tajemnicy. Zdumiewa stosunkowo swobodny przepływ informacji wśród nich. Stoi to w jaskrawej sprzeczności z kampanią kłamstw i zatajania prawdy prowadzoną w ubiegłych dziesięcioleciach przez pozostałe wielkie mocarstwa przy potężnym wsparciu służb wywiadowczych i agencji informacyjnych. Całkiem inaczej wygląda obecnie sytuacja w Chinach: po wszystkich surowych restrykcjach doby Mao Zedonga czuje się tu rzeczywiście powiew świeżego powietrza!

Mniej znany może być fakt, że w Chinach już w początkach lat siedemdziesiątych utworzono w głębokiej tajemnicy specjalną grupę badawczą do spraw związanych z UFO, podporządkowaną ministerstwu

obrony. Przyczyna była bardzo zrozumiała: meldunki dotyczące obiektów latających mnożyły się zwłaszcza w północno-zachodnich prowincjach Xinjiang i Gansu, które graniczyły ze Związkiem Radzieckim i Mongolią.⁶⁴ Przeczuwano już chyba wówczas, a może dysponowano nawet konkretnymi informacjami, że dokonują się sprawy bardzo dziwne, których na dłuższą metę nie uda się przedstawiać ludności jako poczynań wroga z północy.

Osobliwe obiekty latające obserwowano bowiem na terenie całego kraju. Żołnierz Chen Chu złożył raport dotyczący obserwacji dokonanych któregoś dnia pod koniec września 1971 roku. Jego jednostka stacjonowała w mieście Dingxian, w prowincji Hubei. Oddział Chen Chu wykonywał właśnie jakieś zadania w małej dolinie na północ od miasta, gdy wieczorem około godziny 19.30 okrągły, podobny do piłki obiekt pojawił się w północnej części nieba. Kula jakby wydzielala wokół siebie chmurę gazów. Przez kilka sekund widoczna była na niebie, następnie trysnął z niej silny płomień odrzutu i uniosła się. Na moment zatrzymała się na pewnej wysokości, po czym uniosła się ponownie. Raz jeszcze znieruchomiła na kilka chwil, a wreszcie — tracąc nieco wysokość — zniknęła z pola widzenia. Natychmiast po zaobserwowaniu niezwyklego obiektu złożono meldunek dyżurnemu dowódcy. Ten wysłał patrol, który miał śledzić obiekt z ziemi. Patrol prowadził obserwacje na przestrzeni około sześciu kilometrów, wkrótce jednak musiał zawrócić, gdyż droga górską okazała się nieprzejezdna.^{64, 65}

Szczególnie dobrze udokumentowana obserwacja, w której kilkuset żołnierzy było naoczniymi świadkami, miała miejsce 23 października 1978 roku w bazie obrony przeciwlotniczej Lintiao, w prowincji Gansu. Piloci stacjonującego tu dywizjonu myśliwców i kilkuset innych żołnierzy oglądało akurat film, którego projekcja — jak w Chinach jeszcze dziś jest w zwyczaju — odbywała się pod gołym niebem. Krótco po godzinie 20, w chwili gdy rozpoczynał się film, coś zaniepokoiło widzów. Niemal jednocześnie skierowali wzrok na bezchmurne niebo. Poruszał się na nim wielki obiekt szybując ze wschodu na zachód. Pojawił się pod kątem około 60 stopni nad horyzontem, następnie przeleciał nad głowami zebranych. Potem zniknął z pola widzenia zasłonięty budynkami, oddalonymi o około 60 metrów.

Wedle zgodnych relacji był to wielki, podłużny obiekt, o dość niewyraźnych konturach. Miał z przodu dwa światła przypominające ruchome reflektory, z tylnej jego części wychodziła świetlista smuga. Światła widoczne z przodu i z tyłu zmieniały wielokrotnie długość i natężenie, oświetlając coś w rodzaju otaczającej go mgielki. UFO poruszało się stosunkowo wolno, lecąc w linii prostej na niewielkiej wysokości. Swymi rozmiarami zajmowało od 20 do 30 stopni całego pola widzenia i można je było obserwować od dwu do trzech minut, zanim zniknęło na wieczornym niebie.⁶⁴

Okolicznością, która tym obserwacjom nadaje szczególną rangę, są prócz wielkiej liczby naocznych świadków także ich wysokie kwalifikacje. Zwłaszcza zgromadzeni tu lotnicy, wyszkoleni jako piloci myśliwców, zapewniali z naciskiem, że obserwowany obiekt nie wykazywał żadnego podobieństwa z jakimkolwiek znanym typem samolotu. Odrzucali też zdecydowanie stosowane zazwyczaj w takich wypadkach interpretacje, jak meteoryty, chmury ptaków i szarańcza. Zdecydowanie wykluczali możliwość złudzenia optycznego powołując się na swe niebagatelne doświadczenie. Umożliwiłoby im ono w każdej chwili identyfikację obiektu, gdyby miał konwencjonalną konstrukcję.

Argumentacji tej nie wolno lekceważyć. Szkolenie pilotów bojowych polega również na tym, by w ułamkach sekundy — decydujących o śmierci lub życiu — zdolni byli do identyfikacji zbliżającego się samolotu. Błyskawicznie muszą się zdecydować na podjęcie stosownych działań. Wszystko musi odbywać się dokładnie i w ciągu jak najkrótszego czasu. W przypadku opisanym wyżej piloci mieli bardzo dużo czasu na poczynienie obserwacji. Zapiękli sceptycy, stosujący od biedy naturalne wyjaśnienia, będą mieli wobec tylu tak dobrze wyszkolonych świadków kłopoty z zakwestionowaniem tej obserwacji UFO.

Tragiczna w skutkach obserwacja

Podobny wypadek w takich samych niemal okolicznościach, jednak niestety zakończony tragicznie dla kilku uczestników, wydarzył się wieczorem 7 lipca 1977 roku około godziny 20.30 w okręgu Zhangpo (południowochińska prowincja Fujian). Jest to — biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności — najbardziej spektakularny wypadek masowych obserwacji UFO, o jakim kiedykolwiek doniesiono z Chin.

Tego wieczoru około trzech tysięcy osób uczestniczyło w projekcji rumuńskiego filmu *Alarm w delcie Dunaju*. Raptownie na tłum spadły dwa lśniące pomarańczowym blaskiem, spłaszczone u dołu obiekty latające. UFO zeszły tak nisko, że niemal dotykały ziemi. Leciwały jeden za drugim i wysyłały jarzące się światło. Śmiertelnie przerażeni widzowie poczuli gorąco i usłyszeli głęboki wibrujący dźwięk.

Wybuchła panika. Niektórzy padli na ziemię, większość jednak szukała ratunku w ucieczce. Stratowano przy tym na śmierć dwójkę dzieci, obrażenia, częściowo ciężkie, odniosło ponad dwieście osób. Gdy tłum

rzucił się do ucieczki, obydwa nieznane obiekty poszybowały w górę i w ciągu kilku sekund zniknęły na nocnym niebie.

Jeden z lekarzy szpitala rejonowego, w którym otoczono rannych opieką medyczną, a także dwaj urzędnicy z biura bezpieczeństwa publicznego gotowi byli potwierdzić to sensacyjne zdarzenie. Władze natomiast sądziły początkowo, że przyczyną było złudzenie optyczne powstałe na skutek efektów świetlnych albo użycia wadliwej taśmy filmowej. Dokładna analiza taśmy wykluczyła jednak istnienie jakichkolwiek przesłanek, którymi można by uzasadniać tego rodzaju hipotezę. Tak więc tę sprawę, niestety tak tragiczną w skutkach, musiano odłożyć z braku wyjaśnień *ad acta*.⁶⁶

Nieco lepiej zakończyło się inne „spotkanie pierwszego stopnia”. Przebiegało ono wedle podobnego schematu jak wiele innych, w których uczestniczyły samoloty państw zachodnich lub Związku Radzieckiego. Także w tym wypadku zgłaszano zakłócenia w pracy elektroniki pokładowej, co dowodzi, jak globalny zasięg mają zjawiska związane z UFO!

Myśliwce bojowe kontra UFO

W połowie roku 1982 doszło w północnej części Chińskiej Republiki Ludowej do raptownego wzrostu liczby incydentów z udziałem nieznanych obiektów latających. W Heilongjiang, najbardziej na północ wysuniętej prowincji, która graniczy już z byłym Związkiem Radzieckim, zaobserwowano wieczorem 18 lipca między godziną 21.10 a 22.53 szereg dziwnych zjawisk. Pięciu pilotów bojowych, odbywających na swych myśliwcach regularny lot patrolowy w obszarze przygranicznym, zetknęło się z niezwykle dziwnym zjawiskiem.

O godzinie 21.57 zawiodła raptownie elektronika supernowoczesnych samolotów. Nastąpiła awaria systemów nawigacyjnych, zerwana została łączność zarówno między samolotami, jak i z bazą. Piloci dostrzegli w polu widzenia ogromny obiekt mlecznozielono-żółtej barwy, przypominający rozmiarami księżyc w pełni na nocnym niebie. Obiekt latający zdawał się powiększać, przyspieszał lot i sprawiał wrażenie „jakby góry z mgieł”. W centrum całego zjawiska można było dostrzec coś w rodzaju czarnych plam. W swym raporcie jeden z pilotów napisał: „Gdy po raz pierwszy ujrzałem obiekt, leciał z ogromną prędkością w moją stronę, obracając się szybko wokół własnej osi. Podczas rotacji wytwarzał świetlne pierścienie. W centrum pierścienia świetlnego był ogień. Po dziesięciu sekundach centrum pierścienia eksplodowało, po czym jądro obiektu szybko się rozszerzyło.”

Piloci zmuszeni byli z powodu awarii aparatury powrócić do bazy. Cała piątka sporządziła obszerne raporty o tym, co się wydarzyło, które wraz z załączonymi szkicami opublikowano w pierwszym numerze wspomnianego „Czasopisma do Spraw Badania UFO”.⁶⁴

Otwarte archiwa

Pisałem już o niezwyklej otwartości, z jaką oficjalne czynniki w Chinach — w porównaniu z czasami maoistowskimi albo też z praktyką naszych zachodnich demokracji — podchodzą do całej problematyki UFO. Można jedynie podziwiać kręgi wojskowe i rząd za to, że z taką jawnością informują ludność całych Chin. Zarówno prywatnym, jak i oficjalnym badaczom ze swego kraju szczerze udostępniają materiały archiwalne o zjawiskach pojawiających się na niebie.

W Stanach Zjednoczonych przez dziesiątki lat władze utrzymywały materiały dotyczące UFO w tajemnicy. Dopiero dzięki Freedom of Information Act (Prawo do Wolności Informacji) zainteresowane grupy badaczy mogły wywalczyć na drodze sądowej udostępnienie części raportów, których nie uznano za szczególnie istotne dla bezpieczeństwa narodowego. Wszystko jednak, co władze traktują jako „zagrożające bezpieczeństwu państwa”, zamknięte jest jako *top secret* na nie dający się przewidzieć czas w archiwach NSA (National Security Agency) i CIA (Central Intelligence Agency).

Kolejnym przykładem liberalizmu rządu chińskiego w sprawach UFO jest transmitowana na cały kraj amerykańska dokumentacja telewizyjna, którą w USA pokazano pod tytułem *UFOs Are Real*.³

Jeden z artykułów opublikowany w 1985 roku w angielskojęzycznym czasopiśmie „China Daily” ukazuje postawę ludzi sprawujących władzę w Beijing. Wedle dobrze poinformowanych źródeł uchodzi on nawet za „oficjalną wersję i [...] artykuł wyrażający stanowisko rządu”.⁶⁴

Artykuł ten, *Konferencja UFO w Darlian*, donosi o spotkaniu kilkudziesięciu chińskich naukowców w sierpniu 1985 roku. Po raz pierwszy dokonano wymiany informacji w sprawie badań UFO. Przedstawiono około czterdziestu prac badawczych, z których siedemnaście zakwalifikowano do opublikowania w

fundamentalnej pracy zbiorowej. Autor artykułu stwierdził, że zainteresowanie w Chinach tematem UFO jest ogromne, i wspomniał Chińskie Towarzystwo do Spraw Badania Zjawisk UFO, liczące już wówczas dwieście tysięcy członków. Przewodniczący tego stowarzyszenia, profesor Liang Reng-Lin z uniwersytetu Jinan w Guangzhou (Kantonie) podał do wiadomości, że od roku 1981 do 1985 opublikowano w Chinach ponad sześćset raportów dotyczących UFO. Najwyraźniej w Chinach, w odróżnieniu od krajów zachodnich, nikt nie ma oporów przed zaliczeniem tego tematu do problemów naukowych.

Zbieżności z mitologicznymi wydarzeniami

Z bogatej chińskiej dokumentacji chciałbym czytelnikowi zaprezentować jeszcze jeden raport dotyczący obserwacji nieznanego obiektu latającego. Wskazuje on na zdumiewające podobieństwa z obserwacjami dokonanymi w pradawnych czasach, opisanymi w formie mitu. Rankiem 25 kwietnia 1981 roku Du Sheng-Yüan ujrzał, jak nad Beijing krąży po niebie osobliwy obiekt latający. Natychmiast próbował zatelefonować do telewizji i do gazet, ale nikogo nie mógł zastać — była wszak godzina siódma rano. Wyszedł więc z domu, by kontynuować swe obserwacje za pomocą lornetki. Zjawisko znajdowało się niemal dokładnie nad miejscem, w którym się zatrzymał, utrzymując wysokość, jak oszacował, co najmniej 2000 metrów.

Przez lornetkę UFO było dobrze widoczne: miało podłużny eliptyczny kształt, część środkowa była mleczna, spód natomiast jaśniał lśniąca zielenią. Cały obiekt emitował dziwny blask. Lecił nierównomiernie, to bardzo szybko, to znów bardzo powoli. Wreszcie zatrzymał się, by chwilę później raptownie przyspieszyć. Du Sheng-Yüanowi udało się zwołać tymczasem przeszło dwudziestu mieszkańców okolicznych domów. Wspólnie obserwowali UFO, aż około 7.25 zniknęło z pola widzenia.⁶⁴

Uderza mnie w tym opisie podobieństwo do zdarzenia związanego z legendarnym procesarzem Shi Huang-di. W dwudziestym roku jego panowania miało ukazać się osobliwe zjawisko. Na niebie pojawiły się lśniące, barwne chmury, a w pobliżu nich jarzący się czerwienią pas powietrza wymieniał się z podobnym, lecz o barwie zielonej. Jarząca się czerwienią część miała w środku dwie gwiazdy, jarząca się zielenią natomiast tylko jedną. Określono to zjawisko mianem „jaśniejących gwiazd”; lśniły jakoby cudownym blaskiem na niebie poranka.³

Czy jest to wyłącznie czysty przypadek, czy też mamy do czynienia z tymi samymi zjawiskami: współcześnie i w zamierchłej przeszłości?

Być może ten lub inny czytelnik po zapoznaniu się z opisanymi przeze mnie obserwacjami UFO w Chinach zadał sobie pytanie, czy mieszkańcom dalekowschodniego imperium zostały zaoszczędzone bliskie spotkania z hipotetycznymi członkami załóg latających obiektów. Oczywiście dochodziło także i do tego. Mamy relacje z „niezwykłych spotkań trzeciego stopnia”, które u nas są najczęściej kością niezgody. Dla jednych stanowią naturalną konsekwencję obserwacji UFO, inni nie mogą i nie chcą zajmować się nimi bliżej, gdyż relacje wydają im się zbyt fantastyczne, wnioski zbyt nieprawdopodobne. Dotyczy to w jeszcze większym stopniu przypadków uprowadzeń, o których bardziej wyczerpująco opowiemy w następnym rozdziale.

Niezwykłe spotkanie na szosie

Około godziny 4 rano 33 grudnia 1979 roku kierowcy dwu ciężarówek zostali uwikłani w fantastyczną przygodę. Działo się to koło Longwangmiao na szosie Lanxi-Xin'angiang (prowincja Zhejiang). Kierowca Wang-Ding-Yuan prowadził jadący z przodu pojazd, gdy w pewnym momencie oślepił go padający pionowo z nieba promień. W tej samej chwili ujrzał dwie „niezwykłe istoty ludzkie”, stojące na drodze. Zjawa zniknęła, gdy dwaj kierowcy gwałtownie hamując zatrzymali swe pojazdy.

Rozmawiali następnie o niezwykłym zajściu, choć drugi kierowca, Wang Jian-Ming, nie dostrzegł zjawiska. Z tego powodu postanowili zmienić kolejność jazdy ciężarówek. Wang Jian-Ming miał teraz jechać przodem. Po przejechaniu pięciu lub sześciu kilometrów spostrzegł w odległości około dwustu metrów promień świetlny i dwie postacie stojące przy drodze. Miały około 1,50 m wzrostu, ubrane były w hełmy i okrycia przypominające płaszcze. Każda postać miała zwisający z ramienia przedmiot w kształcie termosy, a w lewej ręce trzymała coś w rodzaju maczugi. Na wierzchołkach hełmów znajdowały się świecące czerwono lampki.

Kierowcy zahamowali po raz kolejny. Teraz chcieli gruntownie zbadać sprawę. Gdy Wang Jian-Ming wyjął ze skrzynki narzędziowej swej ciężarówki żelazny łom i zaczął posuwać się w stronę postaci, te zniknęły, a wraz z nimi pionowy promień światła.⁶⁴

„Serdeczność” tego powitania nie odbiega w niczym od „gościnności” okazywanej w podobnych znanych przypadkach w krajach Zachodu. Jeśli istoty te są rzeczywiście potomkami „bogów”, którzy w zamierzchłej przeszłości składali wizyty mieszkańcom naszej planety, to w takim razie stwierdzić należy, iż nasza grzeczność pozostawia jeszcze wiele do życzenia.

Kto jest winny wprowadzeń, mnożących się w ciągu ostatnich lat?

IX

Niezwykłe spotkania czwartego stopnia — Kto dokonuje eksperymentów na uprowadzonych ludziach?

Zmarły w roku 1986 „papież badań UFO” J. Allen Hynek, pod koniec życia kierownik „Center for UFO-Studies” (CUFOS) w Evanston/Illinois, stworzył klasyfikację obrazującą intensywność spotkań z nieznanymi istotami, stosowaną od tej pory przez większość badaczy zajmujących się tymi zjawiskami. Wprowadził mianowicie termin: „bliskie spotkania pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia”.

Ostatniego z tych określeń użyto w tytule interesującego filmu science-fiction. Poszczególne kategorie definiowane są w sposób następujący:

— Bliskie spotkania pierwszego stopnia: Dokonana zostaje obserwacja UFO sterowanego najwyraźniej przez inteligentne istoty; UFO nie pozostawia jednak żadnych śladów, nikt nie widzi też załogi na pokładzie. Bliska obserwacja dokonuje się z reguły na odległość do 150 metrów, w poszczególnych wypadkach może się to jednak zmieniać. Podczas spotkań objętych tą kategorią można rozpoznać istotne detale obserwowanych obiektów.

— Bliskie spotkania drugiego stopnia: Nieznany obiekt latający pozostawia — najczęściej podczas lądowania lub bezpośredniej obserwacji — wyraźne ślady. Mogą to być ślady ognia, promieniowania lub uszkodzeń mechanicznych pozostawione na ziemi lub na roślinach. Często następuje awaria urządzeń elektrycznych. Świadkowie czują nierzadko mdłości, mdleją, mają gorączkę; niekiedy noszą ślady poparzeń lub wykazują zakłócenia równowagi psychicznej. W takich przypadkach uszczerbek na zdrowiu może mieć trwały charakter. Skutki spotkań drugiego stopnia mogą być poddane analizie naukowej.

— Bliskie spotkania trzeciego stopnia: Wewnątrz lub w pobliżu UFO można zaobserwować postacie o ludzkich kształtach. Najczęściej dochodzi do nawiązania kontaktu z tymi istotami.^{68, 69, 70}

W minionych latach zaszła konieczność rozszerzenia tej terminologii o dodatkowy wariant. Określa się go, w nawiązaniu do istniejących już terminów, mianem „bliskich spotkań czwartego stopnia” (doświadczenie CE-4).

Faktem jest, że coraz więcej wiarygodnych świadków twierdzi, że zostali uprowadzeni przez załogę UFO do pojazdu kosmicznego. Tam w większości wypadków przeprowadzono na nich doświadczenia medyczne. Kobiety stwierdzały anormalne ciążę, kończące się po kilku tygodniach lub miesiącach kolejnym uprowadzeniem. Niekiedy dokonywano implantacji, których skutki następnie zostawały usuwane, w jednym co najmniej przypadku dysponujemy nawet zdjęciem rentgenowskim, które fakt taki potwierdza.⁷¹

U większości osób rekonstrukcja szczegółowych wspomnień możliwa była dopiero po zastosowaniu technik hipnozy regresywnej. Te niewiarygodne zdarzenia, które stanowią początek ofensywy, i to szeroko zakrojonej, podającej w wątpliwość nasze poczucie rzeczywistości, znane są w krajach anglosaskich pod nazwą *abductions* (uprowadzenia). Jak żadna inna forma fenomenu UFO konfrontują nas z koniecznością podjęcia radykalnej decyzji: albo uznamy to wszystko za prawdę, albo też z góry odrzucimy jako oszustwo.

Ale nie jest to wszak takie łatwe. Z pewnością wiele tych opisów wyszło z palca, łatwo bowiem o naśladowców. Istnieją jednak również przypadki tak znakomicie udokumentowane, że jak zobaczymy, nie można ani przez chwilę wątpić w ich prawdziwość.

„Szare maleństwa”

Sprawcami tych uprowadzeń są w większości opisanych przypadków małe istoty, mierzące od 1 do 1,50 metra wysokości. Sprawiają wrażenie tworów humanoidalnych, przypominając jednocześnie swym kształtem embriony. Ze względu na barwę skóry (albo kolor ubrań) określa się je jako „szare maleństwa”, przy czym ta nazwa ma je odróżniać od innych typów istot humanoidalnych. W oczy rzuca się przede wszystkim ich głowa: łysa, nieproporcjonalnie wielka w stosunku do ciała, z dwójgłosem osadzonych oczu, wąskimi ustami podobnymi do poziomego otworu i zarysem nosa najczęściej w formie dwu dziurek. Istoty te nie mają jakoby zewnętrznych uszu, brak także owłosienia na głowie i ciele. Ich wielkie, szeroko rozstawione oczy przypominają oczy przedstawicieli typu mongoloidalnego.^{40, 56, 57, 71, 72}

Uprowadzenia zaczynają się często od pojawienia się niezwykłego światła, padającego na bezpośrednie otoczenie świadka — jak w poniższym przypadku, który miał miejsce w Japonii. Nie zawsze dochodzi też

do prawdziwego porwania. W wielu sytuacjach następuje coś w rodzaju „mentalnej komunikacji”, a więc swego rodzaju transmisja myśli, którą posługują się te niesamowite istoty.

Późnym popołudniem 3 października 1978 roku Hideicho Amano jechał samochodem pod górę drogą biegnącą niedaleko jego domu w Sayama. Jako fan radia CB chciał wykorzystać na szczycie góry możliwość czystego odbioru. Na tylnym siedzeniu znajdowała się jego dwuletnia córeczka Juri. Gdy już był na szczycie, zauważył ze zdumieniem, że na auto w zapadającym zmierzchu padła wiązka jaskrawego światła. Jednocześnie zgasł motor, przestała funkcjonować elektronika. Amado rozejrzał się, ale nie mógł zlokalizować źródła światła, które teraz padało na jego córeczkę. Mała wiązka światła pomarańczowej barwy celowała w okolice żołądka dziewczynki. Zanim mógł cokolwiek przedsięwziąć, poczuł na czole ucisk jakby jakiegoś metalowego przedmiotu. Gdy spojrzął w górę, ogarnęło go przerażenie, jakiego jeszcze nigdy w swym życiu nie doświadczył: sprawcą była mała niesamowita istota, pozbawiona wyraźnie zarysowanego nosa.

Niezwykła istota próbowała nawiązać kontakt z Amado, niezdolnym do jakichkolwiek ruchów. W jego świadomości pojawiły się osobliwe obrazy, odniósł wrażenie, jakby słyszał wysokie i krzykliwe głosy. Także inne ofiary uprowadzeń twierdziły zgodnie, iż widziały obrazy i słyszały dźwięki przekazane im najwidoczniej drogą komunikacji telepatycznej. Amado nie mógł sobie przypomnieć, jak długo trwał sparaliżowany w obliczu stworzenia napawającego śmiertelnym przerażeniem. Po pewnym czasie malutki humanoid zniknął, elektronika samochodu zaczęła ponownie funkcjonować.

Jakby gnany przez furie, Amado pędził po pustej szosie w dolinę. Nie miał nawet odwagi spojrzeć do tyłu, gdzie znajdowała się jego córka. Dopiero zjechawszy na dół, odwrócił się do dziecka. Dziewczynka siedziała spokojnie, powiedziała tylko, że bardzo chce jej się pić. Amado tego wieczoru położył się spać z silnym bólem głowy. Twierdził później, że mała istota przekazała mu coś w rodzaju posłania. Zapowiedziała powrót.⁶⁷

Małe miasteczko Gulf Breeze na Florydzie było świadkiem serii bliskich spotkań, które ciągnęły się całymi miesiącami w latach 1987-1988. Głównym uczestnikiem tych obserwacji, którym, jak się później okazało, towarzyszyło uprowadzenie, był biznesmen Ed Walters. Udało mu się zrobić serię zdjęć nieznanego obiektu. Wspólnie z żoną Frances napisał książkę, w której dokładnie, z olbrzymią precyzją, opisuje wydarzenia tych sześciu miesięcy.

Przygody Eda Waltersa

Wszystko zaczęło się 11 listopada 1987 roku, gdy Walters około godziny 17 całkiem przypadkowo zerknął w okno swego gabinetu. Spostrzegł na niebie, ciemnym już o tej porze roku, niezwykle światło. Natychmiast uświadomił sobie — choć do tej pory relacje na temat UFO kwitował pogardliwym uśmiechem — że ten jaśniejący obiekt na niebie nie może być samolotem o konwencjonalnych kształtach. Zachowując przytomność umysłu wybiegł na dwór i za pomocą aparatu fotograficznego polaroid zrobił serię zdjęć obiektu.

UFO tymczasem zbliżyło się do niego. Bez jakiegokolwiek ostrzeżenia strzeliło weń wiązką światła, które go całkowicie sparaliżowało. Niezdolny do jakichkolwiek ruchów, pozbawiony nawet możliwości oddychania, Ed Walters sądził, że oto nadchodzi śmierć. Trwało to wszystko dwadzieścia sekund, które Edowi wydały się wiecznością. Z przerażeniem stwierdził, że odrywa się od ziemi i szybuje dobre pół metra nad jej powierzchnią. Brzmi to niewiarygodnie, ale jedyną siłą, która go podtrzymywała, był niebieski promień. Następnie usłyszał w głowie jakby głos wydawany przez komputer, próbujący go uspokoić. Miał jeszcze nieraz słyszeć ten głos, który zachęcał go, by „do nich” przyszedł. Przez głowę przelatywały mu niezwykle obrazy. W powietrzu unosiła się dziwna woń, przypominająca mu amoniak i cynamon.

Ed Walters czuł się bezradny sądząc, że nadchodzi jego kres, gdy wtem usłyszał samolot nadlatujący od północnego wschodu. Najwidoczniej przeszkodził on załodze obiektu w realizacji jej zamierzeń, gdyż niebieski promień w jednej chwili zniknął. W tym samym momencie Ed upadł ciężko na ziemię. Tam po chwili znalazła go żona; był całkowicie wytrącony z równowagi.

Po kilku dniach wahań i rozterek zdecydował się przekazać miejscowej gazecie „Gulf Breeze Sentinel” fotografie zrobione tamtego wieczoru. Opublikowano je wraz ze zwięzłym reportażem oraz prośbą, by ewentualni świadkowie zgłaszali się do redakcji.

Publikacja spotkała się z niespodziewanym odzewem. W ciągu kilku dni zgłosiło się w sumie stu pięćdziesięciu świadków, między innymi tak wiarygodni obywatele, jak lekarz i członek rady miejskiej Gulf Breeze. Nie wahali się publicznie potwierdzić obserwacji Eda Waltersa.

Po upływie trzech tygodni, 2 grudnia 1987 roku, doszło do spotkania, które miało dramatyczny

przebieg. Rankiem około 3.30 przedsiębiorcę wyrwało ze snu szczekanie psa. Wyskoczył z łóżka i pośpieszył z pistoletem w dłoni ku oszklonym drzwiom prowadzącym z sypialni na werandę. Zdecydowany na wszystko, podniósł żaluzję. Po drugiej stronie drzwi stała niewielka istota. Patrzyła nań ogromnymi czarnymi oczyma.

Widok ten tak przeraził Waltersa, że cofnął się, zahaczył o coś nogami i upadł. Małe stworzenie po prostu stało, wlepiając weń wzrok. Miało jedynie 1,20 metra wzrostu, jego głowę ochraniał hełm z wziernikiem, przez który widoczne były jedynie oczy: wielkie, czarne, skośne, w kształcie migdałów. Tors okryty był podobnym do pancerza ubiorem. Po chwili stworzenie odwróciło się i samotnie odeszło w noc. Walters otworzył drzwi i wyszedł do ogrodu podążając śladami niezwyklej istoty. W tym momencie, jakby wszystko co się dotychczas wydarzyło, było jedynie trikiem mającym wywabić go na dwór, UFO wysłało w dół silną wiązkę niebieskich promieni, które próbowały unieść go do góry.

Tym razem przed uprowadzeniem uratowała Waltersa jego żona — Frances. Wyszła za mężem do ogrodu i w ostatniej chwili udało jej się wydobyć go z kręgu niebieskich promieni.

W trakcie tych spotkań, które trwały aż do początków maja 1988 roku, nieraz jeszcze mieli do czynienia z tą osobliwą wiązką energii. Gdy po jednej z obserwacji Ed Walters skonstatował istnienie luki czasowej, postanowił poddać się hipnozie regresywnej, stosowanej przez Budda Hopkinsa, badacza zjawisk związanych z UFO. Wkrótce okazało się, że zagadkowe istoty uprowadzały Eda Waltersa nie tylko w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, ale także wcześniej, po raz pierwszy gdy miał siedemnaście lat.⁷³

Kilka miesięcy trwały gwałtowne kontrowersje wokół prawdziwości informacji zawartych w książce opublikowanej przez Eda i Frances Waltersów. Gdy dokładne badania materiałów fotograficznych nie ujawniły żadnych prób oszustwa, znalazło się kilku samozwańczych „demaskatorów”, którzy uznali tę historię za spreparowaną. W tym samym kierunku idzie także niemiecki autor Ulrich Magin, którego zdaniem „stosunkowo prymitywne oszustwo podniesione zostało do rangi najistotniejszego wydarzenia w historii UFO”.⁷⁴



28, 29. Gulf Breeze na Florydzie. Dwa zdjęcia z „serii obserwacyjnej” sporządzonej przez Eda Waltersa. U góry fotografia nieznanego obiektu latającego, na dole tajemniczy niebieski promień, który już podczas pierwszego spotkania próbował unieść Waltersa

Nowości z Gulf Breeze

Lecz Magin wydał zbyt pochopny wyrok. Pojawiły się nowe dane potwierdzające prawdziwość historii Eda Waltersa. Hans D. Baumann pisze w swej książce *Nasi dalecy sąsiedzi* o jednym ze swych przyjaciół,

który długie lata żył w Stanach Zjednoczonych. Mieszkał zaledwie kilka kilometrów od Gulf Breeze. W roku 1988 spostrzegł nad Zatoką Meksykańską to samo UFO i wziął je początkowo za nowy tajny typ samolotu wojskowego z pobliskiej bazy lotniczej Eglin. Zdziwiło go jednak nieco, że obiekt zniknął z nieba w ciągu ułamka sekundy.

Krótki czas potem zobaczył w lokalnej telewizji audycję, której tematem były spotkania rodziny Waltersów. Gdy następnego dnia zadzwonił do studia, stało się coś bardzo tajemniczego. Redaktorzy próbowali go przekonać, że takiego programu wcale nie emitowano. Nie można było nigdzie zdobyć wydania „Gulf Breeze Sentinel” z relacjami Waltersa — ani w bibliotece, ani nawet w redakcji, która kilka dni po ukazaniu się gazety utrzymywała, że nie ma już rzekomo ani jednego egzemplarza!⁷⁵

Stara śpiewka! Także i w tym wypadku kłajstrowano i zamazywano prawdę, zmiatano niewygodne fakty pod dywan. Czy prasie i telewizji nałożono kaganiec? W każdym razie mieszka tam paru ludzi, którzy więcej wiedzą, niż chcą powiedzieć.

Uparci goście Whitleya Striebera

Bardzo duży rozgłos zyskały wprowadzenia Whitleya Striebera. Strieber jest pisarzem dość dobrze znanym w USA. Od 1977 do 1983 pisał thrillery i horrory (m.in. *The Hunger*). W następnych latach koncentrował się coraz bardziej na poważniejszej literaturze. Pisał książki oparte nie na fikcji, ale na faktach. Jego wcześniej powstałe horrory spowodowały jednak, iż krytyka dwie książki o wprowadzeniach także uznała za produkt czystej fantazji,^{56, 76} albo w najlepszym wypadku za „konstruowanie własnych doświadczeń” ze szczegółów, które autor zapożyczył od innych.⁷⁴

Strieber natomiast nieustannie podkreśla realizm swych spotkań. W załączniku do książki *Goście* odnajdzie czytelnik stanowisko kierownika działu badań w New York State Psychiatric Institute, dr Donalda Kleina, który zastosował wobec Striebera hipnozę. Opublikowano tam również wyniki badań za pomocą wykrywacza kłamstw, którym Strieber poddał się 31 października 1986 roku.

Strieber został wprowadzony 21 października 1986 ze swego letniego domu, który znajduje się w odległym zakątku stanu Nowy Jork. Małe istoty o bladej karnacji, dużych głowach, a także — jak twierdzi — stworzenie płci żeńskiej podobne do owada zabrały go prosto z łóżka. Niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu miał wrażenie, jakby wraz z porywaczami uleciał ze swego domku. Minęli las, zdawało mu się, że widział jakieś drzewa, aż w końcu odzyskał świadomość w pojeździe kosmicznym obcych istot. Tam w pomieszczeniu przypominającym salę operacyjną dokonano na nim eksperymentów medycznych.

Strieber opisuje długą igłę, lśniąca mocnym blaskiem, delikatną jak włos, którą obce istoty wprowadziły do jego mózgu. W tym momencie miał uczucie, że jego głowa za chwilę eksploduje. Następnie do odbytnicy wprowadzono mu mechaniczny przyrząd „zakończony jakby wiązką kabli”. Zakłopotany opisuje absolutną bezradność i bezsilny gniew wobec tego gwałtu dokonanego przez „gości”. Później obudził się we własnym łóżku, początkowo uznając to wszystko za zły sen. W ciągu następnych dni odczuwał bóle odbytnicy. Strieber miał nieokreślone uczucie, że przytrafiło mu się coś niedobrego, nie mógł natomiast przywołać w świadomości żadnych wspomnień z tamtej nocy.

Po upływie przeszło tygodnia zaczął odczuwać bóle prawego ucha, bolała go także głowa. Za prawym uchem żona znalazła małe nakłucie. Teraz dopiero Strieber uświadomił sobie, że nie był to ani sen, ani halucynacja. A więc rzeczywiście dokonano operacji mózgu przy użyciu delikatnej igły! W jednej z książek dotyczących niezwykłych spotkań Strieber znalazł nazwisko Budda Hopkinsa, który jest artystą, poświęcającym się badaniu faktów związanych z CE-4. Natychmiast zdecydował się opowiedzieć mu o swych przeżyciach. Hopkins zachęcił go, by poddał się kuracji hipnotycznej u wspomnianego dra Donalda Kleina. Ten z początkowo niejasnych opowiadań Striebera wywnioskował, iż większa część jego wspomnień trwa za swego rodzaju posthipnotyczną blokadą. W ciągu kilku posiedzeń wspólnie rozpracowali wydarzenia nie tylko z 26 października. Stopniowo okazywało się bowiem, że Strieber był wprowadzany już od czasów dzieciństwa. Niezwykłe istoty wyposażały go zawsze w swego rodzaju wspomnienia osłonowe, chcąc zatrzeć w jego świadomości prawdziwą pamięć o tym, co się wydarzyło. Ten rodzaj postępowania zdaje się być zresztą typowy dla bardzo wielu przypadków „abdukcji”. Terapia hipnotyczna ujawniła niejedno zakamuflowane doznanie. Najwcześniejsze spotkanie przeżył mały Whitley prawdopodobnie już w wieku dwu lat. Bardzo niewyraźnie przypominał sobie „grupę wielkich szarych małą”, które wchodziły po zboczach wzgórza. Działo się to w lecie 1947 roku, koło domu babki stojącego na wsi. Czasowo można to wydarzenie przyporządkować pierwszej wielkiej fali obserwacji UFO w USA, która nastąpiła w lecie tego roku. Zdaniem Striebera istoty pozaziemskie próbują uzależnić od siebie wielką grupę ludzi, by dokonywać

na nich eksperymentów genetycznych. To jest, jego zdaniem, cel i sens uprawnień. Tym samym na całym świecie odbywa się wielki eksperyment, który może zmienić całe nasze życie. Większość ludzi, a zwłaszcza większość naukowców ignoruje niestety ten fakt. I to mimo że istnieją przecież już nie niesprawdzalne przypuszczenia, ale fakty!

Co się stało z małą Yvonne?

Przy końcu lipca 1993 sam miałem nieoczekiwaną okazję badania przypadku, pozwalającego przypuszczać, że pozostaje w związku z jakimiś niezwyklejmi sprawami.

W górnobawarskim miasteczku, niedaleko od mojego miejsca zamieszkania, żyje Diana S. z dwuipółletnią wówczas córeczką Yvonne. Matka i dziecko zajmują apartament położony na najwyższym piętrze wielkiego bloku mieszkalnego. Niedaleko stamtąd, na skraju lasu, przebiega granica miasteczka.

Podczas urodzin, na które zostaliśmy zaproszeni do wspólnej znajomej, dowiedziałem się o kilku dziwnych zdarzeniach dotyczących dziewczynki. Zaczęło się od tego, że Diana S. spostrzegła na lewym stawie łokciowym swej córeczki osobliwy wzór utworzony z czerwonych kropek. A jako że nie mogła żadną miarą wytłumaczyć sobie pochodzenia tych kropek, zapytała o to córeczkę. „To byli duzi zieloni mężczyźni”, brzmiała odpowiedź wyraźnie zakłopotanego dziecka, udzielona z ociąganiem, i to dopiero po którymś z kolei pytaniu. Pani S. nie wierzyła własnym uszom.

W odpowiedzi na kolejne pytanie całkowicie zaskoczonej matki dziewczynka wytłumaczyła jej we właściwy sobie dziecinny sposób, że „duzi zieloni mężczyźni” nocą nakłuli jej rękę.

Gdy opowiedziano mi to wszystko podczas wspomnianej uroczystości, obudziła się we mnie ciekawość. Byłem wprawdzie nastawiony sceptycznie, jednak zaproponowałem Dianie S., byśmy wspólnie, z zachowaniem należytej ostrożności, wypyтали dziewczynkę o dalsze szczegóły.

Paniczne reakcje

Wyszły przy tym na jaw okoliczności, które bardzo trudno pogodzić z typowymi fantazjami małego dziecka. Yvonne zareagowała z wyraźnym niezadowoleniem, gdy ponownie zapytaliśmy ją o pochodzenie kropek na jej ręce. Jako sprawców wciąż podawała „dużych zielonych ludzi”. Mieli ją jakoby zaprowadzić do „kosmicznego pokoju”, gdzie została do czegoś przywiązana. Na pytanie, dokąd ją zabrali, dziewczynka wskazywała przez okno balkonowe w kierunku pobliskiego lasu i kilka razy niewyraźnie wypowiedziała słowa „polecieli ze mną”.

Następnie zaproponowałem Dianie S. mały test. Przy pomocy jej siostry, która także była obecna podczas wypytywania małej, naszkicowaliśmy kredkami na papierze kilka rysunków, które kolejno zaprezentowaliśmy dziewczynce: zająca, misia, krasnalą, mysz i kotka. Wśród nich znajdował się rysunek dużej głowy. Rysunek twarzy z wąskimi wargami, zarysem nosa, wielkimi, ciemnymi, skośnymi oczyma. Reakcje dziecka utrwaląłem na fotografiach robionych aparatem typu polaroid.

Yvonne rozpoznawała prezentowane jej kolejno rysunki, była też w stanie prawidłowo określić ich treść. Gdy jednak doszliśmy do rysunku głowy, dziecko zareagowało w sposób, jakiego się nie spodziewaliśmy. Początkowo jeszcze wesoła, dziewczynka stawała się coraz bardziej poważna. W pokoju zaległa nieznośna cisza. Wtedy Yvonne pobiegła w kierunku sofy, na której siedziała siostra Diany S. i w panice próbowała schować się za nią. Wreszcie zaczęła płakać.

Czyżby ta reakcja sugerowała, iż dziewczynce przytrafiło się coś niezwyklego?

Można mieć rozmaite opinie na temat „dużych zielonych mężczyzn”. Ale dla małego dziecka stworzenie mierzące 1,50 m (jak je się najczęściej opisuje), jest bardzo duże. Również jego skóra lub skafander mogą sprawiać wrażenie koloru zielonkawego, zwłaszcza w mroku. Jestem w pełni świadomy, że trudno w tym przypadku o definitywny dowód; być może dostarczy go za kilka lat terapia hipnotyczna. Ale mamy jeszcze jedną wskazówkę. Diana S. poszła do lekarza zaniepokojona nakłuciami. Ten nie był w stanie postawić dokładnej diagnozy i przepisał w końcu maść. Niezwykły wzór z punkcików mógł uznać jedynie za ukąszenia owadów.

Po pewnym czasie kropki zniknęły. Pozostała historia dwuipółletniej dziewczynki, wykazująca niezwykle podobieństwo ze znanymi przypadkami CE-4. Trudno uwierzyć, iż dziecko wszystko to wymyśliło, gdyż, jak zapewniała jej matka, dziewczynka w porze nadawania filmów sf i horrorów jest już dawno w łóżeczku.

Historia ta ma zresztą dalszy ciąg, nie mniej interesujący. Przy końcu roku 1993 Diana S.

poinformowała mnie, że w miejscu, gdzie występowały dziwne punkciki, skóra jest przebarwiona na biało, nawet przy letniej opaleniznie.



30. Co działo się z małą Yvonne? Zaniepokojenie dziecka na widok rysunku „małego szarego człowieczka”

Wśród badaczy zjawisk UFO kursują informacje, wedle których niezwykle istoty znaczą swoje ofiary. Dzieje się tak również w przypadku zagadkowych *cattle mutilations* — okrutnych okaleczeń bydła. W roku 1978 chemicy z jednego z laboratoriów w Albuquerque/New Mexico przeprowadzili badania na ranczo pewnego farmera, którego bydło ustawicznie padało ofiarą tych eksperymentów. Zamknięto część stada w zagrodzie, po czym przeganiało bydło przez coś w rodzaju zapory utworzonej z promieni ultrafioletowych. Podczas nocnego eksperymentu zauważono, iż pięć sztuk na prawym uchu, po prawej stronie szyi i na prawej nodze zostało oznaczonych substancją dającą się rozpoznać jedynie w świetle ultrafioletowym.⁴⁰

Byłoby niesamowite i miałyby niewyobrażalne skutki, gdyby tego rodzaju praktyki stosowano także wobec ludzi. W każdym razie będę miał przypadek Yvonne na uwadze. Diana S. — matka dziewczynki — będzie mnie informowała na bieżąco o dalszym rozwoju sytuacji. Yvonne S. jest jeszcze za młoda, by poddać się hipnozie regresywnej; tą metodą można było się posłużyć w przypadku, który opisał Ulrich Magin.

Ofiarą uprowadzenia był tym razem żołnierz amerykański Chris Owens wraz z ciężarną małżonką Pamela i synkiem Brianem. Miało to miejsce w listopadzie 1978 roku w Trewirze nad Mozalą. Rodzina, po wizycie u przyjaciela, znajdowała się w drodze do domu. Zwykle potrzebowała na jej przebycie nie więcej niż pół godziny. Po uprowadzeniu wszyscy troje pamiętali jedynie wielki owalny obiekt, szybujący nad samochodem, który poruszał się po opustoszałej szosie. Całe półtorej godziny zostało jakby z ich pamięci wymazane: *missing time!*

Hipnoza ujawniła, że Pamela Owens opuściła samochód w momencie, gdy UFO zatrzymało się dokładnie nad ich głowami. Straciła przytomność i odzyskała ją dopiero na stole we wnętrzu obiektu latającego. Dwie małe, szaroskóre istoty o wielkich głowach i głęboko osadzonych oczach przeprowadzały coś w rodzaju eksperymentu. Wbijały w brzuch ciężarnej kobiety, nieco nad pępkiem, igłę o długości około ośmiu centymetrów.

Przestraszona zapytała o synka, którego także uprowadzono. Jeden z „szarych ludzików” uspokojał ją, przyrzekając uważać na dziecko. Następnie Pamela ponownie straciła przytomność; gdy ją odzyskała, znajdowała się na skraju drogi. Obiekt odleciał, a znajdującą się w stanie szoku rodzina kontynuowała powrót do domu ze stuminutowym opóźnieniem.⁷⁴

Wiarygodność tych uprowadzeń wciąż podważana jest przez sceptyków argumentem, iż działania rzekomych pasażerów UFO są całkowicie nieprzejryste; że brak tu jasności i konsekwencji. Jakie praktyczne znaczenie może mieć fakt, iż zamiast prób nawiązania oficjalnego kontaktu uprowadza się ciężarne gospodynie domowe lub jowialnych ludzi interesu? Jaki plan może skrywać się za tymi działaniami?

Można odnieść wrażenie, że „goście” starannie inscenizują nasze obserwacje ich obecności. Z

pewnością nie pojawiają się na Ziemi dopiero w ostatnim czasie lub od początków wielkiej fali obserwacji w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Prawdopodobnie towarzyszą nam już od długiego czasu, być może od początków naszego istnienia na ziemi. W kręgu kultury azjatyckiej uświadamiano to sobie z większą wyrazistością niż u nas, gdzie wyłączność wiary w nauki ścisłe i w taki obraz świata, w którym człowiek i ziemia są w absolutnym centrum, zagrażała całkowitym zniwelowaniem pamięci o nich. Być może z tego oraz innych powodów zdecydowali się w ciągu ostatnich dwudziestu lat ponownie i na dużą skalę nam się przypomnieć, tak jak w epokach gdy człowiek ustawicznie odczuwał wszechobecność swych bogów.

Sposoby nawiązywania przez nich kontaktu są niezwykle zróżnicowane. Do najbardziej tajemniczych należą spotkania, które zdają się być realne dla uczestnika, a są niezauważalne dla osób stojących obok. W tym przypadku można jeszcze zrozumieć sceptyków, którzy mówią o halucynacjach, koszmarach sennych albo nawet o chorobach umysłowych. Ich poczucie rzeczywistości jest poddawane przecież poważnej próbie. Ale czy nie upraszczamy problemu, klasyfikując realnie przeżywany lęk ofiar po prostu jako chorobę umysłową? Jak ma się sprawa z niezliczonymi cudami, od których aż roi się w najróżnorodniejszych przekazach religijnych? Czy — zgodnie z tą logiką — nie należałoby uznać rzesz „świętych”, twórców religii i proroków po prostu za psychopatów, dokonując jednocześnie ich pośmiertnego ubezwłasnowolnienia?

Spotkanie na drodze Mooraduc

Nocą 5 lipca 1972 roku Maureen Puddy jechała samochodem w leżącym na południowy wschód od Melbourne górskim regionie, który tworzy przedgórze Alp Australijskich. W dzikiej okolicy, na autostradzie Mooraduc między Frankston a Dromana, na jej samociód padł nagle snop jaskrawoniebieskiego światła. Zatrzymała się i wysiadła z wozu, by sprawdzić, skąd się to światło wzięło. To, co zobaczyła, wydało się jej czymś niewiarygodnym: około trzydziestu metrów nad jej głową unosił się obiekt w kształcie talerza. Wydawał przy tym cichutki pomruk. Przerażona kobieta rzuciła się do samochodu i szybko odjechała. Bliska paniki zauważyła, iż obiekt za nią leci. Choć jechała bardzo szybko, obiekt podążał za nią wciąż w tej samej odległości. Ten niesamowity pościg trwał na przestrzeni około trzynastu kilometrów, po czym UFO zniknęło, błyskawicznie oddalając się w przeciwnym kierunku.

Około trzech tygodni później, 25 lipca 1972 roku, jechała ponownie bezludną drogą. Czula się nieswojo, gdyż nie opuszczał jej lęk związany z koszmarnym spotkaniem. I w pewnym momencie, niemal dokładnie w tym samym miejscu, oślepiło ją niebieskie światło, które zalało samochód, drzewa i pobliskie skały. Nacisnęła pedał gazu, chcąc uciec, ale silnik zgasł. Straciła przy tym panowanie nad kierownicą i zatrzymała samochód dopiero na poboczu drogi.

W myślach usłyszała słowa: „...uspokój się, nie chcemy ci zrobić krzywdy” i „...zawiadom środki masowego przekazu”, a po upływie pewnego czasu: „znów odzyskałaś kontrolę”. W tym momencie światło zgasło, a Maureen Puddy mogła ponownie uruchomić samochód. Drżąc na całym ciele pojechała do najbliższego posterunku policji, gdzie zaprotokołowano jej zeznanie, które następnie skierowano do australijskich sił powietrznych. Przez kilka tygodni odwiedzali ją w domu oficerowie śledczy sporządzając szczegółowy protokół jej zeznań. Jednocześnie pojawiło się kilku naocznych świadków, którzy twierdzili, że w tym właśnie czasie kilkakrotnie widzieli na niebie jaskrawe niebieskie światła. Minęło sześć miesięcy. Pani Puddy nawiązała kontakt z prywatną grupą badaczy australijskich VUFORS. Jej członkowie Judith Magee i Paul Norman pomogli kobiecie — na ile było to możliwe — uporać się z niesamowitymi przeżyciami. Jednak 22 lutego 1973 roku znów usłyszała w myślach głos, znajomy jej od momentu powtórnego spotkania z UFO na autostradzie Mooraduc. Głos domagał się, by Maureen koniecznie pojawiła się „we wiadomym miejscu”. Natychmiast zatelefonowała do znajomych z grupy VUFORS, którzy wyrazili gotowość towarzyszenia jej podczas spotkania. Po przybyciu na miejsce przesiadli się do samochodu Maureen, która już w czasie jazdy widziała w samochodzie małą postać odzianą w złocisty skafander. Potem wydarzyło się coś jeszcze bardziej zdumiewającego. Kiedy rozmawiali o złocistej zjawie, Maureen wydało się, że ją znów widzi. Tym razem nieznanne stworzenie szło w kierunku samochodu i zatrzymało się koło lewego reflektora. Kobieta okazywała zdenerwowanie. Ale ani pani Magee, ani Paul Norman nie mogli dostrzec stworzenia. Obydwoje jednak potwierdzają, że nerwowość Maureen nie była udawana.

Koszmary psychopatów?

Ruchem dłoni istota kazała iść pani Puddy za sobą, kobieta jednak, ogarnięta panicznym strachem,

kurczowo trzymała się kierownicy. Raptownie krzyknęła, że ją uprowadzają do niebieskiego UFO. Z rozpaczą w głosie opisywała małe, pozbawione okien pomieszczenie, gdzie ją jakoby uwięziono. W środku „widziała” przedmiot w kształcie grzyba, w którym przelewał się to w jedną, to w drugą stronę galaretowaty płyn. Po chwili podniecenie ustąpiło; kobieta się odprężyła. Najbardziej niesamowity w tym wszystkim był fakt, że Maureen Puddy ani na chwilę nie opuściła samochodu, siedząc obok badaczy UFO. Oni natomiast nie zauważyli ani tajemniczej istoty, ani świecącego niebieskim blaskiem obiektu. Całe to zdarzenie rozegrało się najwyraźniej w umyśle świadka.^{67, 71}

Oczywiście można sobie bardzo ułatwić interpretację tego przypadku, przypisując kobiecie zaburzenia psychiczne. Badania psychiatryczne, przeprowadzone po tych zdarzeniach, wykazały jednak, że pani Puddy nigdy — ani wcześniej, ani później — nie cierpiała na ataki manii prześladowczej, schizofrenii, somnambulizmu itp. Czyżby więc to przeżycie było tylko projekcją dokonaną z zewnątrz do mózgu ofiary? Można by z powodzeniem zapomnieć o tym zdarzeniu, gdyby nie cała seria podobnych „wirtualnych spotkań”, do jakich często dochodziło w Japonii w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Okoliczności tych spotkań są bardzo zbliżone do opisanego wyżej przypadku; uczestnicy przeżywali je w równie dramatyczny sposób. Odnosiły się one jednak do przeszłości; do czasów, gdy ludzie uznawali obcowanie z pozaziemskimi istotami za coś stosunkowo normalnego.

Małe ludziki w brzuchu ognistego smoka

Stary rolnik Kishi obudził się w środku nocy i podbiegł do drzwi. Hałasem, który spowodował, obudził żonę i syna. Syn zapytał ojca, czy dobrze się czuje, na co ten odpowiedział twierdząco. „Na dworze wydarzyło się coś osobliwego, jakbym usłyszał grzmot, słyszeliście go? I to zielone światło, morze zielonego światła...”

Żona i syn rolnika popatrzyli na siebie zdumieni, nie słyszeli wszak żadnego grzmotu, nic widzieli żadnego światła. Twarz Kishiego nabrała dziwnego wyrazu. Sprawiał wrażenie lunatyka, choć postrzegał w najdrobniejszych szczegółach wszystko, co się wokół niego działo. Z napięciem w głosie przestrzegł rodzinę przed wychodzeniem na zewnątrz. Gdy żona próbowała go uspokoić, nakazał jej trzymać nerwy na wodzy, bez względu na to, co się będzie działo. Następnie otworzył drzwi i wyszedł na dwór.

Przez okno widzieli, jak chodził dokoła, prostował się, gestykował energicznie, jakby rozmawiał z kimś, kto stał naprzeciwko. Sprawiało to takie wrażenie, jakby rozmawiał z niewidzialnym partnerem. Po kilku minutach Kishi powrócił do domu.

— Nic z tego nie rozumiem — wymamrotał.

— Co się stało? — zapytał syn.

— Nie widzieliście? — odparł chłop wyraźnie wzburzony. — To wcale nie była spadająca gwiazda; na naszej łące wylądował wielki ognisty smok. Nie wiem dlaczego. Z brzucha tego smoka wyszło dwoje małych ludzików i powiedzieli coś do mnie w jakimś obcym języku. Próbowałem udzielić odpowiedzi, ale się nie zrozumieliśmy. Potem znów wsiedli do brzucha ognistego smoka i...

W tym momencie pan Kishi przerwał, chwycił się obiema rękami za głowę i zemdlał. Żona i syn położyli go ostrożnie na matę i przerażeni czuwali przy nim. Wkrótce jednak zapadł w głęboki i spokojny sen. Gdy rano rodzina spytała go o nocne przeżycia, utrzymywał, że o niczym nie wie, a całą noc spokojnie przespał.⁴

Interesujący byłby wynik hipnozy regresywnej pana Kishi. Czy „ktoś” dokonał projekcji jakichś przeżyć do jego mózgu, czy też chodziło o atawistyczne wspomnienie z dawno minionych epok? Z czasów, gdy bogowie lądowali w ognistych smokach na wyspach Japonii.

Niestety, wówczas nie zbadano gruntownie tego przypadku, uderza jednak frapująca zbieżność ze zdarzeniami, które rozegrały się dwadzieścia lat później wedle tego samego schematu. Sądzę, iż ludzie krytycznie nastawieni do zjawisk UFO nie powinni popełniać błędów, stosując do wszystkiego interpretację psychologiczną. Jest wszak jasne jak na dłoni, że mamy do czynienia z jak najbardziej obiektywną rzeczywistością, która niekiedy manifestuje się wyłącznie w subiektywnej formie. I wciąż odkrywamy zaskakujące podobieństwa między dokonującymi się w naszych czasach obserwacjami UFO a treściami dawnych mitów i przekazów, i to nie tylko w Azji, ale na całym świecie.

W jednym z poprzednich rozdziałów zajmowałem się znaczeniem symbolu smoka w kręgu kultur wschodnio-azjatyckich i jego odniesieniami do kosmosu i pochodzących zeń bogów. W maju 1979 roku na pokład nieznanego obiektu latającego uprowadzono Williama J. Herrmanna. Jego późniejsza relacja pozwala przypuszczać, że sprawcy porwań mają wiele wspólnego z istotami, o których tak często czytamy w dawnych przekazach najrozmaitszych ludów całego świata. Można z pewną dozą prawdopodobieństwa

założyć, że są wśród nich potomkowie niegdysiejszych „bogów”. Potomkowie być może również tych istot, które zmuszone zostały do lądowania w górach Bajan Chara-Uła, i które z powodu wyglądu — w oczach mieszkańców Ziemi byli po prostu wstrętni, co zresztą do dzisiejszego dnia chyba się nie zmieniło — tubylcy ścigali i masakrowali.

Znak skrzydlatego smoka

William Herrmann ujrzał obiekt świecący srebrzystym blaskiem o średnicy, jak oszacował, dwudziestu do dwudziestu pięciu metrów. Potem stracił przytomność. Następnym przedmiotem, jaki mógł sobie przypomnieć, było coś w rodzaju leżanki, na której spoczywał. Wszystko wokół niego pogrążone było w czerwonym świetle; początkowo nie wiedział, gdzie się znajduje.

W pewnym momencie ujrzał trzy małe, mierzące najwyżej półtora metra postacie w mundurach przypominających skafandry. Miały nieproporcjonalnie wielkie głowy, twarze o rysach wyraźnie mongoloidalnych i wpatrywały się weń okrągłymi, czarnymi oczyma. Pod dwiema dziurkami nosa znajdowały się małe usta o wąskich wargach. Obcy nie mieli ani włosów, ani brwi, ani rzęs. Najbardziej osobliwy był jednak emblemat widniejący na „uniformach”. Po lewej stronie skafandra każda z tych istot miała wszytą metalicznie lśniącą tarczę. Na niej widniał ich symbol: skrzydlaty smok.⁴⁰

W mitologii chińskiej smok o barwie metalu, zionący ogniem, przywiózł pracesarza z nieba na Ziemię.

Zastępcze matki dla kosmicznego potomstwa

Najbardziej niepokojący aspekt całego, i tak bardzo nieprzejrzystego, kompleksu uprowadzeń ujawnia się w przypadkach, które relacjonuję poniżej. Kobiety będące ofiarami uprowadzeń twierdzą, że kosmiczne istoty traktują je jako coś w rodzaju zastępczych matek. Te niezwykle zdarzenia rozgrywały się przez dłuższy czas w całej serii porwań.

Przypadek Kathie Davis (nazwisko zostało ze zrozumiałych względów zmienione), zbadany ze szczególną dokładnością przez Budda Hopkinsa, może uchodzić za zjawisko paradygmatyczne dla tego kręgu problemów.

Trzydziestego czerwca 1983 roku Kathie Davis zauważyła niezwykle światła jakby przeszukujące jej ogród koło domu w Copley Woods/Ohio. Gdy wyszła z budynku, by sprawdzić, co się dzieje, została jakby uderzona wiązką energii. Urowadzono ją, a następnie za pomocą sondy umieszczono w jej ciele płód.

Budd Hopkins przypuszcza, że to zdarzenie jest tylko jednym z wielu, które miały miejsce w jej życiu. Niejasne aluzje pozwalają przypuszczać, że kobieta była ofiarą uprowadzeń już w okresie dzieciństwa. Wskazuje na to na przykład „sen”, w którym matka chowa dziewczynkę do szafy, by chronić ją przed niebezpieczeństwem z nieba. Przy innej okazji Kathie ujawniła niewyraźne wspomnienia osobliwego domu, w którym spotkała „małego chłopca”. Zdaniem Hopkinsa takie retrospekcje są jedynie sztucznie wywołanymi wspomnieniami, mającymi maskować eksperymenty medyczne dokonywane przez przybyszów z kosmosu. Być może mają one także chronić same ofiary, by nie załamały się pod wpływem wspomnień o tych niesamowitych zdarzeniach. Widniejąca na nodze blizna, której pochodzenia Kathie nie może sobie przypomnieć, świadczyłaby o tym, że w trakcie testu medycznego pobrano od niej próbkę tkanki.

W grudniu 1977 roku porwano tę młodą kobietę z samochodu; pozostałych pasażerów w jakiś sposób unieszkodliwiono. Wówczas kosmicy po raz pierwszy dokonali na niej zabiegu ginekologicznego. Nastąpiło sztuczne zapłodnienie.

Trzy miesiące później, w marcu 1978, uprowadzono ją ponownie. Kidnaperzy usunęli embrion. W 1979 roku implantowano jej jakieś obce ciało za pomocą sondy wprowadzonej przez nos. Opisane wyżej zdarzenie z czerwca 1983 roku było powodem, dla którego kobieta zwróciła się o pomoc do badacza UFO Budda Hopkinsa. Jeszcze w tym samym roku nastąpiło kolejne uprowadzenie. Tym razem zabiegi medyczne były dla niej prawdziwą torturą. Odziana wyłącznie w nocną koszulę, zalana krwią, obudziła się na tyłach swego domu.

Podczas terapii hipnotycznej ujawniono zdumiewający szczegół. Kathie Davis widziała się z małym stworzeniem, na wpół człowiekiem, na wpół kosmitą. Nazwała tę istotkę o delikatnych członkach swą córeczką, która narodziła się z opisanego wyżej sztucznego zapłodnienia.

Cechą charakterystyczną wielu przypadków CE-4 jest fakt, że obcy przybysze porywają często kilku członków jednej rodziny. Na przykład parokrotnie uprowadzono syna Kathie — Tommy'ego. Pewnej nocy śmiertelnie wylękniona matka widziała, jak obcy „przybysze” opuszczają pokój jej dziecka.

Ponowne uprowadzenie Kathie nastąpiło w kwietniu 1986 roku. Tym razem pokazano jej dwoje hybrydycznych dzieci, którym mogła nadać imiona. Budd Hopkins sądzi, że jest w posiadaniu dość istotnych poszlak wskazujących, że pani Davis w trakcie porwań trwających aż do dzisiejszego dnia implantowano dziewięć zarodków. Dojrzewali w jej łonie mieszkańcy istot obcych i człowieka.⁶⁷

Nielatwo nam z pewnością uwierzyć w opisane wyżej fakty. W każdym razie trudno się dziwić tym spośród nas, którzy w pewnym momencie uruchomią swego rodzaju hamulec bezpieczeństwa i uznają to wszystko za czystą bzdurę. Będzie to reakcja jak najbardziej zrozumiała, jeśli tylko zastanowimy się nad konsekwencjami takich przypadków, jak opisany powyżej. Lecz to prowadzi donikąd, zwłaszcza ofiary uprowadzeń, które — prócz niesamowitych przeżyć — znosić muszą nierządno drwiny i cyniczne uwagi otoczenia. Faktem przemawiającym za tymi ludźmi i za prawdziwością ich przeżyć jest nadzwyczajna powściągliwość, z jaką przekazują swe opowieści do wiadomości publicznej.

W przypadku większości ofiar sięgnięto do orzeczeń lekarzy-psychiatrów; przeprowadzono badania za pomocą wykrywacza kłamstw. Brak było jednak poszlak wskazujących na psychotyczny charakter osobowości lub na próbę oszustwa. Jak czysta drwina muszą brzmieć dla tych ludzi opinie, że albo jako urodzeni aktorzy wodzą cały świat za nos, albo też próbują w naszych bezbożnych czasach tworzyć coś w rodzaju zastępczych religii, bo „trzeba ostatecznie w coś wierzyć”.⁷⁴ Do powszechnie panującego sceptycyzmu przyczynili się zapewne liczni i nierządno motywowani religijnie „kontaktowcy” z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Ich przeżycia były najprawdopodobniej w znacznym stopniu fikcją.⁶¹

Grupa TREAT

O wiele bardziej realistycznie brzmi pogląd, że uprowadzenia powinno się traktować jako osobne zjawisko. Istotny krok w tym kierunku zrobiła w USA grupa TREAT. To stowarzyszenie, którego członkami są lekarze i psychologowie, zajmuje się ofiarami uprowadzeń (*abductions*). Jest jakby komórką kontaktową dla ludzi, którzy sami nie mogą sobie poradzić ze swymi doświadczeniami. Dotychczas samotni, spotykają się z innymi, którym przydarzyło się to samo. Kierownikiem tej grupy jest psycholog dr Rima Laibow. Ona to właśnie przekazała pierwsze informacje dotyczące tej grupy podczas sympozjum środkowoeuropejskiej sekcji „Mutual UFO Network” (MUFONCES), które odbyło się w 1991 roku w górno-bawarskim mieście Feldkirchen-Westerham koło Monachium. Najbardziej ważne były oczywiście kwestie medyczne; wnioski, jakie zaprezentowano, brzmią przerażająco! Jeden z lekarzy w stanie Kansas — referowała dr Laibow — zlokalizował większą liczbę implantów w ciałach i mózgach ofiar; część tych implantów usunął. W przypadku mieszkanki Nowego Jorku Lindy Cortile (albo Lindy Napoletano wg dokumentacji ZDFu z 23 maja 1993), która została przy świadkach uprowadzona w pobliżu Mostu Brooklyńskiego, istnieje nawet zdjęcie rentgenowskie. Przedstawia ono mały cylindryczny przedmiot w mózgu kobiety, który wprowadzono tam drogą „piekielnie bolesnego zabiegu” przez lewy otwór uszny. Kilka dni po wykonaniu zdjęcia rentgenowskiego nastąpiło kolejne uprowadzenie, podczas którego przedmiot usunięto.

Dr Rima Laibow wspominała też o przypadkach ciąży, które pojawiały się po uprowadzeniach. W innym zdarzeniu typu CE-4 zniknął dwunastotygodniowy embrión. Niektóre kobiety karmiły piersią hybrydyczne stworzenia. Miały one wygląd w połowie ludzki, w połowie zaś przypominały kosmitów, znanych z opisów z ostatnich kilkunastu lat. Były jasnowłose, o wargach nieco pełniejszych od warg obserwowanych dotychczas kosmitów. Istnieją nawet raporty kobiet, których — po zaprezentowaniu im takich dzieci przez obce istoty — piersi zaczęły raptownie wydzielać mleko.⁷¹ Z medycznego punktu widzenia zjawisko to jest niewytłumaczalne, chyba że uznamy prawdziwość tych straszliwych przeżyć!

Czyżby przeprowadzano tu eksperyment genetyczny na większą skalę, i to w sposób niemal niedostrzegalny? Czy to nie właśnie ów program genetyczny związany jest z tak gwałtownie rosnącą liczbą uprowadzeń? I czy przypadkiem nie mamy do czynienia z historią, która już raz się zdarzyła?

Motyw uprowadzenia zawsze odgrywał kluczową rolę w wielu mitologiach i świętych księgach rozmaitych narodów. Starotestamentowy patriarcha Henoch był pierwszą ofiarą kidnapingu wzmiankowaną w Biblii. Jeszcze bardziej znany od Henocha jest prorok Ezechiel, którego przygodę należy chyba włączyć do tej kategorii przypadków. W indyjskim eposie bohaterskim *Mahabharata* bóg Indra zaproponował Judhiszthirze, iż zabierze go żywcem do nieba. To samo przytrafiło się Ma Tse-Yanowi, który był jednym z największych lekarzy dawnych Chin i wzniosłym nauczycielem taoizmu. Również stosunek kosmitów do kobiet ma smutną tradycję. „Niebiańskie smoki” często porwały w dawnych Chinach młode kobiety, by je przyprowadzić do swych władców w niebie.

Wszystko już było: bóg przeszczepia embriony

Nie ma nic nowego pod słońcem: niczym nowym nie są nawet opisane tu wydarzenia wiążące się ze znikaniem płodów po uprowadzeniach ciężarnych kobiet. Dwa i pół tysiąca lat temu bogowie staroindyjscy stosowali dokładnie takie same praktyki. W pismach religijnych dżinizmu zawarte są niedwuznaczne wiadomości o transferze embrionów.

Wedle tych pism rada bogów postanowiła, że jeden z nich zstąpi na Ziemię, by stworzyć nową religię. W tym celu Mahawira przybrał kształt płodu. Innemu bóstwu, Harinaigamesinowi, powierzono zadanie zaszczerpienia płodu w ciele ziemskiej kobiety. Na „pawiu” zstąpił na Ziemię, gdzie w mieście Kundagrama spotkał ciężarną braminkę Dewanandę. Natychmiast poczynił przygotowania do realizacji przedsięwzięcia.

W przekazie brzmi to następująco: „Pogrążył ją we śnie, ale oczy miała otwarte, i uczynił jej to nie sprawiając bólu, gdyż spała.” Niewiele trafniej można opisać działania podejmowane wobec kobiecych ofiar dzisiejszych uprowadzeń. Wypowiadając słowa: „niech Wzniosły mi pozwoli” wyjął Harinaigamesin ludzki embrion z łona Dewanandy i włożył na jego miejsce embrion Mahawiry. Po wykonaniu zadania odleciał do nieba i złożył zgromadzeniu bogów wyczerpujący raport. Dopiero wtedy pojęli oni prawdę, że bóg narodzić się może jedynie z łona królowej, zastępcza matka zaś należy „tylko” do kasty kapłańskiej.

Harinaigamesinowi nie pozostało nic innego jak ponownie polecieć na ziemię. Spotkał tam królową Trisalę, która — co za przypadek — była w tym samym stadium ciąży co Dewananda. Posłaniec, specjalizujący się spektakularnych zabiegach medycznych, zamienił obydwie płody i powrócił do nieba. Był znakomitym fachowcem w swej dziedzinie, bowiem po tej pełnej komplikacji zamianie królowa Trisala urodziła w roku 599 przed Chrystusem zdrowego chłopczyka. On właśnie jako Mahawira stał się później założycielem dżinizmu.⁷⁸

A więc nic nowego pod słońcem? W zasadzie nic. Jedyne co uległo zmianie to nasz stosunek do istot, które nawiedzają nas już od bardzo dawna.

Dla naszych przodków wyobrażenie bogów, którzy zstępują z nieba, nie było czymś osobliwym. Również człowiek średniowiecza traktował uprowadzenia z większą oczywistością niż my. Istotami, które jego zdaniem uprowadzały ludzi, były elfy, koboldy i nimfy. Zabawne wrażenie sprawiają próby porównywania dzisiejszych uprowadzeń ze średniowiecznymi relacjami, dokonywane przez interpretatorów, którzy, jak np. C. G. Jung widzą w nich „ekstrofleksję nieświadomego archetypu”. W gruncie rzeczy jest sprawą kompletnie obojętną, z której strony podejmiemy do tego problemu. Sprawcami niegdyśiejszych i współczesnych porwań mogą wszak być te same istoty, zmienił się jedynie język, za pomocą którego dziś możemy je nazwać po imieniu.

Wolność błazna

Jednak to nie porwania są w tym wszystkim najgorsze. Najgorsza jest taktyka zatajania prawdy, stosowana, co dowiedziono, przez rządy wielkich mocarstw, i to od momentu, gdy sprawa UFO nie doszła jeszcze do tak krytycznego punktu, jak dziś.^{64, 79} Ale działaniom obcych sprzyjają także reprezentanci sceptycznego „betonu”. Podczas gdy niejeden z demaskatorów interpretuje małe istoty jako zjawiska związane z modą, zajmujące miejsce wysokich jasnowłosych humanoidów typu Van Dama, goście z kosmosu mogą robić to, na co im przyjdzie ochota. Spacerują nocą po mieszkaniu nic nie przeczuwających ludzi, porywają ich z własnego otoczenia^{57, 71, 76}, i to bez jakiegokolwiek obawy, gdyż oficjalnie ich nie ma. Jest tak, jakbyśmy oglądali kiepski kryminał, wzbudzający na końcu nieprzyjemne uczucia: sprawca uchodzi bezkarnie, ofiara musi dowodzić swej niewinności, a nierzadko też odgrywa rolę oskarżonego.

Dokładnie tak jest i w tym przypadku. A obcy kontynuują swe eksperymenty, jakby od dawna mieli zagwarantowane do tego prawo! Ale dlaczego?

X

Światelko w tunelu — Czy za tym bezsenssem skrywa się jakiś plan?

Bogowie stworzyli człowieka na swój obraz. Twierdzenie to jest jądrem wielu religii całego świata. Mitologie i przekazy wciąż traktują rodzaj ludzki jako zbiór istot wywodzących się od bogów i od tak zwanych „synów nieba”.

Nasz Bóg biblijny „stworzył człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę.” (Genezis 1, 27).

Wedle legend syberyjskich Tunguzów para pierwszych ludzi zstąpiła w srebrzystej gondoli z nieba, gdzie mieszkali bogowie.⁸⁰

W górskim regionie Acari, leżącym przy granicy Gujany, małego środkowoamerykańskiego państwa, z ogromną Brazylią, bierze początek Rio Trompetas, która po przepłynięciu pięciuset kilometrów wpada do Amazonki. Mity Indian osiadłych na obydwu brzegach rzeki zawierają opowieść o bogach Pura i Mura.

Byli oni stwórcami świata, nie mieli ani rodziców, ani żon. Byli małymi istotami (!) i nie obawiali się śmierci, mając na podobieństwo węzów lub niektórych owadów zdolność linienia. Pura i Mura stworzyli człowieka — w tej wersji mitu wyrzeźbili go z drewna — następnie przyswoili swym stworzeniom kulturę. Po wykonanej pracy opuścili naszą planetę: powrócili do nieba.⁸¹

Dawne prawa do „istot stworzonych na obraz boży”?

Załóżmy w sposób czysto hipotetyczny, iż w przypadku małych istot, które jawią się sprawcami częstych porwań, rzeczywiście chodzi o potomków dawnych „bogów” z kosmosu, którzy drogą manipulacji genetycznych stworzyli z prymitywnych i dzikich hominidów gatunek ludzki o nazwie *homo sapiens*. Czyżby z tego tytułu uzurpowali sobie prawo do takiego obchodzenia się z ofiarami uprowadzeń, jak to zostało opisane w protokołach seansów hipnotycznych?

Czy może tylko kontynuują eksperymenty rozpoczęte przez dawnych „bogów”?

Bardzo wiele osób, które doświadczały CE-4, opisywało ze zdumieniem, że dokonywane manipulacje były dla obcych jakby czymś absolutnie oczywistym. Uprowadzeni odnosili wrażenie, jakby obce istoty miały wobec nich coś w rodzaju dawnego „prawa własności”. Whitley Strieber opisywał to w sposób następujący:

„Gdy zapewniali mnie, że operacja będzie absolutnie bezbolesna, przypominałem sobie o wcześniejszych protestach. Trudno było znieść to poczucie bezradności. «Nie macie do tego prawa», powiedziałem. «Mamy prawo.» Dwa wielkie słowa. Słowa o piorunującym oddziaływaniu. Mamy prawo. Z jakiego tytułu? Z jakim etycznym uzasadnieniem? Stawiałem sobie pytanie, czy zastanawiali się kiedykolwiek nad tym, czy też było to dla nich zupełnie oczywiste.

Być może prawo to ma swe źródło w faktach innych, niż skłonni bylibyśmy przypuszczać. Jeśli byli częścią nas samych, być może to my jesteśmy gwarantami tego prawa.

Jeśli jednak rzeczywiście byli gośćmi z kosmosu, to w takim razie chciałbym wiedzieć cokolwiek na temat moralnych podstaw ich «prawa». My sami zresztą nigdy nie wątpimy w nadrzędność naszych praw wobec wszystkich stworzeń istniejących na ziemi. Było to czymś bardzo osobliwym, znalazłem się bowiem w sytuacji, gdy ktoś zachował się wobec mnie tak, jak my zachowujemy się wobec zwierząt.”⁵⁶

Równie kategoryczne i nie znoszące jakichkolwiek form sprzeciwu uzasadnienie zaprezentowały istoty w związku z wydarzeniami w Gulf Breeze.

„«Nie możesz tego uniknąć. To nie będzie bolało. Jedynie kilka badań, i to wszystko.»

«Jasne, jak będę chciał, by mnie zbadano, to powiem.»

Głos dobiegający z UFO: «Podejdź bliżej. Zaprowadzimy cię na pokład.»

«Ale skąd. A kto wam dał w ogóle prawo wciągania ludzi wbrew ich woli do waszego statku?»

Głos z UFO: «Mamy prawo.»

Przypominam sobie, że istota rozmawiała ze mną tak, jakbym był zwierzęciem. Podejdź Bello, siad, Bello, dobry Bello.”⁷³

Jeszcze inna ofiara uprowadzeń, która poddała się kuracji Budda Hopkinsa, ujęła to pokrótce tak:

„Za kogo, do diabła, właściwie się uważają, czyniąc z nami wszystko, co się im podoba, jakbyśmy byli niczym?”

Jaką przyczynę mają te nasilające się porwania, skąd ta pewność siebie podczas wykonywania zabiegów medycznych na ofiarach?

Coś jakby się działo. Nie jestem, Bóg mi świadkiem, żadnym tam „prorokiem UFO”, który podnosząc palec prezentuje własną wizję historii Ziemi. Brzydę się dogłębnie wszelakim sekciarstwem, ciągła gadanina o New Age wzbudza moje wątpliwości. Zauważyłem jednak, że temat „istot inteligentnych z przestrzeni kosmicznych” cieszy się wciąż rosnącą w ostatnich latach popularnością.

Coraz więcej ludzi wierzy w istnienie UFO

Z ankiety przeprowadzonej w początkach lat osiemdziesiątych w USA wynika, do jakiego stopnia zwiększyła się gotowość uznania realności UFO. Ankieta została zainicjowana przez magazyn „Industrial Research Development”, którego czytelnikami są przede wszystkim ludzie nauki i przemysłowcy.

Wynikało z niej, że 27% ankietowanych wierzy zdecydowanie w istnienie UFO, 34% uznało je za prawdopodobne, 12% nie miało żadnego zdania, 19% twierdziło, że prawdopodobnie UFO nie ma, a jedynie 8% utrzymywało, że UFO nie istnieje. Mamy więc do czynienia z wynoszącą 61% większością, która przekonana jest o istnieniu UFO!^{45, 82} Jeszcze dziesięć lat wcześniej sprawa wyglądała całkiem inaczej, zwłaszcza gdy za pomocą tzw. raportu Condon próbowano pogrzebać całą kwestię UFO.

W takiej sytuacji także pozostałe media nie chciały pozostać na uboczu. I tak na niemieckim obszarze językowym każda stacja telewizyjna emituje dziś, po okresie wieloletniego milczenia, całe serie audycji poświęconych zjawiskom pozaziemskim, w tym UFO i prehistorycznym kosmitom. Czy tego rodzaju zmiana nastawienia jest przypadkiem, czy też jesteśmy w ostrożny sposób na coś przygotowywani? Czy mamy tu do czynienia z jakąś strategią, czy za tymi wszystkimi absurdami i niesamowitościami nie kryje się jakiś plan?

Również narasta przekonanie, iż działania gości z kosmosu są zróżnicowane w poszczególnych regionach kuli ziemskiej. Dziś jeszcze trudno ocenić to zjawisko w całej rozciągłości. W obydwu Amerykach, gdzie już od przeszło czterdziestu lat prowadzi się dyskusje na temat możliwości życia pozaziemskiego, rośnie liczba spotkań trzeciego i czwartego stopnia. W Chińskiej Republice Ludowej, gdzie cała sprawa przestała być tabu dość niedawno, dokonuje się „normalnych” obserwacji. Ludzie są tam konfrontowani z techniką i specyfiką lotu obiektów, rzadko zaś z ich pasażerami.

Można by oczywiście stwierdzić, iż geograficzny układ obserwacji zależy od stopnia cywilizacyjnego zaawansowania danego kraju. W krajach biedniejszych brak bowiem partnerów oraz instytucji, do których można by się zwrócić z podobnymi problemami. A więc wzrost liczby raportów niczego jeszcze nie dowodzi.⁸³

Jednak fenomen UFO, problematyka gości z kosmosu ma zasięg globalny. Także w Chinach istnieją już na przykład grupy badawcze, wydaje się wiele publikacji dotyczących tego tematu. Nawet w najodleglejszych prowincjach są telefony, telewizja i prasa. Wielu naocznych świadków opisało swoje przeżycia związane z UFO. Pojęcie to nie jest czymś obcym nawet dla Zulusów żyjących na stepach Afryki Południowej czy też dla Aborygenów rozsianych na ogromnych przestrzeniach piątego kontynentu. Ci ludzie — wszak nam współcześni — z o wiele mniejszym trudem niż my są w stanie zaakceptować te zjawiska i włączyć je w obręb swojego widzenia świata. Wszystko to przypomina przecież dawnych, legendarnych bogów, żyjących w czasach osnutych mgłą tajemnicy...

Strategie kosmitów

Nie, ja raczej skłonny jestem postrzegać różnorodność sposobów pojawiania się „UFO-nautów” w poszczególnych regionach ziemi. Wydaje mi się, że mamy do czynienia z chłodno kalkulującymi strategiami. Aktualnie podaje się pod dyskusję rozmaite warianty sposobu myślenia i strategii istot pozaziemskich. Chciałbym krótko naszkicować dwa najistotniejsze nurty.

Hipoteza „Leaky-Embargo” dra Jamesa W. Deardorffa wychodzi z przesłanki, że przyjaźnie do nas usposobione istoty pozaziemskie poddały naszą planetę swego rodzaju kwarantannie. Reprezentanci tej wysoko rozwiniętej cywilizacji ograniczają się do obserwowania naszej kultury, która jeszcze nie wyszła z okresu niemowlęcego. Ludzkość powinna udowodnić, iż potrafi wykorzystać zdolności pokojowego współżycia najpierw z samą sobą, a następnie z przedstawicielami wyższej cywilizacji. Najwyraźniejszym

dowodem nieprzydatności naszej cywilizacji będzie jej samozniszczenie.⁸⁴

Jednak to embargo ma luki. Tu i tam pojedynczych ludzi lub małe grupy skonfrontować można z wysoko rozwiniętą technologią kosmitów. Inny aspekt tej strategii polegałby na starannym dozowaniu spotkań, gdyż raptowna, nie poprzedzona niczym inwazja wprowadziłaby światową opinię publiczną w szok cywilizacyjny, straciłaby ludzką społeczność w chaos.^{45, 82}

Polityczny i naukowy establishment nie reaguje na stosowaną w taki sposób strategię istot pozaziemskich, przeciwstawia im jedynie swą ignorancję i niechęć. Jeśli konsekwentnie rozwiniemy ten obraz stopniowego przenikania, wówczas stanie się jasne, iż tego rodzaju akcja rozciągać się będzie musiała w niezwykle długim czasie, obejmującym wiele pokoleń. Treści informacji przekazywanych starannie wybranym pośrednikom zakłócać bywają świadomie dodanymi absurdami i nonsensem. W podobny sposób moglibyśmy sobie wyobrazić formy postępowania kosmitów, gdyby kiedykolwiek zdecydowali się na akcję bezpośrednią. Ten fakt przez długi czas powstrzymywał poważnych badaczy przed zajmowaniem się tą materią. Cała ta strategia gwarantuje, że skutki infiltracji są bardzo wyważone, że następuje zmiana nastawienia szerokich kręgów opinii publicznej, co umożliwi wreszcie nawiązanie kontaktu bez negatywnych skutków.

Hipotezę „Mimikry” sformułował dr J. Fiebag. Jej przesłankę stanowi twierdzenie, iż „pozaziemskie istoty rozumne, zdolne do odbywania międzygwiazdnych podróży [...] dysponują takimi (magicznymi) standardami rozwoju cywilizacyjnego, że mogą dopasować się do poziomu ludzi, zróżnicowanego w zależności od epoki oraz od stopnia inteligencji. Jednocześnie są w stanie udzielić nam wskazówek dotyczących ich istnienia, ich odwiedzin oraz możliwości.”

Zachowanie się istot pozaziemskich odpowiadałoby więc dokładnie mimikrze pewnych zwierząt, które mają zdolność optymalnego i maskującego wtapienia się w środowisko.^{71, 85, 86}

Konfrontacja ze stojącymi na wyższym stopniu rozwoju istotami rozumnymi wiąże się tym samym z koniecznością przyporządkowania tych spotkań właściwemu danej epoce horyzontowi możliwości intelektualnych. Na przykład ukazujący się Chińczykom i Japończykom przed pięcioma tysiącami lat „synowie nieba”, którzy poruszali się na latających i zionących ogniem smokach, mogą dziś — dzięki postępowi naszej cywilizacji — zostać prawidłowo zinterpretowani jako istoty korzystające z bardziej rozwiniętej technologii.

Z całą pewnością obydwie hipotezy zawierają elementy dość bliskie faktycznemu stanowi rzeczy. Badania ufologiczne dysponują wystarczającą liczbą poszlak, które można by przytoczyć dla poparcia którejś z nich. Obydwa scenariusze są logicznie przemyślane, a prawda, jak to zwykle bywa, leży chyba gdzieś pośrodku.

Co nas czeka?

W jakim punkcie znajdujemy się obecnie? Czego możemy się spodziewać? Jakie wydarzenia nas oczekują?

Być może znajdujemy się u progu nawiązania otwartych kontaktów z istotami, które nie tylko towarzyszyły nam w drodze, ale w ogóle sprawiły, że możemy kroczyć własnymi drogami.

W jakim miejscu pojawią się ponownie ci „bogowie”, „synowie nieba”, „obcy”, bez względu na nazwę, jaką byśmy ich określali?

Czy w wysoko rozwiniętych krajach świata zachodniego, gdzie z taką intensywnością nasiliły się w ostatnich latach niezwykle spotkania trzeciego i czwartego stopnia?

A może w takich krajach, jak Indie, Tybet, Chiny czy Japonia, gdzie ich wspomnienie — co ukazałem w tej książce — żywsze jest niż gdziekolwiek indziej?

Jeśli, prawdopodobnie w nie tak znów dalekiej przyszłości, ujawnią swą obecność, wówczas może to nastąpić w dowolnym punkcie naszego globu.

A wtedy dawni „bogowie” znów będą unosić się w ognistych smokach nad rozległymi przestrzeniami Azji Środkowej, znów zstąpią z nieba nad wielką białą piramidą w Chinach!

Droga Czytelniczko,
Drogi Czytelniku

Właśnie odbyli Państwo podróż: nie tylko przez obszary Środkowo-Wschodniej Azji, ale także przez tysiąclecia. Natknęli się Państwo na nie wyjaśnione, fascynujące zdarzenia i przedmioty z dalekiej przeszłości. Dowiedzieliście się także wielu nowości na temat niezwyklej uprowadzeń mających miejsce w naszych czasach oraz o podobnych przypadkach, które zdarzały się w zamierzchłej przeszłości.

Zobaczyli także Państwo „wielką białą piramidę” Chin. Tę otoczoną mgłą tajemnicy budowlę umiejscawiano do tej pory w świecie fantazji. Ale tu mogli Państwo oglądać jej fotografię, a także zdjęcia innych piramid, o których dotychczas nikt u nas niczego nie wiedział. Ale poszukiwania spraw niesamowitych i tajemniczych są kontynuowane. Autor zamierza dotrzeć do możliwie wielu miejsc, wspomnianych w tej książce. Jeśli jednak natkną się Państwo — w Azji lub gdziekolwiek w świecie — na niezwykle i do tej pory nie znane zjawiska, wówczas pięknym gestem z Waszej strony będzie powiadomienie o tym autora:

Hartwig Hausdorf
c/o Herbig-Verlag
Thomas-Wimmer-Ring 11
80539 München

Licząc na Państwa zainteresowanie poruszaną tu tematyką, chciałbym krótko przedstawić Ancient Astronaut Society, w skrócie AAS. To stowarzyszenie, liczące na niemieckim obszarze językowym 7000 członków, stawia sobie za cel zbieranie, wymianę i publikowanie informacji służących uzasadnieniu (reprezentowanych wspólnie lub osobno) opinii, iż:

- w zamierzchłej przeszłości Ziemię odwiedzali goście z kosmosu,
- współczesna cywilizacja techniczna na Ziemi nie jest pierwszą.

AAS jest organizacją otwartą dla każdego. Co dwa miesiące publikuje swe doniesienia w czasopiśmie „Ancient Skies”. Organizuje podróże badawcze do interesujących stanowisk wykopaliskowych. Okresowo odbywają się międzynarodowe kongresy i spotkania. Roczna składka członkowska wynosi SFR 35,- albo DM 40,-. Dalsze informacje o AAS uzyskają Państwo pod adresem:

Ancient Astronaut Society
Baselstrasse 1
CH-4532 Feldbrunnen

Z wyrazami szacunku
Hartwig Hausdorf

Słowniczek terminów

Akupunktura: ta metoda chińskiej medycyny polega na wbijaniu metalowych igieł w ściśle określone punkty ciała pacjenta, niekiedy dość odległe od chorych organów. Punkty wkłuwania nie są rozmieszczone równomiernie na skórze, lecz znajdują się na tzw. południkach. Nikt dziś nie kwestionuje skuteczności akupunktury, choć mechanizmów jej działania na organizm pacjenta nie można wyjaśnić z punktu widzenia medycyny Zachodu.

Extrofleksja (nieświadomego archetypu, wedle C. G. Junga): szwajcarski psycholog wyznawał teorię, że w przypadku UFO chodzi o uwidocznioną, rzutowaną w sferę zewnętrzną, wizję lęków, pragnień i wyobrażeń, zakorzenionych w nieświadomości.

Hipoteza paleo-seti (SETI, od Search for Extraterrestrial Intelligence): paleo-seti oznacza poszukiwanie śladów istot pozaziemskich w czasach pre- i wczesnohistorycznych. Coraz więcej poszlak wskazuje na fakt, że wizyty tych istot kontynuowane są także w czasach historycznych.

Kulty cargo (od angielskiego *cargo*, ładunek, towar): obserwowane zwłaszcza w azjatyckich rejonach Pacyfiku i opisane przez etnologów działania tubylczych plemion po konfrontacji z przedstawicielami wyżej rozwiniętych cywilizacji. W czasie drugiej wojny światowej w Azji Południowo-Wschodniej przebywały wojska amerykańskie, australijskie itd. Miejscowa ludność, pozostająca na niskim szczeblu rozwoju cywilizacyjnego, sporządzała imitacje — posługując się drewnem i słomą — ich urządzeń technicznych: aparatów radiowych, anten, a nawet samolotów, w nadziei że także jej udziałem staną się bogactwa obcych. Może nasi przodkowie zachowywali się podobnie po spotkaniach z przedstawicielami wysoko rozwiniętych cywilizacji pozaziemskich? Byłoby to bardzo realistycznym uzasadnieniem powstania pozornie bezsensownych rytuałów.

Miasta otwarte (dla ruchu turystycznego w ChRL): udostępnianie zagranicznym gościom miast i rejonów jest w Chinach procesem w ostatnich latach postępującym — dzięki dalekowzrocznej polityce uprawianej przez chińskie kierownictwo po upadku „bandy czworga”. Jednak nie każde miasto, nie każdy rejon udostępniany jest w dzisiejszej Republice Chińskiej do zwiedzania; niektóre miejsca są zamknięte nawet dla samych Chińczyków. Głównymi przyczynami jest obecność obiektów militarnych, brak infrastruktury (dróg itd.) albo, jak opisano to w niniejszej książce, osłonięte mgłą tajemnicy znaleziska z zamierzchłych czasów, których stosowne czynniki nie chcą prezentować światowej opinii publicznej. Politycy zajmujący kluczowe pozycje w kierownictwie państwa udostępnią w nadchodzących latach, kierując się realistycznymi przesłankami, te *no-go-arcs!*

Mity o stworzeniu (mity etiologiczne): w mitologicznych przekazach ludów całej kuli ziemskiej zawarte są wskazówki dotyczące wpływu istot pozaziemskich na powstanie człowieka. Kosmitów określa się zawsze jako bogów, którzy zstąpili z nieba; ze szczególną jedynomyślnością przypisuje im się dzieło stworzenia człowieka. Ci „bogowie” nie poprzestali jednak na „wyhodowaniu” człowieka. Przekazali mu dar języka, zdolności artystyczne, nakazy i reguły wspólnego życia (prawa).

MUFON-CES (Mutual UFO Network — Central European Section): założone w roku 1974 europejskie przedstawicielstwo prywatnej grupy badawczej MUFON. Członkami tego międzynarodowego stowarzyszenia są naukowcy z Niemiec, Austrii i Szwajcarii. Jego celem jest przybliżenie za pomocą metod naukowych rozwiązania zagadki nieznanymi obiektami latającymi. W grupie tej znajdują się fizycy, astronomowie, psychologowie, inżynierowie, lekarze, a wśród nich nawet lekarz specjalizujący się w terapii hipnotycznej. Interdyscyplinarna dyskusja wciąż jeszcze trwa w stadium przednaukowym, ponieważ dotychczas nie wypracowano naukowo sprawdzalnych teorii oraz narzędzi badań. Grupa koncentruje się na wypracowaniu systematycznej metody analizy problemowej, a także na stworzeniu banku informacji.

Pismo chińskie: pismo chińskie przechodziło w ciągu tysiącleci cztery zasadnicze stadia rozwoju:

1. Czyste pismo obrazkowe jako schematyczne przedstawienie konkretnych pojęć, na przykład narzędzi, zwierząt i broni.
2. Stadium ideograficzne to znaczy wykorzystanie wizerunków przedmiotów albo czynności jako symboli pojęć abstrakcyjnych, na przykład właściwości i stosunków przestrzennych.

3. Fonetyczne zapożyczenia. Istniejące znaki graficzne wykorzystywane są do zapisywania tak samo brzmiących słów, których znaczenia nie można było oddać za pomocą pisma obrazkowego.

4. Kompleksowa metoda tworzenia znaków. Jeden z elementów strukturalnych dokonuje przyporządkowania semantycznego (wedle znaczenia) znaku, inny natomiast ustala jego fonetyczną strukturę (wymowę).

Przeważającą część, tzn. 90%, liczącego w sumie około 60000 znaków nowoczesnego pisma chińskiego stanowią fonoideogramy, w których jedna część określa wymowę, druga zaś kategorię semantyczną danego wyrazu. Język chiński, początkowo monosylabiczny, jest obecnie językiem aglutynacyjnym.

Raport Condon: 9 stycznia 1969 roku komisja specjalna Uniwersytetu Colorado pod kierunkiem dr Edwarda U. Condon wydała liczący 900 stron raport na temat UFO. Komisja od samego początku swej działalności stosowała bardzo kontrowersyjne metody, suspendując np. członków zajmujących obiektywną postawę wobec problematyki UFO. Cały raport dobitnie ukazuje, w jaki sposób uprzedzenia mogą wpływać na kształt badań naukowych. Choć część analizowanych przypadków określono jako „nie zidentyfikowane”, komisja doszła do końcowego wniosku, że nie ma potrzeby prowadzenia dalszych badań dotyczących nieznanymi obiektów latających.

Reinkarnacja (ponowne narodziny): wyzwalające się w momencie śmierci „ciało astralne” człowieka wiąże się ponownie z ciałem innej istoty, przez połączenie z embrionem. Teoria reinkarnacji odgrywa istotną rolę w buddyzmie, zwłaszcza tybetańskim. Ponieważ temat reinkarnacji nie ma centralnego znaczenia w refleksji preastronautycznej, odsyłam czytelników do odpowiedniej literatury przedmiotu dotyczącej parapsychologii.

TREAT (Treatment and Research on Experienced Anomalous Trauma, Terapia i Badanie Anormalnych Urazów): organizacja ta została założona przez amerykańską psycholog dr Rimę Laibow. Jej celem jest stworzenie grupy kontaktowej dla ofiar uprowadzeń (przypadki CE-4), niosącej pomoc medyczną i psychologiczną.

Podziękowanie

Istnieje wiele osób, bez których pomocy i poparcia ta książka nie mogłaby powstać. Wszystkim jestem winien podziękowania.

Dziękuję przede wszystkim Erichowi von Dänikenowi, który towarzyszył mej pracy radą i czynem, pozwalając korzystać ze swego bogatego archiwum fotograficznego, a także Peterowi Krassa, który udostępnił mi kilka cennych fotografii, oraz Ulemu Dopatka za sugestie dotyczące bibliografii.

Dziękuję Panu Lue Letran za jego sztukę pisma chińskiego (i za jego wspaniałą chińską kuchnię), Panu Chen Jianli i Pani Li Jin za odczytanie nieczytelnych dla mnie znaków i za opracowanie nazw własnych i miejscowych wedle nowoczesnej transkrypcji typu Hanju-Pinjin. A także Rainerowi Tautenhahnowi za jego niestrudzoną pracę przy maszynie do pisania, zwłaszcza wówczas, gdy sobie uświadamiałem, że mój dzień ma tylko 24 godziny.

Last but not least podziękowania należą się mojemu lektorowi, Panu Hermannowi Hemmingerowi, za jego zainteresowanie i wciąż otwartą postawę wobec tak wielu pytań, które musiałem mu zadawać.

Garching/Alz

Hartwig Hausdorf

Bibliografia

- 1 Knop Doris, *Reisen in China*, Bremen 1988
- 2 Drake Raymond, *Gods and Spacemen in the Ancient East*, London 1968
- 3 Krassa Peter, *...und kamen auf feurigen Drachen*, München 1990
- 4 Kolosimo Peter, *Sie kamen von einem anderen Stern*, Wiesbaden 1969
- 5 Kolosimo Peter, *Unbekanntes Universum*, Wiesbaden 1976
- 6 Clarke Arthur C., *Profile der Zukunft — über die Grenzen des Möglichen*, München 1984
- 7 Meckelburg Ernst, *Tunel w czasie*, Gdynia 1994
- 8 Dopatka Ulrich, *Lexikon der Präastronautik*, Düsseldorf 1979
- 9 Charroux Robert, *Phantastische Vergangenheit*, München 1966
- 10 Gossler Marcus, *Lexikon Grenzwissenschaften*, Landsberg/Lech 1988
- 11 Charroux Robert, *Die Meister der Welt*, München und Zürich 1974
- 12 Ritsch V. und Tschernenko M., *Waren Besucher von anderen Sternen auf der Erde?*, w: „Russischer Digest“, maj 1960
- 13 Däniken Erich v., *Z powrotem do gwiazd*, Warszawa 1993
- 14 Stoneley J., Lawton A. T., *Is anyone out there?*, London 1975
- 15 Krassa Peter, Korespondencja z autorem z 15 grudnia 1993
- 16 Däniken Erich v., *Aussaat und Kosmos*, Düsseldorf 1972
- 17 Krassa Peter, *Als die gelben Götter kamen*, Wien 1973
- 18 o. Verf., *Welcome to China*, Beijing 1990
- 19 Krassa Peter, *Ich fand meine Fata Morgana*, w: *Kosmische Spuren*, München 1988
- 20 Däniken Erich v., *Dzień, w którym przybyli bogowie*. Warszawa 1991
- 21 Däniken Erich v., *Wspomnienia z przyszłości*. Warszawa 1974
- 22 Collington Patrick, *Keiner kann das Rätsel der Wüste Gubi lösen.*, w: „Passauer Neue Presse“, czerwiec 1986
- 23 Brookesmith Peter, *Incredible Phenomena*, London 1984
- 24 Pauwels L., Bergier J., *Die Entdeckung des ewigen Menschen*, München 1975
- 25 Buttlar Johannes v., *Szczelina czasu*, Gdynia 1994
- 26 Buttlar Johannes v., *Życie na Marsie*, Gdynia 1994
- 27 Crowley Brian, *The Face on Mars*, South Melbourne 1986
- 28 Cathie Bruce, *The Bridge to Infinity*, Boulder 1989
- 29 Hain Walter, *Pyramiden in China.*, w: „Ancient Skies“, 6/1991
- 30 Brookesmith Peter, *Creatures of Fear and Fable*, London 1987
- 31 Blavatsky H. P., *Die Geheimlehre*, Berlin 1932
- 32 Scheuchzer Johann J., *Museum Diluvianum*, Zürich 1716
- 33 Scheuchzer Johann J., *Physica Sacra*, Zürich 1731
- 34 Cuvier Georges, *Recherches sur les ossements fossiles*, Paris 1812
- 35 Wendt Herbert, *Ehe die Sintflut kam*, Oldenburg 1965
- 36 Langelaan Georges, *Die unheimlichen Wirklichkeiten*, München 1975
- 37 Berlitz Charles, *Das Drachen-Dreieck*, München 1990
- 38 Sänger-Bredt Irene, *Ungelöste Rätsel der Schöpfung*, Düsseldorf 1971
- 39 Buttlar Johannes v., *Schneller als das Licht*, Düsseldorf 1972
- 40 Buttlar Johannes v., *Drachenwege*, München 1990
- 41 Holbe Rainer, *Phantastische Phänomene*, München 1993
- 42 Michel Aimé, *Flying Saucers and the Straight-Line Mystery*, New York 1958
- 43 o. Verf., *Weltalmanach des Übersinnlichen*, München 1987
- 44 Henss Michael, *Tibet. Die Kulturdenkmäler*, Zürich 1981
- 45 Däniken Erich v., *Szok po przybyciu bogów*. Warszawa 1994
- 46 Pauwels L., Bergier J., *Aufbruch ins Dritte Jahrtausend*, Bern/München 1962
- 47 Meckelburg Ernst, *Besucher aus der Zukunft*, Bern und München 1987
- 48 Kolosimo Peter, *Terra senza tempo*, Milano 1964
- 49 Spießberger Karl, *Der Tschöd-Lama aus Graz und seine Initiation im »Kloster zum schwarzen Khan«*, w: „Esotera“, 1-3/1971
- 50 David-Néel Alexandra, *With Mystics and Magicians in Tibet*, London 1936

- ⁵¹ Eliade Mircea, *Szamanizm i archaiczne techniki ekstazy*, Warszawa 1994
- ⁵² Guariglia Guglielmo, *Prophetismus und Heilserwartungsbewegung als völkerkundlicher und religionsgeschichtliches Problem*, w: *Wiener Beiträge zur Kulturgeschichte und Linguistik*, Wien 1959
- ⁵³ Däniken Erich v., *Czy się myliłem?*, Warszawa 1994
- ⁵⁴ Däniken Erich v., *Reise nach Kiribati*, Düsseldorf 1981
- ⁵⁵ Dünneberger Willi, *Außerirdische Leichen in Chile gefunden? Neue Recherchen zu einer alten Pressemeldung*, w: „Ancient Skies”, 2/1993
- ⁵⁶ Strieber Whitley, *Die Besucher*, Wien u. München 1988
- ⁵⁷ Hopkins Budd, *Intruders*, New York 1987
- ⁵⁸ Däniken Erich v., *Beweise*, Düsseldorf 1977
- ⁵⁹ Munro N. G., *Ainu Creed and Culture*, New York 1963
- ⁶⁰ Etter C., *The Ainu Folklore*, New York 1949
- ⁶¹ Schneider Adolf, *Besucher aus dem All*, Freiburg 1974
- ⁶² Däniken Erich v., *Kosmische miasta w epoce kamiennej*. Warszawa 1992
- ⁶³ Roy Chandra P., *The Mahabharata*, Calcutta 1888
- ⁶⁴ Good Timothy, *Jenseits von Top Secret*, Frankfurt/Main 1991
- ⁶⁵ Fiebag Johannes, artykuł w „Ancient Skies”, 2/1993
- ⁶⁶ Dong Paul, Stevens W., *UFOs over modern China*, Tucson/Arizona 1983
- ⁶⁷ Spencer John, *Geheimnisvolle Welt der UFOs*, Wien 1992
- ⁶⁸ Buttlar Johannes v., *Przybywają z odległych gwiazd*, Warszawa 1994
- ⁶⁹ Hynek J. Allen, *UFO-Report. Ein Forschungsbericht*, München 1978
- ⁷⁰ Hynek J. Allen, *UFO. Begegnungen der ersten, zweiten und dritten Art*, München 1979
- ⁷¹ Fiebag Johannes, *Die Anderen*, München 1993
- ⁷² Hopkins Budd, *Von UFOs entführt*, München 1982
- ⁷³ Walters Ed, Frances, *UFOs — Es gibt sie*, München 1990
- ⁷⁴ Magin Ulrich, *Von UFOs entführt. Unheimliche Begegnungen der vierten Art*, München 1991
- ⁷⁵ Baumann Hans-D., *Unsere fernen Nachbarn*, Hamburg 1990
- ⁷⁶ Strieber Whitley, *Transformation*, New York 1988
- ⁷⁷ Evans Hilary, *Beweise:: UFOs*, München 1988
- ⁷⁸ Däniken Cornelia v., *Embryo-Transfers im alten Indien*, w: „Ancient Skies”, 3/1991
- ⁷⁹ Brookesmith Peter, *The Age of the UFO*, London 1985
- ⁸⁰ Kohlenberg Karl F., *Enträtselte Vorzeit*, München und Wien 1970
- ⁸¹ Krassa Peter, *Gott kam von den Sternen*, Freiburg 1974
- ⁸² Däniken Erich v., *Wszyscy jesteście dziećmi bogów*, Warszawa 1991
- ⁸³ Bord Colin, Bord Janet, *Unheimliche Phänomene des 20. Jahrhunderts*, Rastatt/Baden 1990
- ⁸⁴ Deardorff J., Fiebag J., *Seti und die Leaky-Embargo-Hypothese*, w: *Neue kosmische Spuren*, München 1992
- ⁸⁵ Fiebag Johannes, *Die Mimikry-Hypothese*, w: „Ancient Skies”, 4/1990
- ⁸⁶ Fiebag Johannes, *Die Mimikry-Hypothese*, w: *Neue kosmische Spuren*, München 1992